Kabaret PL2050 • Wybielanie Brauna • Gorąca Grenlandia • Czy badać geny?
Chwin o micie wspólnoty • Skandalista Staszic • Carrefour na sprzedaż

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

TYGODNIK, nr 4 (3548), 21.01–27.01.2026

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Tylko bez paniki!

Dostaliśmy niepokojący poradnik bezpieczeństwa – jak go traktować?

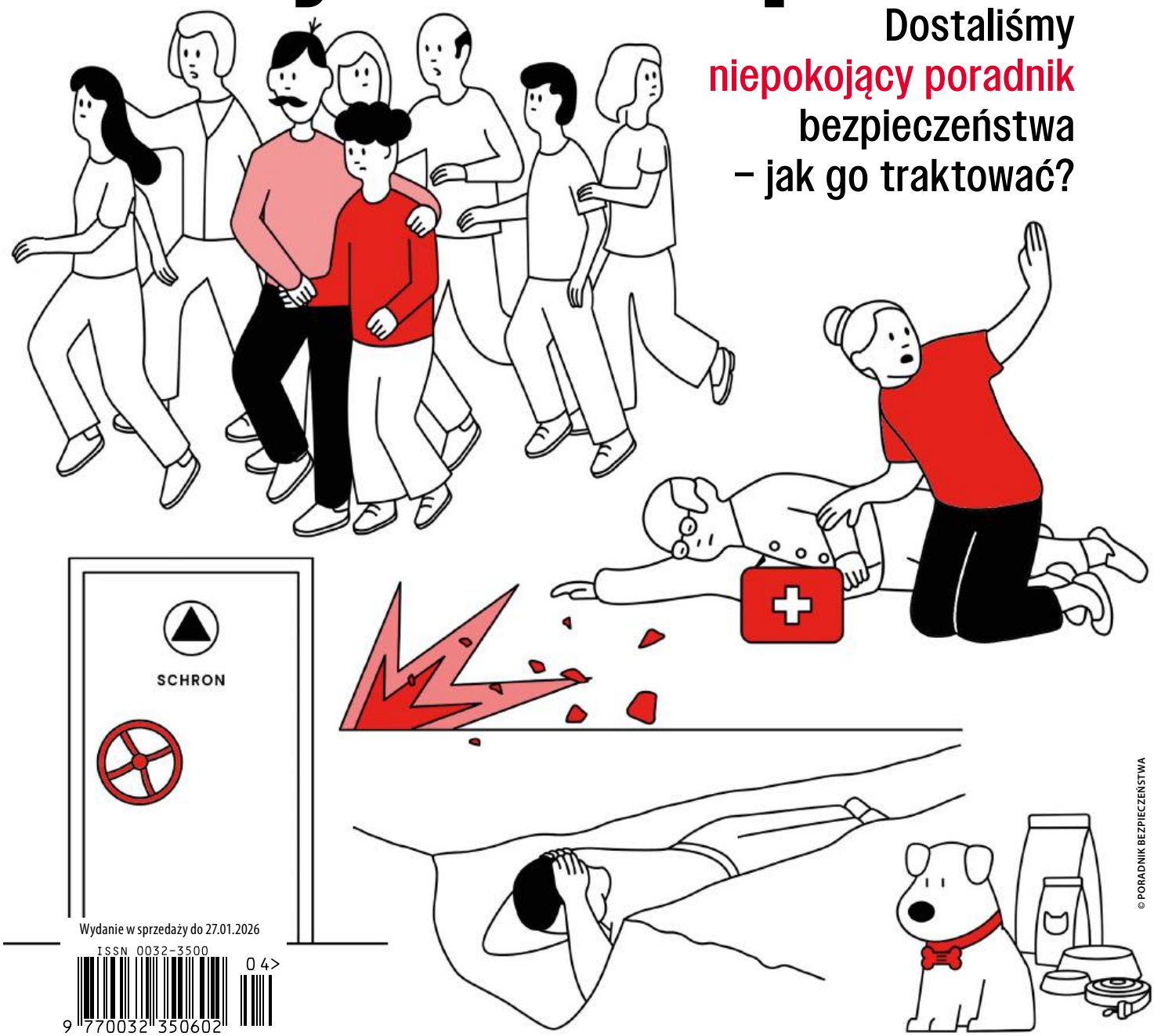

© PORADNIK BEZPIECZEŃSTWA

Wydanie w sprzedaży do 27.01.2026

ISSN 0032-3500

9 770032 350602 04>

eprasa.pl e94e67b4f3

SKI team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Sale!

NA ASORTYMENT ZIMOWY

Przygotuj się na ferie w Ski Team



od -15% do -50%

W TYM NAJNOWSZE KOLEKCJE
ODZIEŻY / BUTÓW / NART / DESEK / WIĄZAŃ

Promocja obowiązuje w sklepach stacjonarnych i na skiteam.pl

Jesteśmy otwarci w najbliższą niedzielę (25.01.2026) w godzinach 12:00 - 18:00

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

eprasa.pl e94e67b4f3



10
Koalicja ma problem

Tematy tygodnia

10 Rafał Kalukin
Kabaret Polska 2050

14 Katarzyna Kaczorowska
Poradnik bezpieczeństwa: mamy się bać?

Polityka

18 Mariusz Janicki
Przesuwanie granicy dla skrajnej prawicy

21 Ewa Siedlecka
Trybunał Konstytucyjny: Godzilla kontra kandydaci-kamikadze

24 ROZMOWA POLITYKI
Stefan Chwin, pisarz i eseista, o fałszywym micie polskiej wspólnoty

Społeczeństwo

28 **Marcin Stanecki**, szef Państwowej Inspekcji Pracy, o wzajemnym oszukiwaniu się na rynku pracy

32 Zbigniew Borek
Męskie Koła Gospodarzy Wiejskich

35 Paweł Walewski
Jak żyć z wiedzą o chorobie genetycznej

38 Fotograf i socjolog
Kuba Dąbrowski, mieszkający w Berlinie, o Polsce widzianej przez niemiecki filtr

Rynek

42 Adam Grzeszak
Przekleństwo cennych surowców

46 Cezary Kowanda
Kto kupi Carrefour?

Świat

49 Publicysta **Boris Muñoz** o lepszych i gorszych scenariuszach dla Wenezueli

52 Łukasz Wójcik IRAN
Zemsta za zemstę

56 Katarzyna Tubylewicz GRENLANDIA
Premier Nielsen w centrum huraganu

58 Jędrzej Winiecki AUSTRALIA
Serwisy społecznościowe zakazane dla dzieci

Nauka/projektpulsar.pl

60 Marcin Ryszkiewicz
Inteligent neandertalczyk

64 Rozmowa z **Václavem Smilem**, krytycznym analitykiem postępu technologicznego

Historia

66 Mateusz Mazzini
Prezydenci Monroe, Trump i doktryna Donroe

69 Marcin Wodziński
Brzydsze oblicze Staszica

Kultura

76 Jak powstawał film „Hamnet" o Szekspirze, opowiadają **Chloé Zhao**, reżyserka, i **Jessie Buckley**, odtwórczyni jednej z głównych ról

80 Rozmowa ze szwedzkim aktorem **Stellanem Skarsgårdem**, odtwórcą głównej roli w filmie „Wartość sentymentalna"

84 Rozmowa z **Łukaszem Garbalem**, autorem biografii „Wańkowicz. Życie na kraterze"

87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97
- **Czcionki polityczne**
- **Nostalgia za 2016**
- **Przybywa lodu**
- **Żywy epos Majów**
- **Wina z Aosty**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **72** Afisz
- **88** Orliński • **89** Sulej
- **90** Hartman
- **91** Chutnik i Plebanek
- **92** Mizerski
- **31**, **92**, **98** Galeria POLITYKI
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

© PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl e94e67b4f3



Zimowe ocieplenie

Jerzy Baczyński

Donald Trump odebrał Pokojową Nagrodę Nobla. I to nie był fejk: Maria Corina Machado rzeczywiście przekazała Trumpowi swój noblowski medal. Dokładnie też wiadomo dlaczego. Trump nie krył oburzenia, że to nie on dostał pokojowego Nobla. To miał być jeden z powodów, dla których, po uprowadzeniu wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro, od razu wykluczył przekazanie władzy liderom opozycji, mówiąc, że Machado „nie ma ani poparcia, ani szacunku". Wdzięcząc się do Trumpa, Machado próbuje teraz jakoś wrócić do gry. Należałoby powiedzieć: dziecinada i żenada, ale dzisiejsza polityka światowa kręci się wokół kaprysów i nastrojów Prezydenta Słońce. Podobnie z rozbijającym NATO konfliktem wokół „planu przejęcia" Grenlandii przez USA. Też wiadomo, że w istocie nie chodzi tu o wydumane, pilne kwestie bezpieczeństwa USA, ale o ego, wieczysty tytuł zdobywcy Trumplandii.

Wenezuelski emigrant i publicysta Boris Muñoz mówi Arturowi Domosławskiemu (na s. 49), że jego krajowi przydałby się dziś polityczny Okrągły Stół, dokładnie na polski wzór, gdzie przedstawiciele słabnącego, ale wciąż zrośniętego z państwem reżimu spotkaliby się z opozycją pod przywództwem pokojowej noblistki, czyli wenezuelskiej Wałęsy. Tyle że u nas w 1989 r. Wałęsa nie musiał oddawać Gorbaczowowi ani swojego Nobla, ani polskich surowców, a Trump raczej nie odpuści kontroli nad wenezuelską ropą. W tym sensie „doktryna Donroe" jawi się jako historyczny klon, parodia doktryny Breżniewa, czyli siłowej dominacji Imperium nad półsuwerennymi wasalami. Dzisiejszy świat jest jednak bardziej skomplikowany, niż się Donaldowi Trumpowi wydaje. Unia Europejska właśnie po 25 latach negocjacji podpisała ważną gospodarczo i geopolitycznie umowę z krajami Mercosur; twardo stawia się USA w sprawie Grenlandii; Kanada zawarła długofalową umowę o współpracy z Chinami; bardzo ożywiły się relacje Europy z „milczącym gigantem", czyli Indiami. Itd. Świat szybko dostosowuje się do Trumpa, a ta nowa geopolityka staje się coraz bardziej antyamerykańska. Można powiedzieć: każdy tupet ma limit.

U nas też. Polski Okrągły Stół, jeden z globalnych symboli pięknych iluzji lat 90. – końca historii, triumfu demokracji, prawa międzynarodowego i w ogóle „dogadywania się", jako formy rozwiązywania konfliktów – został właśnie eksmitowany z Pałacu Prezydenckiego. Dla Karola Nawrockiego, gorliwego trumpisty, rozprawa z tym obłym meblem miała być zapewne demonstracją siły i bezkompromisowości. Ale, paradoksalnie, na początku 2026 r. w polskiej polityce – zdominowanej konfliktem rząd–prezydent – właśnie pojawiła się „atmosfera okrągłostołowa". W krótkim czasie doszło, po wielomiesięcznej przerwie, do spotkania Tusk–Nawrocki, potem trzygodzinne „bardzo dobre" spotkanie odbyli z prezydentem Kosiniak-Kamysz, Siemoniak i szefowie służb, kładąc kres konfliktowi wokół nominacji oficerskich; 26 stycznia ma odbyć się pierwsze (!) oficjalne spotkanie Karola Nawrockiego z Radosławem Sikorskim, co zapowiada jakiś kompromis w sprawie nominacji ambasadorskich.

Zwykle do „okrągłych stołów", czy w ogóle negocjacji i kompromisów, dochodzi, gdy strony sporu zdają sobie sprawę z własnych słabości. Karol Nawrocki po pół roku sprawowania urzędu już chyba je poznał. Koncepcja nękających rząd Rad Gabinetowych nie wypaliła; kolejne weta prezydenckie przykleiły mu kpiący przydomek „wetomatu"; co więcej, po każdym wecie rząd podejmuje coraz skuteczniejsze akcje narracyjne – jak w sprawie kryptowalut czy odrzucenia ustawy wprowadzającej minimalne standardy bezpieczeństwa w internecie. Z kolei własne, prezydenckie projekty ustaw – jak zapowiedział Włodzimierz Czarzasty – będą poddawane surowej analizie i „wetu marszałkowskiemu". Prezydent nie ma też żadnych sukcesów w polityce zagranicznej – jest lekceważony przez „przyjaciela" Trumpa, w Europie nikt go o nic nie pyta, do niczego nie potrzebuje.

Rząd też ma interes w nieeskalowaniu konfliktu. Publiczne spory i różnice zdań między prezydentem i premierem w kluczowej dla nas kwestii pomocy dla Ukrainy już marginalizują Polskę w rozmowach pokojowych. Dobrze też było uniknąć niejasności wobec ustawy budżetowej na 2026 r., gdyby np. Nawrocki odmówił podpisu i wysłał budżet do pisowskiego Trybunału Konstytucyjnego (o nominacjach do TK ciekawie pisze Ewa Siedlecka, s. 21). Mnożenie wątpliwości prawnych wokół finansów państwa groziłoby obniżeniem ratingów Polski i trudnościami pożyczkowymi. Ostatecznie Nawrocki budżet podpisał.

Za moment do prezydenta ma trafić kolejna z „najważniejszych wizerunkowo" ustaw koalicji 15 października – czyli „o statusie osoby najbliższej" – i warto by tu coś wreszcie załatwić. Nadto sama koalicja przeżywa napięcia związane z niestabilnością Szymona Hołowni i jego partii (s. 10). Sondaże pokazują, że wzrost notowań KO się zatrzymał, za to ponad 70 proc. Polaków domaga się współpracy rząd–prezydent. Obie części władzy wykonawczej cierpią na brak sprawczości, razem duszą się w klinczu.

Nie miejmy złudzeń, że konflikt polityczny wygaśnie, ale wygląda na to, że przeniesie się bardziej w sferę symboliczną i werbalną, gdzie brutalnościom nie będzie końca. Stefan Chwin mówi (s. 24), że w porównaniu z taką Ameryką czy Polską przedwojenną nasza wewnętrzna wojna jest względnie łagodna i pozorowana. Faktycznie, nawet bez Okrągłego Stołu w Pałacu w wielu kluczowych sprawach można by się bez trudu dogadać. W dodatku mamy piękną zimę i ferie. Więc może to zimowe ocieplenie jeszcze chwilę potrwa? Jeśli chodzi o polityczne emocje, Trump w zupełności wystarczy.

eprasa.pl e94e67b4f3

DANISH TRAVEL AWARDS 2025

Albatros travel

Nepal – od himalajskich szczytów po safari w dżungli

NOWOŚĆ

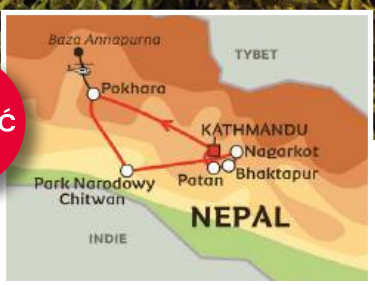

Odkryj z nami barwny Nepal w całej jego różnorodności, od himalajskich szczytów i zachwycającej natury po stare świątynie i uliczne stragany Katmandu.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Katmandu, Nepal. Relaks i zwiedzanie placu Durbar i dzielnicy Thamel. **Dz. 3** Kathmandu – Pokhara. Przejazd autokarem przez wiejskie tereny i spacer po Pokharze. **Dz. 4** Pokhara. Rejs po Jeziorze Phewa i Muzeum Wspinaczki Górskiej. **Dz. 5** Pokhara. Kultura tybetańska i wycieczka do Wielkiej Stupy Pokoju i wodospadu Davis. Możliwość wykupienia wycieczki helikopterem do Bazy Annapurny. **Dz. 6** Pokhara – Chitwan. Od górskich krajobrazów do dżungli Parku Narodowego Chitwan. **Dz. 7** Park Narodowy Chitwan. Przygody w dżungli i zachód słońca nad rzeką. **Dz. 8** Przejazd z Chitwan do Nagarkot. W stronę Himalajów. **Dz. 9** Nagarkot. Wędrówka przez małe wioski w otoczeniu pięknej przyrody. **Dz. 10** Nagarkot – Bhaktapur – Patan – Katmandu. Stare królestwa Nepalu. **Dz. 11** Katmandu. Wycieczka do wiosek Bungmati i Khokana. Kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Katmandu – Warszawa. Powrót do domu.

12 dni
Wyloty z Warszawy
05/11 2026, 07/03 2027

od **12.998,-**



2 posiłki dziennie

Costa Dorada i piękna Katalonia

Wybierz się z nami na tygodniową wycieczkę do Hiszpanii, podczas której zwiedzimy Costa Dorada i Katalonię, od regionu winiarskiego Priorat po rzymską Tarragonę.

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Barcelony i transfer do Cambrils. **Dz. 2** Spacer po Cambrils (m.in. Starówka i port) oraz czas wolny przy hotelowym basenie. **Dz. 3** Fakultatywna wycieczka do średniowiecznego miasta Montblanc i modernistycznego Reus. **Dz. 4** Fakultatywna wycieczka do Barcelony, zwiedzanie miasta. **Dz. 5** Region winiarski Priorat z klasztorem kartuzów, degustacja wina w Escaladai oraz piękne widoki w Siuranie. **Dz. 6** Rzymskie zabytki w Tarragonie wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 7** Wizyta na targu w Cambrils i czas do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Przejazd do Barcelony i podróż powrotna do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 07/05 2026 | od **4.498,-**

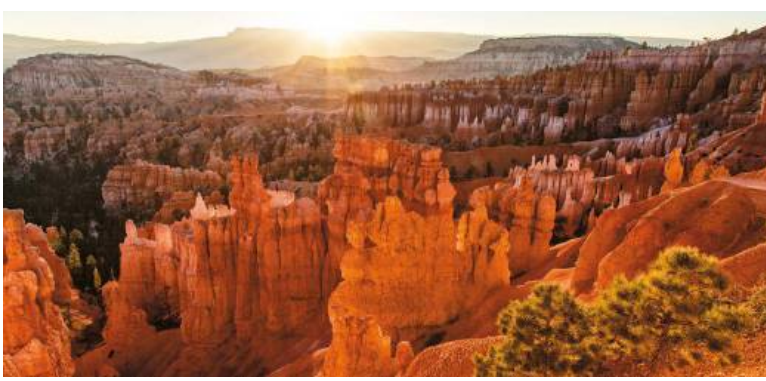

Najpiękniejsze Parki Narodowe USA

Wspaniała podróż z Los Angeles, tętniącej życiem stolicy filmu, przez parki narodowe, pustynne krajobrazy i stolicę hazardu Las Vegas aż do San Francisco.



Podróż rozpoczynamy w Los Angeles i przemierzamy kultowe krajobrazy Dzikiego Zachodu. Odwiedzimy Monument Valley, Wielki Kanion, Yosemite i Dolinę Śmierci, zestawiając dziką naturę z metropoliami: Las Vegas, San Francisco i Hollywood oraz legendarną Route 66.

15 dni | Wyloty z Warszawy 06/05, 29/07 2026 | od **18.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL02**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl e94e67b4f3

Szeryf uciekinier



Ważny polityk PiS zapytany o to, co tak naprawdę mówi się w partii o ucieczce **Zbigniewa Ziobry** do Budapesztu, odpowiada: – *Na palcach jednej ręki mogę policzyć posłów, którzy go bronią. Nawet najbliżsi współpracownicy Zbyszka wiedzą, że jest dla nas obciążeniem.*

W minionym tygodniu sąd odroczył do 5 lutego decyzję o areszcie dla byłego ministra sprawiedliwości ze względu na wniosek obrony o wyłączenie sędzi prowadzącej sprawę. Nawet jeśli ostatecznie zdecyduje o jego zatrzymaniu, będzie to trudne do wyegzekwowania, bo jak się spodziewano, Ziobrowie otrzymali azyl polityczny od Viktora Orbána.

Pierwszy tak otwarcie na temat Ziobry wypowiedział się (już na początku grudnia) jeden z czołowych polityków partii Ryszard Terlecki. „To nas topi" – przyznał. Kilka dni temu zaś poseł PiS Bolesław Piecha stwierdził, że ma „w sprawie azylu dla Ziobry wątpliwości". Mateusz Morawiecki był jeszcze bardziej dosadny: zapewniał, że nie będzie się „starał nigdzie o żaden azyl", i dodał: „Będę walczył tu, na ubitej ziemi z tym rządem". – *Typowe dla Morawieckiego: z jednej strony dowala Ziobrze, a z drugiej realizuje przekaz partyjny ustalony przez prezesa, że mamy osadzać sprawę Ziobry w kontekście politycznym i walki tego rządu z nami* – zauważa nasz rozmówca z PiS.

Kaczyński dobrze wie, że jego posłowie nie palą się do obrony byłego ministra sprawiedliwości. Mówią, że Ziobro zajmuje za dużo uwagi opinii publicznej, że odciąga ją od problemów rządu Tuska. Wielu przyznaje też, że po prostu Ziobro nie jest w partii lubiany, że zawsze grał głównie na siebie; wypominają mu, że choć miał w poprzedniej kadencji zaledwie kilka szabel, to jego ludzie rozpychali się w spółkach i w Lasach Państwowych. – *Irytuje też to, że ziobryści z pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości nie tylko robili sobie kampanię, ale też przywłaszczali je do prywatnych kieszeni* – mówi poseł PiS. Na to zresztą zwracał uwagę w swoim liście Jarosław Kaczyński, który przed wyborami w 2019 r. zwracał się do Ziobry z apelem „o natychmiastowe zakazanie kandydatom Solidarnej Polski korzystania z Funduszu Sprawiedliwości w kampanii wyborczej".

Posłowie PiS wiedzą jednak, że publicznie Ziobry atakować nie mogą. – *Prezes tłumaczy, że trzeba narzucić narrację, że to zemsta polityczna rządu Tuska. Jarosław wie, że takie ustawienie sprawy w elektoracie pomoże, kiedy Żurek weźmie się za naszych kolejnych polityków. Już dziś trzeba docierać z przekazem, że tu chodzi tylko o niszczenie przeciwników politycznych, że zarzuty są dęte.* Przed kamerami więc trzymają język za zębami, a w nieoficjalnych rozmowach podśmiewają się z szeryfa uciekiniera. (DĄB.)

Czyja Polsca?

Chrzcinom nowego promu samochodowo-pasażerskiego **„Jantar Unity"**, który zacumował w Szczecinie, towarzyszyły ochy i achy mieszkańców, że taki piękny i z polskiej stoczni. Tłumy chętnych do zwiedzania były takie, że część musiała odejść z kwitkiem. Na fali sukcesu odezwali się jego polityczni „ojcowie", wystawiając piersi do orderów. Odpowiedzialny za sprawy morskie wiceminister Arkadiusz Marchewka (KO), Szczecinianin, pochwalił się „dowiezieniem" inwestycji po dwóch latach intensywnej pracy. Marek Gróbarczyk (PiS), który wcześniej jako minister miał w swojej gestii morze, podkreślił, że jednostka jest „pierwszym polskim promem z programu PiS". „Śmialiście się ze stępki, to teraz patrzcie" – pisał. Odezwał się też były premier Mateusz Morawiecki: „Widzę, że Donald Tusk i jego ekipa co jakiś czas chwalą się inwestycjami, które zainicjował i praktycznie zrealizował mój rząd – tym razem padło na prom »Jantar«".

Wyraźnie ktoś tu liczy na społeczną amnezję. Zatem przypomnijmy: według ogłoszonego przez PiS w 2017 r. programu Batory pierwszy prom miał być gotowy do końca 2020 r.! Zlecenie trafiło do państwowych stoczni w Szczecinie. Chodziło o dowartościowanie tej części wybrzeża, matecznika Gróbarczyka i Joachima Brudzińskiego. Fachowcy ostrzegali, że te stocznie nie są zdolne podołać zadaniu (technicznie, organizacyjnie i finansowo). Potwierdził to raport NIK (2021 r.) Sławetną stępką (2017 r.) PiS mamił ludzi, że budowa rusza, choć nie było ani projektu, ani finansowania; był tylko polityczny show. Prawdziwą stępkę położono znacznie później w Gdańskiej Stoczni „Remontowa", gdzie w końcu w 2021 r. wylądowało zamówienie na prom. Ale to stocznia prywatna i w Pomorskiem.



Polityczna wola PiS nie sprawiła, że stał się cud. Zmarnotrawiono lata całe, za co zapłacili państwowi przewoźnicy promowi, których pisowski rząd blokował z odnową floty (mieli czekać na prom z programu Batory). Malała ich konkurencyjność. Skutek: utrata ok. 20 proc. rynku na rzecz armatorów zagranicznych. Teraz sposobem na jego odwojowanie ma być konsolidacja trzech polskich armatorów promowych w ramach powołanej niedawno spółki Polsca. Czy to pozwoli odzyskać pozycję na Bałtyku? Czy polska stocznia będzie miała (jak pierwotnie zakładano) nowy produkt eksportowy, który sprosta konkurencji tanich stoczni Dalekiego Wschodu? Jest radość, ale do sukcesu daleko. (RS)

© PAP/ALBERT ZAWADA, ZYGMUNT KARWOWSKI/EAST NEWS, ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl e94e67b4f3

Narcyzi u władzy



Jarosław Kuźniar
Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House

Co z tego, że historia zna takie przypadki? Narcyzm prowadzi do szkody, awantury, bardzo lubi się z populizmem. We współczesnej polityce pada na grunt idealny do wzrostu. NPD, czyli Narcystyczne Zaburzenie Osobowości (ang. Narcissistic Personality Disorder), naukowcy diagnozują u pacjentów, którzy mają poczucie wyższości, potrzebę podziwu i nie znają, niestety, empatii.

Nie podałem jeszcze nazwisk, a wy już wiecie, o kogo chodzi, prawda? Sami na nich głosujemy, dopieszczając narcyza w narcyzie. Na to też są badania. Jako wyborcy znamy wady naszych narcystycznych liderów, wiemy, że to aroganci, ale mimo to dajemy im władzę. Dlaczego? W czasach niepewności narcystyczny lider jest dla nas jak zbawienie. Wygląda na kogoś, kto może pomóc nam opanować własną niepewność.

Wyniki badania Florida Atlantic University dotyczącego amerykańskich wyborów z 2016 r. zatytułowano: „Charisma trumped narcissism for voters in 2016 US presidential election". Gra słów, ale w naukowym kontekście oznacza, że jedna cecha (charyzma) przykryła inną (narcyzm). To był rok, kiedy Trump wygrał po raz pierwszy. Charyzma vs. narcyzm! W psychologii politycznej to kluczowa różnica. Wyborcy widzą narcystyczne cechy kandydata (arogancję, egocentryzm), ale zapakowane w charyzmę biorą za siłę, pewność siebie i sprawczość.

Nie wstyd wybierać sercem, ale nie miejmy pretensji do rozumu, kiedy po ogłoszeniu wyników wyborów przez PKW czujemy się jak na kacu. Badanie Watts i Lilienfelda z Emory University prześwietliło 42 prezydentów USA. Na szczycie rankingu narcyzmu: Lyndon B. Johnson, Theodore Roosevelt, Andrew Jackson, Franklin D. Roosevelt i John F. Kennedy. Odświeżone badanie na koniec ery Trumpa pewnie przemebluje podium.

Z badań wiadomo też, że rola prezydenta tylko podwyższa poziom narcyzmu – siła mediów i potrzeba medialnego ekshibicjonizmu tylko dopalają ego narcyza. Ile razy zapętlaliście wywiady z Andrzejem Dudą, żeby sprawdzić, czy on tak na serio? Infantylna mimika, przesadne akcentowanie, budowanie legendy, która była nierzeczywista. Ile razy, obserwując Karola Nawrockiego, przeliczacie, który to już dzisiaj snus? Skąd to nieustające pobudzenie i prężenie sylwetki jak po treningu crossfit? A jednak większość dała mu władzę.

Badania pokazują też, że zagrożona tożsamość grupy często prowadzi do narcyzmu kolektywnego. Skutecznie przyswoili to na prawicy. A taki społeczny narcyzm pomaga rosnąć w siłę populistycznym reżimom. Wymyślamy wroga, budujemy zagrożenie, siebie przedstawiamy jako jedyny ratunek i wygrywamy wybory. Smoleńsk, Żydzi, LGBT, kobiety, imigranci. Lista wrogów i zagrożeń tylko się wydłuża. I widać tu zresztą sporo podobieństw między USA a Polską. Amerykański narcyzm kolektywny pomógł Trumpowi wygrać za pierwszym razem. W Wielkiej Brytanii zaś narcyzm kolektywny doprowadził do wyjścia kraju z Unii Europejskiej.

Zdjęcie uśmiechniętego Trumpa z Noblem przekazanym mu przez prawdziwą zwyciężczynię jest idealnym autoportretem narcyzmu. Komitet Noblowski dwa razy musiał publicznie przypominać, że: „Sama nagroda – honor i uznanie – pozostaje nierozerwalnie związana z wyróżnionym". Honor, jasne.

Antyaborcjoniści atakują

Grzegorz Braun po raz kolejny uniknął przesłuchania w Prokuraturze Okręgowej we Wrocławiu. Polityk jest podejrzewany m.in. o naruszenie nietykalności cielesnej (poprzez popychanie i przytrzymywanie rękoma), znieważenie i pomówienie ginekolożki Gizeli Jagielskiej w kwietniu 2025 r. Braun wtargnął wtedy do Powiatowego Zespołu Szpitali w Oleśnicy, by, jak twierdził, uniemożliwić „indukcję asystolii płodu", czyli terminację ciąży. Parlament Europejski uchylił jego immunitet już w listopadzie zeszłego roku, ale europoseł zasłania się zwolnieniem lekarskim po operacji oka (to w wyniku choroby ma nosić teraz czarną opaskę na jednym oku). To samo zwolnienie lekarskie Braun złożył w sądzie w Warszawie, gdzie toczy się jego proces w sprawie m.in. wydarzeń w Sejmie z 12 grudnia 2023 r., czyli zgaszenia przy użyciu gaśnicy zapalonych świec w świeczniku Chanuki.



W tej nieprostej i niezapowiadającej się na krótką sprawie napaści na Oleśnicę zarzuty mają postawione na razie cztery osoby. To m.in. działaczka Konfederacji Korony Polskiej Marta Cz., która ma odpowiedzieć za pozbawienie wolności doktor Jagielskiej poprzez uniemożliwienie jej opuszczenia gabinetu lekarskiego i naruszenie nietykalności cielesnej lekarki. Za to przestępstwo grozi jej od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia. Tydzień temu podobne zarzuty usłyszała też Renata S., inna działaczka partii Brauna. Nie przyznała się do winy.

Na przesłuchanie wciąż nie została wezwana za to Gizela Jagielska, ginekolożka, która po zwolnieniu z oleśnickiego szpitala stała się persona non grata w polskiej ginekologii. Jest niezatrudnialna. Początkowo współpracę z nią chciał nawiązać szpital w Ostrzeszowie, ale środowiska anti-choice szybko urządziły tam manifestację. – *To oni dyktują warunki* – mówi lekarka.

Fundacja **Kai Godek** Życie i Rodzina wzięła sobie za cel także **szpital na gdańskiej Zaspie**, w którym pracuje Maciej Socha, konsultant wojewódzki ds. ginekologii, jeden z nielicznych w kraju lekarzy, którzy przeprowadzają aborcje i publicznie popierają liberalizację prawa. Demonstracje pod jego szpitalem odbywają się już cyklicznie co miesiąc. Do prokuratury w Gdańsku trafił wniosek w sprawie łamania tam prawa antyaborcyjnego. Wcześniej działacze anti-choice alarmowali w sprawie rzekomo nielegalnej terminacji ciąży w Oleśnicy, ale prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie. Terror modlitewno-różańcowy pod polskimi szpitalami będzie się tylko się nasilał, zwłaszcza że statystyki publikowane przez szpitale pokazują, iż liczba legalnych zabiegów wróciła do stanu sprzed zaostrzenia prawa. (AGSZCZ)

eprasa.pl e94e67b4f3

Ukraina w cieniu Grenlandii

No i znowu się zaczyna – kolejna runda spotkań, wizyt, negocjacji w sprawie pokoju, który Donald Trump obiecał zaprowadzić błyskawicznie równo rok temu. To, że wojna Rosji z Ukrainą trwa, pomimo – przyznajmy – wielu nadzwyczajnych wysiłków Trumpa, musi być ciemną kartą w bilansie pierwszego roku drugiej prezydentury, o ile zapatrzony w siebie prezydent USA w ogóle go zrobił. Po kilkutygodniowej pauzie wysłannicy biorą się do roboty. Amerykańscy negocjatorzy tym razem rozmawiali z ukraińską delegacją na Florydzie przed wyprawą do Moskwy. Mógłby to być pozytywny znak, gdyby nie to, że prezydent USA znowu wpadł w ten nastrój, w którym obarcza Wołodymyra Zełenskiego winą za brak porozumienia. Zełenski odpowiada, że gdyby tylko Rosjanie chcieli rozejmu, to można go podpisać na konferencji w Davos, dokąd wybiera się Trump. Ukraina ma być jednym z tematów tego pierwszego w roku światowego szczytu, ale nie będzie najważniejszym, gdy Amerykanie przykręcają Europie śrubę w sprawie Grenlandii.

Kreml z nowego kryzysu na Zachodzie wyraźnie się cieszy i nie wysyła nikogo ważnego. Już tylko Trump niezmiennie powtarza, że Rosja chce pokoju, wbrew wszelkim znakom na ukraińskim niebie i ziemi. Putin po raz drugi w czasie wojny użył niedawno nowego narzędzia zastraszania, pocisku balistycznego pośredniego zasięgu **Oriesznik**, którego sześć hipersonicznych głowic spadło na niebroniony Patriotami **Lwów**. Rakieta nie była uzbrojona, ale jej energia kinetyczna wywołała charakterystyczne rozbłyski odebrane w Europie jako eskalacyjna groźba. Dla Moskwy początek roku nie był najlepszy. Efektem ubocznym akcji USA w Wenezueli był uszczerbek wpływów Rosji w regionie, ciosem bezpośrednim zajęcie przez straż przybrzeżną tankowca pod rosyjską flagą na środku Atlantyku. Ośmielone przez Amerykanów kraje europejskie też walczą z flotą cieni. Niemcy zawróciły ze swoich wód tankowiec o wątpliwym pochodzeniu, Włochy zaaresztowały statek z ładunkiem rudy żelaza. Na froncie Ukraina jeszcze w grudniu odzyskała kontrolę nad Kupiańskiem, a ukraińskie kontrataki sprawiają, że Rosja wciąż nie jest w stanie zająć Pokrowska, który miał upaść jesienią zeszłego roku. Zacięta bitwa od kilku tygodni toczy się o Hulajpole, na południowym odcinku frontu. Rosyjska propaganda już kilka razy ogłaszała jego zdobycie, ale jak zwykle Ukraińcy wciąż się bronią. Najgorzej mają mieszkańcy wielkich miast, w tym Kijowa. Nieustanne rosyjskie naloty oznaczają długotrwałe braki prądu, wody i ciepła w samym środku srogiej zimy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI





Trump, Nobel i dwie konkurentki

Maria Corina Machado, liderka wenezuelskiej opozycji, przekazała swój medal Pokojowej Nagrody Nobla 2025 **Donaldowi Trumpowi**. Norweski Instytut Nobla ostrzegał ją, że tytułu nie można przekazać. Już po tym geście w Norwegii zawrzało. „Żałosne", „surrealistyczne", „idiotyczne", „lekceważące [decyzję komitetu]" – tak Norwegowie od lewa do prawa komentowali decyzję noblistki. Dyrektor Instytutu Kristian Berg Harpviken przypomniał podobny gest, który wykonał laureat literackiego Nobla z 1920 r. Knut Hamsun – w akcie podziwu wysłał swój medal nazistowskiemu ministrowi propagandy Josephowi Goebbelsowi.

Machado upiera się, że Trump zasłużył na nagrodę, a rodaków wątpiących w jej gest zapewniała, że amerykański prezydent doprowadzi do demokratycznej przemiany w Wenezueli. Jej decyzja jest osobliwa, tym bardziej że po interwencji zbrojnej USA w Wenezueli 3 stycznia i porwaniu przez siły specjalne dyktatora Nicolasa Maduro Trump odsunął Machado i opozycję od wpływu na bieg zdarzeń w ich kraju. Obraził noblistkę twierdzeniem, że nie ma ona dość szacunku ani poparcia, by objąć władzę. Postawił za to na współpracę ze starym reżimem – tyle że bez Maduro, który w ukradzionych wyborach 2024 r. dostał poparcie dwa razy mniejsze niż kandydat wspierany przez Machado.

Trump, mizogin słynący z upokarzania kobiet, jest teraz w swoim żywiole: dwie liderki zabiegają o jego względy. Ta druga to Delcy Rodriguez, tymczasowa prezydentka (która przed interwencją była wice u boku Maduro); to na nią postawił Trump. „Nie są bohaterkami telewizyjnego melodramatu, w którym walczą o miłość przystojniaka, ale dwiema postaciami, które musiały uciekać się do przebiegłości, niczym współczesne Szeherezady, aby ocaleć na planszy zdominowanej przez »sułtana«: Trumpa" – napisał hiszpański „El País". – Każda z nich musi przetrwać noc po nocy, jednocześnie zmagając się z wewnętrznymi rozgrywkami o władzę". Rywalizację o poparcie Trumpa widać było jak na dłoni w dniu, w którym Machado przekazywała mu noblowski medal. W tej samej chwili rzeczniczka Trumpa zapewniała, że prezydentka Wenezueli Delcy Rodriguez wykonała wszystko, o co poprosił Biały Dom. I podtrzymała zdanie Trumpa o Machado. W Caracas odbywało się wówczas spotkanie szefa CIA Johna Ratcliffa z Delcy Rodriguez.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Rozmowa z Borisem Muñozem o sytuacji w Wenezueli – s. 49, o wenezuelskiej ropie – s. 42, o doktrynie Monroego – s. 66.

© ABACA/EAST NEWS, DP, SHUTTERSTOCK, BADRU KATUMBA/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl e94e67b4f3

Klątwa Niebieskiego Domu?

Seul żyje powrotem Lee Jae-myunga do tradycyjnej siedziby prezydentów, **Niebieskiego Domu**, odpowiednika waszyngtońskiego Białego Domu. Porzucił go w 2022 r. (przenosząc swoją siedzibę do Ministerstwa Obrony) jego poprzednik Yoon Suk-yeol, późniejszy puczysta i autor nieudanego stanu wojennego, ostatecznie zdjęty z urzędu i uwięziony. Właśnie zapadł wyrok pięciu lat w jednym z czterech procesów, w innym grozi mu kara śmierci.

Niebieski Dom od dawna był uważany za miejsce przeklęte, przynoszące pecha. Mieszkali tu okupanci, jeden z prezydentów został tu zamordowany, inni trafiali do więzienia, wydarzyło się mnóstwo nieszczęść. W latach 90. pałac przebudowano, aby zerwać z japońskim kolonialnym oryginałem, to wtedy pojawiło się niebieskie pokrycie ze 150 tys. dachówek *giwa*, ale miejsca nie odczarowano. Prezydentka Park Geun-hye została postawiona w stan oskarżenia. Według *pungsu-jiri*,

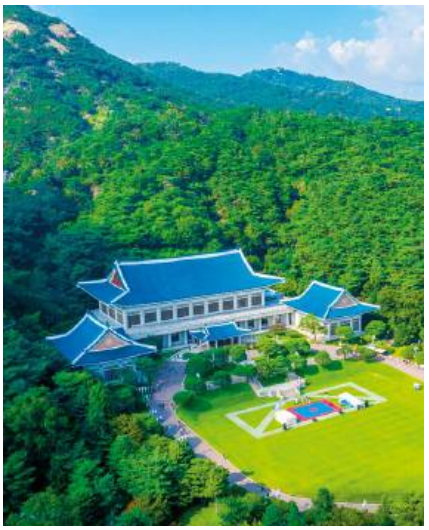

wszechwładnej tu wciąż zasady harmonii i przepływu energii, wszystko to kwestia niekorzystnego położenia u stóp góry Bugak i północno-zachodnich wiatrów, które symbolizują trudności. Wspomniany prezydent Yoon chciał się od nich uwolnić, uciekając z Niebieskiego Domu, ogłosił, że zrywa z „imperialnym stylem", ale według dobrego źródła zrobił to za namową szamanki *mudang*, która ostrzegła, że i jego spotka tu zły los. Tak czy owak miała rację, a rola tradycyjnego szamaństwa w świecie koreańskiej polityki (i nie tylko) to temat na osobną opowieść.

Aktualny prezydent Lee, liberał z ludowymi korzeniami, wydaje się tym wszystkim nie przejmować (choć wiszą nad nim cztery sprawy karne). Ze swojego powrotu do Niebieskiego Domu uczynił symbol normalizacji i ciągłości władzy. Szczęśliwie jest ona dosyć stabilna: jako pierwszy od lat ma większość w parlamencie, ale zobaczymy. Na horyzoncie pojawia się drastyczne rozwiązanie: od 2012 r. Korea Płd. buduje nową stolicę administracyjną w Sedżongu, 120 km od zapchanego Seulu. Prezydent być może się tam przeprowadzi do nowej i czystej siedziby, pewnie po konsultacjach geomantycznych i szamańskich.



Młodzi głosują, reżim liczy

Uganda, kraj z jedną z najmłodszych populacji na świecie, ze średnią wieku ok. 17 lat, będzie rządzona przez 81-letniego prezydenta. **Yoweri Museveni** wygrał właśnie siódme wybory z rzędu, co oznacza, że 40-letnie rządy przedłuża o kolejną pięcioletnią kadencję. Przeciw niemu stanął przywódca opozycji, poseł i popularny muzyk 43-letni Bobi Wine. Miał za sobą poparcie młodych i największych miast. To jednak nie mogło wystarczyć, skoro za Musevenim stanęły starsze generacje, prowincja i przede wszystkim starannie zmobilizowane zasoby państwa.

Do pewnego stopnia tegoroczne wybory były powtórką tych z 2021 r. I tym razem Wine zniknął i nie odnalazł się do zamknięcia tego numeru POLITYKI. O ile poprzednim razem zamknięto go w areszcie domowym, o tyle teraz albo wymknął się obławie służb (na co wskazywałoby nagranie opublikowane w jego serwisach społecznościowych), albo został uprowadzony, co sugerowali jego współpracownicy. Znów na wiele dni wyłączono internet. Oficjalnie po to, by powstrzymać „szerzenie dezinformacji". Nie we wszystkich punktach wyborczych prawidłowo działały biometryczne urządzenia mające potwierdzać tożsamość wyborców. Ulic m.in. stołecznej Kampali pilnowały tysiące żołnierzy i policjantów. Co miało zniechęcić zwolenników Wine'a do ewentualnych protestów – pięć lat temu w okołowyborczych starciach z policją zginęło co najmniej kilkadziesiąt osób.

Wine, który w kampanii występował w kamizelce kuloodpornej i hełmie, oskarżył reżim o szachrajstwa przy urnach. Oficjalnie dostał niecałe 25 proc. głosów, Museveniemu przypadło 72 proc. Reżimy takie jak ugandyjski politolodzy nazywają „autorytaryzmem adaptacyjnym". To system, w którym demokracja jest ściśle kontrolowana przez państwo. Jest więc parlament, działa opozycja, są też sądy, ale władza nie zostawia niczego przypadkowi i utrzymuje swoją przewagę za pomocą selektywnej represji i procedur administracyjnych, w tym ustawiania wyborów.

Museveni jak każdy dyktator z długim stażem dowodzi, że jego trwanie u steru przedłuża okres stabilności i wzrostów. Stabilność faktycznie zapewnił, Uganda jest wyjątkiem w niespokojnym regionie Wielkich Jezior. Co nie idzie w parze z koniunkturą i nie przekłada się na zmniejszenie wielkiego bezrobocia wśród najmłodszych. Ugandyjski prezydent jest trzecią najdłużej urzędującą głową państwa w Afryce, zaczął w 1986 r., jeszcze w czasach Ronalda Reagana i Michaiła Gorbaczowa. Wiek robi jednak swoje. Na następcę typowany jest głównie 51-letni Muhoozi Kainerugaba, głównodowodzący armią, prywatnie syn prezydenta.

eprasa.pl e94e67b4f3



Szymon Hołownia gra głównie na siebie

Wylogowany

RAFAŁ KALUKIN

Polska 2050 zapada się coraz bardziej, a powrót do aktywności Szymona Hołowni chaosu nie pomniejsza. Koalicjanci przyglądają się temu z obawą, także dlatego, że wzrosty KO wyhamowały, Lewica nie idzie w górę, a ewentualny rozłam w PL2050 oznaczałby balansowanie koalicji na granicy sejmowej większości.

Niewykluczone, że była to już ostatnia szarża Szymona Hołowni, który po odrzuceniu aplikacji do ONZ najwyraźniej pożałował pochopnej decyzji o wycofaniu się z krajowej polityki. Nie doczekał się jednak komitetu powitalnego w Polsce 2050, chociaż postronnym mogło się przez chwilę wydawać, że przedłużenie dotychczasowego przywództwa to jedyny sposób na ocalenie jedności partii. Okazało się jednak, że nawet w swoim środowisku niegdysiejszy lider politycznych rankingów zaufania utracił autorytet i nie było wielkiej chęci, żeby na jego wniosek unieważnić cały proces wyborczy. Sprawa miała się jednak rozstrzygnąć na przełożonym posiedzeniu rady krajowej PL2050, które zaplanowano na poniedziałek, tj. już po zamknięciu tego numeru POLITYKI.

Kiedy Hołownia ogłaszał jesienią odejście z polityki, liderzy koalicyjnych stronnictw z ulgą odetchnęli. Mieli już dosyć kapryśnego i coraz mniej przewidywalnego partnera, który szansę przetrwania swojej formacji upatrywał w nasilającej się krytyce własnej koalicji. Pomysł nie był skądinąd szczególnie

eprasa.pl e94e67b4f3





Rywalki: Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paulina Hennig-Kloska (u góry)

nowatorski, gdyż podobnie kalkulowali w odległych czasach politycy PSL, później rozmaite frakcje w AWS, a całkiem niedawno Solidarna/Suwerenna Polska Zbigniewa Ziobry. Za każdym razem z równie marnym skutkiem zarówno dla kontestatora, jak i całego układu politycznego, w ramach którego funkcjonował.

Hołownia najbardziej zresztą szkodził samemu sobie, chociaż uparcie nie chciał wyciągać z tego wniosków. W ostatnim roku już niemal wszystko rozsypywało mu się w rękach. Poczynając od źle zaprojektowanej kampanii prezydenckiej, po której z hukiem wyleciał z politycznej ekstraklasy. A potem doszła do tego słynna nocna schadzka z Jarosławem Kaczyńskim oraz koalicyjna awantura o rzekomy „zamach stanu", czym zbulwersował nawet szeregi własnej partii oraz sporą część jej wyborców.

Po zdjęciu różowych okularów nie dawało się już ukryć, że niedoszły mesjasz „nowej polityki" gra głównie na siebie. Hołownia dosyć bezwstydnie demonstrował przywiązanie do marszałkowskiego stołka w okresie poprzedzającym „rotację", a kiedy nie zdołał jej zablokować, urażony zwinął manatki i ogłosił, że odchodzi z krajowej polityki. Rozpoczynając natychmiast łapczywą gonitwę za nową fuchą. Jakąkolwiek, byle była prestiżowa i zaspokajała osobiste ambicje Hołowni. Z czego ostatecznie też nic nie wyszło.

Odgrywając narcystyczny spektakl jednego aktora, szkodził jednak nie tylko sobie, ale też własnej partii, powszechnie i nie bez racji kojarzonej przecież z jego nazwiskiem. Tym bardziej że przyparta przez niego do muru niespodziewaną decyzją odejścia okazała się absolutnie nieprzygotowana do przeprowadzenia sprawnej sukcesji przywództwa. Co było oczywiście do przewidzenia w przypadku ruchu pozbawionego skrystalizowanego oblicza ideowego. W efekcie zrobiła się z tego tyleż chaotyczna, co brutalna rywalizacja o schedę, dodatkowo uwieńczona widowiskowym kolapsem technologicznym w odwołanej drugiej turze internetowego głosowania.

Uznając się za męża opatrznościowego Polski 2050, Hołownia znalazł się w sytuacji paradoksalnej. Obiecywał wydobycie swojego środowiska z tarapatów, które w znacznej mierze sam wcześniej sprowokował. Przy okazji przeceniając własne możliwości, gdyż partia nie padła na kolana przed marnotrawnym ojcem, któremu nie wyszły plany zrobienia kariery międzynarodowej. Od dawna nie kojarzył się z politycznymi sukcesami, bo przecież erozja notowań Polski 2050 zaczęła się już dwa lata temu. Nie nadawał się również do roli arbitra, który zdoła pogodzić Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz i Paulinę Hennig-Kloskę w ich toksycznej rywalizacji o schedę. W końcu dopiero co zakulisowo wspierał pierwszą z nich, a do tego protegowana Hołowni twardo teraz odmówiła ustąpienia miejsca patronowi.

Próba powrotu do gry okazała się zatem równie niezdarna, jak wszystkie inicjatywy szefa Polski 2050 z ostatniego roku. Oparta na egotycznych złudzeniach i fatalnie na koniec zrealizowana, gdyż Hołownia zastąpił argumenty szantażem moralnym, co musiało zostać fatalnie odebrane. Swoje zrobiło też pewnie i to, że perswadował z odległego Dubaju, dokąd w przededniu posiedzenia rady krajowej udał się na rodzinne wakacje. A kiedy zorientował się, że przegrywa, po prostu się wylogował. I wyglądało to na ogólne wylogowanie z polityki.

Ale to samo chyba czeka całą formację. Nie widać bowiem przed Polską 2050 pozytywnych scenariuszy. Gdyby chodziło tylko o kryzys wizerunkowy, można by spekulować, która z kandydatek lepiej wejdzie w rolę zmienniczki Hołowni. Ale to bez znaczenia, gdyż problem jest natury strategicznej. Po prostu nie widać na obecnej scenie miejsca dla ideowo rozmytej formacji, która kojarzy się głównie z wywoływanymi przez nią problemami.

Doskonale to zresztą było widać przy okazji partyjnych wyborów. Wcześniejsza kampania mało kogo interesowała poza przesadnie z kolei rozpalonym aktywem. Masowe emocje pojawiły się dopiero po odwołaniu głosowania w drugiej turze, chociaż innego rodzaju niż zapewne liczono. Organizacyjna partanina wystawiła Polskę 2050 na publiczne pośmiewisko, stała się internetowym memem. I trudno to będzie teraz odkleić.

Pozostali koalicyjni liderzy z uwagą obserwują jednak rywalizację, która nie pozostanie bez wpływu na cały układ polityczny. Nie brakowało obaw, że rażący brak profesjonalizmu wizerunkowo obciążać będzie wszystkich, co zresztą opozycja próbuje komunikować. Chociaż wydają się one chyba na wyrost, gdyż Polska 2050 pozostaje przypadkiem szczególnym. Pozostali partnerzy też przecież organizowali niedawno wewnętrzne wybory i wszystko przebiegło bez zakłóceń.

Burzliwe przetasowania w partii Hołowni zaczynają już jednak wpływać na ogólne polityczne kalkulacje. Z perspektywy premiera i pozostałych koalicyjnych liderów kandydatką preferowaną jest oczywiście Paulina Hennig-Kloska (dużo bardziej przewidywalna od buńczucznej Pełczyńskiej-Nałęcz) nastawiona na współpracę i być może przyszłe połączenie sił w wyborach. Zwycięstwo jej rywalki – jak słychać w kuluarach – skutkować będzie skrajną formalizacją wzajemnych relacji. Najpewniej wyłoni się wtedy ▶

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, DAWID DMITRIEW/FORUM

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ koalicja dwóch prędkości. Z Donaldem Tuskiem, Włodzimierzem Czarzastym i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, ustalającymi we własnym gronie kluczowe sprawy, oraz ceremonialnie dopraszaną na sam koniec Pełczyńską-Nałęcz.

O niechęci premiera do szefowej resortu funduszy najlepiej świadczy to, że od trzech miesięcy ignoruje oficjalny wniosek Polski 2050 o powołanie Pełczyńskiej-Nałęcz na stanowisko wicepremierki. Zwłoka najczęściej jest tłumaczona oczekiwaniem na rozstrzygnięcie partyjnych konkursów, co oczywiście jest zrozumiałe, gdyż ewentualne zwycięstwo jej rywalki może oznaczać wycofanie kontrowersyjnej polityczki z rządu (i w sumie polityczny niebyt, gdyż Pełczyńska-Nałęcz nie kandydowała do Sejmu). Tyle że przez cały ten czas Tusk ponoć ani razu nie zaszczycił swojej podwładnej w rządzie choćby zdawkową rozmową, traktując ją jak powietrze. A to już świadczy o ogromnym deficycie zaufania.

Zresztą dwojakiego rodzaju, bo to konflikt nie tylko osobowości, ale i politycznych koncepcji, pomysłów na funkcjonowanie w koalicji. Pełczyńska-Nałęcz otwarcie zapowiada, że będzie podążać ścieżką Hołowni, czyli odróżniać się od koalicyjnego tła i wchodzić w zwarcia. Co już dotychczas praktykowała, ale kiedy stanie na czele partii, jej możliwości naciskania dodatkowo urosną. Dzisiaj koalicyjna większość nie wydaje się co prawda zagrożona, ale można sobie wyobrazić sytuację, w której coraz bardziej sfrustrowana fatalnymi sondażami Polska 2050 zaczyna grać coraz to ostrzej, otwarcie już szantażując partnerów swoją rolą języczka u wagi w sejmowych głosowaniach.

I z czasem może się z tego urodzić scenariusz opuszczenia koalicji i zajęcia miejsca obok Partii Razem. Jeżeli bowiem notowania Polski szybko nie odbiją (a nie zanosi się na to), jej liderzy mogą w końcu uznać, że politycznie nie mają nic do stracenia, bo przecież wspólne listy z KO już nie będą wchodzić w rachubę. Z drugiej strony powstrzymywać ich jednak mogą zajmowane stanowiska w administracji i biznesie, co – jak wiadomo – jest w partyjnej polityce najsilniejszym klejem.

Ale bardziej prawdopodobny wydaje się mimo wszystko scenariusz podziału dzisiejszego 31-osobowego klubu na mniejsze grupki, z którymi tym trudniej byłoby negocjować głosowania. To m.in. pod tym kątem marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty miał niedawno wykluczyć z konwentu seniorów przedstawicieli niewielkich kół poselskich (czyli poniżej 15 członków). W pierwszej kolejności relegowani z sejmowej elity zostali oczywiście ludzie Grzegorza Brauna z Konfederacji Korony Polskiej oraz wyemancypowana z klubu Lewicy poselska czwórka Razem. Ale w przyszłości – jak słychać na marszałkowskim korytarzu w Sejmie – ma być to czynnik powstrzymujący ewentualnych rozłamowców w skłóconej Polsce 2050.

Jednak od jakiegoś czasu słychać, że jakaś część posłów i posłanek Polski 2050 jest wstępnie dogadana na przejście do KO, a pojedyncze osoby aplikowały też do Lewicy. Jeżeli więc ewentualnemu następcy Hołowni nie uda się utrzymać partii w ryzach, może się to skończyć jej szybkim politycznym rozbiorem.

Koalicję 15 października zapewne czeka więc gruntowna przebudowa. W pierwotnym kształcie był to zbalansowany układ polityczny z KO w centrum, prawym skrzydłem w postaci Trzeciej Drogi oraz Lewicą na przeciwległej flance. Co jednak nie sprawdzało się najlepiej, gdyż oba skrajne elementy najczęściej wchodziły w zwarcia i wzajemnie się blokowały. Rozpad Trzeciej Drogi latem ubiegłego roku osłabił jednak presję z prawej strony, a kojarzone z nią tematy (np. deregulację) zaczął przejmować sam Tusk oraz jego formacja, której od czasów kampanii Rafała Trzaskowskiego wyraźnie już przeszła ochota na flirtowanie z lewicowymi wrażliwościami.

Przy okazji zmienia się dotychczasowy model współpracy w gronie liderów. Obrażony Hołownia zerwał kontakty z partnerami jeszcze jesienią, a jego krocząca ku upadkowi formacja i tak już nie będzie mogła liczyć na podmiotowe traktowanie. Kosiniak-Kamysz tradycyjnie dobrze dogaduje się z Tuskiem, ale zakopany po uszy w resorcie obrony prowadzenie polityki często ceduje na swoich partyjnych podwładnych. Chociaż ludowcy w sondażach nie wypadają lepiej od Polski 2050, silnie osadzeni w strukturach terenowych pozostają atrakcyjnym partnerem do zawierania wyborczych sojuszy. Problem w tym, że na razie trochę nie mają z kim, jeśli nie liczyć KO. To jednak dla nich scenariusz ostatniego wyboru, nawet jeśli Tusk miał niedawno ponowić w rozmowie z Kosiniakiem-Kamyszem w cztery oczy zaproszenie do wspólnego startu.

Co nie zmienia faktu, że miejsce dawnego kwartetu zajmuje dzisiaj duet Tusk-Czarzasty będący realnym motorem napędowym koalicji. Zwłaszcza od momentu, w którym lider Lewicy przejął z rąk Hołowni realne narzędzia ustrojowe. I to właśnie z marszałkiem Sejmu premier uzgadnia strategię polityczną na najważniejszych frontach, choćby rywalizacji z wielkim pałacem. Obowiązuje pomiędzy nimi nieformalne porozumienie, które sprowadza się do tego, że przesuwający się na prawo Tusk pozwala formacji Czarzastego zagospodarowywać odsłonięte rewiry po lewej stronie i nie zakłada jej blokad rozwojowych (co w przeszłości nieraz się zdarzało).

Widać to było chociażby przy okazji ubiegłotygodniowej wizyty marszałka Sejmu w Niemczech, w trakcie której dużo śmielej od Tuska i Sikorskiego zabiegał o dobre relacje z zachodnim sąsiadem, pozwalając sobie nawet na zdystansowanie się od postulatu reparacji. I można się spodziewać, że podobny schemat nieraz będzie wracał przy okazji takich tematów, jak wspieranie Ukrainy, imigracja albo polityka klimatyczna. Z wymiennością ról pomiędzy uciekającym w mimikrę Tuskiem i ofensywnym Czarzastym, który ma odgrywać rolę pancerza przed populistycznymi atakami prawicy. Czytelnemu podziałowi zadań dodatkowo przysłużyła się marginalizacja Rafała Trzaskowskiego, który dla ogromnych grup jeszcze niedawno stanowił wzorzec z Sèvres lewicowego polityka.

Pod koniec ubiegłego roku harmonijna relacja została jednak zakłócona, kiedy Tusk w wyraźnie gniewny sposób zablokował projekt ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy. To oczko w głowie szefowej resortu rodziny Agnieszki Dziemianowicz-Bąk, która zamierzała wyposażyć inspektorów w instrument natychmiastowego przekształcania umów cywilnoprawnych w umowy o pracę (ale z możliwością odwołania się pracodawcy do sądu, piszemy o tym więcej na s. 28). Sprawa od miesięcy budziła emocje wśród przedsiębiorców, ale politycznie nie była szczególnie eksploatowana. Na czym zresztą zależało autorce projektu, która planowała we względnej ciszy „dowieźć" sporną kwestię, którą umieściła w szerokiej regulacji będącej jednym z kamieni milowych KPO.

I kiedy wydawało się, że już dopięła swego, Tusk nakazał cofnąć projekt. Dlaczego tak późno? Podobno zawalił powołany do nadzorowania ustaw w imieniu premiera Maciej Berek, który po prostu przegapił kontrowersyjny zapis i nie poinformował

eprasa.pl e94e67b4f3



Miejsce dawnego kwartetu zajmuje dzisiaj duet Tusk-Czarzasty

szefa na czas. Po Sejmie krążą też plotki o wizycie, którą miał złożyć Tuskowi wpływowy biznesmen Rafał Brzoska, żeby zaprotestować przeciwko ograniczaniu umów cywilnoprawnych (na których opiera się model biznesowy jego firmy InPost). Chociaż należy je traktować z dystansem, gdyż znana jest od wielu lat niechęć Tuska do nawiązywania nieformalnych relacji z biznesem. Prędzej już uznał, że ustawa w takim kształcie może mu utrudnić kokietowanie „wolnościowych" wyborców Konfederacji. A być może przy okazji odżyła w nim również dusza ekonomicznego liberała?

W pierwszej chwili otoczenie Czarzastego było jednak zdezorientowane, gdyż nie wiedziało, czy spięcie jest tylko incydentem, czy też Tusk wypowiedział polityczną umowę. Po spotkaniu premiera z marszałkiem okazało się, że jednak to pierwsze. Miało się już zresztą wykluć kompromisowe rozwiązanie, które przewiduje natychmiastową transformację kontraktu w etat w przypadku wyrażenia na to zgody przez obie strony umowy. W przeciwnym razie sporne sprawy będą rozstrzygać sądy pracy.

Partnerstwo przetrwało zatem chwilowy kryzys. Kolejnych nie można zresztą wykluczyć, chociażby przy okazji forsowanego przez lewicowego wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego podatku cyfrowego od wielkich platform. Bo czy Tusk przepuści regulację, której jedynym skutkiem będzie gniew amerykańskiego ambasadora, bo przecież prezydent w żadnym razie jej nie podpisze? Politycy Lewicy liczą się z założeniem blokady, chociaż ma to się mieścić w ogólnie przyjaznym modelu relacji.

Kolejnym punktem nieformalnego kontraktu pozostaje oczywiście zmarginalizowanie Partii Razem. Tak żeby Adrian Zandberg spokorniał i za niespełna dwa lata raz jeszcze poszedł do wyborów wspólnie z Lewicą Czarzastego. Ten cel zdaje się jednak coraz bardziej oddalać. Choć bieżące sondaże nie dają Zandbergowi podstaw do optymizmu, nadal uskrzydlony kampanią prezydencką lider Razem coraz mniej chętnie podkreśla lewicową identyfikację, zamiast tego eksponując wizerunek pokoleniowej partii buntu przeciwko elitom „duopolu". Odwołującą się bardziej do emocji niż programu i tym samym w sumie bliższą Konfederacji niż lewicowemu krewniakowi. Relacje Razem z Lewicą są dzisiaj zresztą wyjątkowo napięte, chociaż w otoczeniu Czarzastego wciąż słychać zapewnienia, że mosty nie zostały jeszcze definitywnie spalone.

Czekają nas zatem teraz w koalicyjnej polityce długie miesiące manewrowania. Z możliwością wcześniejszej implozji Polski 2050, która wydaje się już chyba przesądzona, oraz przy zacieśniającym się partnerstwie Tuska z Czarzastym, dla którego nie ma dzisiaj alternatywy. I tak zapewne aż do jesieni, kiedy parametry kolejnego rozdania powinny się już powoli krystalizować.

RAFAŁ KALUKIN

© PAWEŁ SUPERNAK/PAP

eprasa.pl e94e67b4f3

Spokojnie, to tylko broszura

Rządowy „Poradnik bezpieczeństwa” właśnie ląduje w milionach egzemplarzy w naszych skrzynkach pocztowych. Czy jest przydatny? I dlaczego wzbudził u Polaków taki niepokój?

KATARZYNA KACZOROWSKA



ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

eprasa.pl e94e67b4f3

Książeczka jest niewielka i niezbyt gruba. To w sumie 52 strony, z czego pięć przeznaczono na tzw. plan na kryzys. Tutaj w przygotowanych już rubrykach można (a właściwie trzeba) wpisać dane kontaktowe osób, które należy zawiadomić na wypadek kryzysu, miejsce, w którym członkowie rodziny się spotkają, jeśli zostaną w tym kryzysie rozdzieleni (w najbliższej lokalizacji oraz poza miejscowością zamieszkania) wraz z telefonem i danymi osoby do kontaktu. Przewidziano też miejsce na wpisanie chorób, alergii i przyjmowanych leków (dla każdego członka rodziny), na listę niezbędnych rzeczy (wraz z informacją, gdzie są trzymane) oraz na ważne telefony, np. lekarza rodzinnego, opiekunów dzieci, seniorów, osób z niepełnosprawnościami, sąsiadów, znajomych, do pracy i przychodni. To o tyle zasadne, że dzisiaj większość z nas dane kontaktowe zapisuje w telefonie komórkowym, a jeśli nie będzie prądu, możemy ważnych numerów nie odtworzyć.

Poradnik zaleca, by mieć zawsze przygotowane papierowe mapy – system GPS może nie działać, jeśli dojdzie do ataku cyberprzestrzeni.

Na wypadek odcięcia systemów łączności komórkowej warto mieć przygotowane CB-radio, walkie-talkie, radio na korbkę – do kupienia w sklepach internetowych za ok. 250 zł, np. z latarką ledową z trzema opcjami ładowania: na energię słoneczną, USB i korbę ręczną, co daje możliwość działania bez gniazdka elektrycznego. Z dozą niepokoju czyta się jednak zalecenia, by przygotować przedmioty do uszczelniania i zabezpieczania okien i drzwi, np. koce, ręczniki, taśmy, a siebie na przerwy w dostawach wody, prądu, gazu i na brak dostępu do telefonu i internetu.

Zalecenie jest jasne i proste: po przeczytaniu poradnika każdy powinien opracować swój plan działania, jeśli znajdzie się w sytuacji kryzysowej, a taką wbrew pozorom nie jest od razu wojna, ale przede wszystkim kataklizmy naturalne, jak choćby powódź, śnieżyca, huragan, pożar lub blackout. Wojna, cyberprzestępczość czy zagrożenie terrorystyczne swoje miejsca w poradniku też znalazły, choć wcale nie na pierwszym miejscu.

Pod promocyjnym wpisem na platformie X jej użytkownicy w komentarzach nie przebierali w słowach. Pochwał było zdecydowanie mniej niż krytyki, kpin i żartów. „Banalna broszurka, bez konkretów. Leży tam, gdzie jej miejsce, czyli w zmieszanych". „18 milionów egzemplarzy makulatury. A wystarczyło ogarnąć PDF i go udostępnić gospodarstwom domowym w kraju". „Niby dobry pomysł, ale informacje, które tam są, średnio są przydatne i zbyt ogólne, na spokojnie można przekazać je na godzinie wychowawczej w szkole. Bądź w 15-minutowym filmie w internecie. Przepalone pieniądze". „W Skandynawii ludzie dostali takie poradniki w 2023 r., wam zajęło to 4 lata wojny i nie ma w nich nic zaskakującego dla osób, które się tym tematem interesują. Ile baniek prze... na to??? Jak Sasin na kopertowe???".

Według przetargu MSWiA budżet na druk i dystrybucję Poradnika Bezpieczeństwa to 22,6 mln zł netto (plus VAT) za 16 mln egzemplarzy. Dystrybucja obejmie ok. 13 mln gospodarstw. Jak informuje MSWiA, dodatkowo jest dostępna wersja cyfrowa poradnika, w polskiej i angielskiej wersji językowej na stronie: www.gov.pl/poradnikbezpieczenstwa oraz na stronach urzędów administracji publicznej. Planuje się również wydanie wersji papierowej zapisanej alfabetem Braille'a. We współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji szykowana jest publikacja „Poradnika bezpieczeństwa" w aplikacji mObywatel.

Oswoić lęk

Anna, nauczycielka akademicka, przyznaje, że kiedy znalazła w swojej skrzynce pocztowej poradnik, w pierwszym odruchu miała ochotę go wyrzucić. Tym bardziej że na parapecie jeden z sąsiadów swój zostawił w kopercie, bez otwierania. Jej kilka dni leżał na stole w pokoju i – jak mówi Anna – czekał, aż dojrzeje.

– *Jego plusem jest to, że porządkuje informacje. W jednym miejscu daje wszystkie telefony alarmowe. Autorzy pamiętali nawet o zwierzętach domowych i ich ewakuacji. Ale jak doszłam do tego, co powinnam mieć w domu na wypadek jakiejkolwiek katastrofy, uświadomiłam sobie, że nie mam nawet latarki, o kocu termicznym, plecaku ewakuacyjnym, zapasie wody i wiadrze z pokrywką nie wspominając. I gdzie miałabym to wszystko trzymać?* – pyta retorycznie Anna, która doskonale pamięta powódź z 1997 r. Ewakuowała się wtedy ze swoim ówczesnym chłopakiem, kotem i żółwiem z mieszkania nad Odrą do rodziców, którzy mieszkali na wrocławskim osiedlu niezagrożonym wielką wodą. Zabrała kilka ubrań, bieliznę na zmianę, chyba zapomniała o dokumentach, pewna, że wrócą do siebie za kilka dni. Z tych kilku dni zrobiły się trzy tygodnie.

– *Koleżanka z pracy zdenerwowała się, bo musiała uspokajać mamę, przekonaną, że poradnik dostała, bo zaraz wybuchnie wojna. Sama zresztą bała się otworzyć kopertę z tego samego powodu co mama* – przyznaje Anna. I dodaje, że właściwie dopiero poradnik uświadomił jej, że od dawna w ogóle nie ma gotówki. Wszystko na kontach, tylko karty, czasem 50 zł w portfelu, choć brat kilka miesięcy temu przekonywał ją, że to błąd, bo powinna mieć w szufladzie schowane na wszelki wypadek przynajmniej 1–1,5 tys. zł w różnych nominałach. Śmiała się wtedy z jego skarpety i kpiła, że jest panikarzem. Dzisiaj już się nie śmieje. W poradniku o tej gotówce na czarną godzinę stoi czarno na białym.

Agnieszka Paszko, psycholog i psychoterapeutka: – *Żyjemy w świecie realnych, a nie urojonych zagrożeń. I to nie musi być od razu wojna. Wydaje nam się, że pożar, cyberoszustwo, powódź dotykają innych, nigdy nas. Mamy też tendencję do tego, by ktoś, w tym wypadku państwo, wziął odpowiedzialność za nasze bezpieczeństwo. A tutaj państwo wyraźnie mówi, że to bezpieczeństwo zależy też od nas samych. Na wojnę wpływu nie mamy, ale na nasze zachowanie w sytuacji zagrożenia już tak.*

Psychoterapeutka nie kryje, że sama przeszła instruktaż z zakresu bezpieczeństwa – pracowała na Bliskim Wschodzie w szkole międzynarodowej. To był czas po zamachu na World Trade Center. I ze względu na zagrożenie terrorystyczne w szkole odbywały się, traktowane bardzo poważnie, regularne szkolenia i ćwiczenia dotyczące ewakuacji dzieci w razie alarmu.

– *Poznaliśmy procedury. Dzieci i pracownicy szkoły wiedzieli, co robić, a to zredukowało potencjalną panikę, kiedy doszło do prawdziwego alarmu bombowego* – opowiada Agnieszka Paszko. I dodaje, że lęk, jaki może pojawić się u każdego, kto wyciągnie ze swojej skrzynki pocztowej poradnik bezpieczeństwa, jest jak najbardziej naturalny.

Alert nie tylko w komórce

Poradnik, obok MSWiA i Ministerstwa Obrony Narodowej, firmuje też Rządowe Centrum Bezpieczeństwa. Jego rzecznik Piotr Błaszczyk nie kryje, że ma w domu trzy plecaki ewakuacyjne: dla siebie, żony i dziecka. Każdy jest inny, bo różnią się i wielkością, i zawartością. ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ Co powinno się znaleźć w takim plecaku? To stresująco długa lista. Więc: woda butelkowana, filtry lub tabletki do uzdatniania wody, apteczka i leki osobiste, środki higieniczne i do dezynfekcji, dokumenty, ich kopie na pendrivie i gotówka w różnych nominałach, latarka i radio na baterie lub na korbkę, naładowany telefon i powerbank, ładowarka, pasujące kable i zapasowe baterie, scyzoryk lub multitool, zapalniczka, worki na śmieci, mapy drukowane, żywność wysoko odżywcza, taka jak batony energetyczne, suszone owoce, bakalie itp. Ale też ubranie dopasowane do pory roku, coś przeciwdeszczowego, śpiwór, karimata, folia termiczna i oczywiście alternatywna łączność (np. walkie-talkie). Trudno także nie poczuć lęku, kiedy czyta się zalecenie, by w tym plecaku znalazła się też ważna rzecz osobista, np. zdjęcie, pamiątka rodzinna...

Ceny? Od 350 zł do nawet blisko 4 tys. Do kupienia w specjalistycznych sklepach ze sprzętem survivalowym, ale też w sieciach dyskontów i marketach – bez wyposażenia, za jedyne 121 zł.

Kłopot w tym, że wiele osób już nawet nie wie, co to walkie-talkie ani skąd wziąć np. CB-radio. W ogóle nie jest jasne, jak traktować zalecenia z broszury, co tu jest priorytetem, czy naprawdę trzeba zaopatrzyć dom w piecyk gazowy lub olejowy (s. 29), pięć rodzajów gaśnic przeznaczonych do różnych typów pożarów, czy w samochodzie trzeba mieć „kartę ratowniczą" – i co to jest?

Błaszczyk przekonuje, że poradnik bezpieczeństwa zebrał bardzo wysokie oceny od ekspertów zewnętrznych, czyli m.in. z zagranicy. Pytany o to, czy rozsyłanie go cztery lata po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie (bo głównie z takim zagrożeniem jest kojarzony) nie jest zbyt późne, odpowiada: – *Zaraz po ataku Rosji na Ukrainę RCB opublikowało poradnik „Bądź gotowy", który stał się bazą do stworzenia tego, który teraz dociera do Polaków.*

Dokument został porównany z blisko 30 podobnymi poradnikami z całego świata, szczególnie w kontekście zagrożeń hybrydowych. Oceniali go i eksperci zewnętrzni, i firma konsultingowa. – *Pracowaliśmy z ponad setką specjalistów z kraju, by dostosować całość do współczesnych realiów. Te trzy lata doświadczeń pozwoliły nam wprowadzić konkretne zmiany. I dodatkowo pojawiła się możliwość skorzystania z funduszu ochrony ludności. I dzięki temu też udało się wydrukować te poradniki* – tłumaczy rzecznik RCB. I dodaje, że kiedy w jednej ze stacji telewizyjnych miał dyżur na infolinii, dzwoniący najczęściej pytali o to, gdzie szukać schronów. Można je znaleźć w aplikacji gdziesieukryc.pl – zastąpiła wcześniejszą Schrony. W tej nowej, uruchomionej pod koniec 2025 r., zrezygnowano z informacji o stanie i pojemności schronów. Mapa pokazuje je w promieniu kilku kilometrów od zaznaczonego punktu, a aplikacja daje możliwość ustawienia trasy do wybranego miejsca schronienia lub włączenia kompasu.

Plecak nie tylko na wojnę

– *Sam pomysł poradnika oceniany był bardzo pozytywnie. Dzwoniły zresztą osoby starsze, które często podkreślały, że nie są biegłe w internecie i taka książeczka to dla nich duże ułatwienie* – mówi Piotr Błaszczyk. I od razu dodaje, że niezależnie od poradnika RCB w ramach swoich kompetencji cały czas organizuje szkolenia. Ostatnio dla województw w kontekście procedury dotyczącej postępowania na wypadek zagrożenia z powietrza.

To zagrożenie wystąpiło jesienią 2025 r., kiedy w Polsce znajdowano części dronów ze Wschodu, a przy okazji okazało się, że system powiadamiania alarmowego może nie jest całkowicie dysfunkcyjny, ale nie wszędzie zadziałał tak, jak powinien, kiedy w kilku powiatach przygranicznych zdecydowano się na próbne alarmy.

Piotr Błaszczyk pytany, czy poradnik z opisem plecaka ewakuacyjnego nie straszy obywateli, odpowiada: – *Większość osób, niestety, rzeczywiście kojarzy ten plecak z zagrożeniem wojennym. Ale sam odbierałem w czasie powodzi na Dolnym Śląsku telefony, gdzie ludzie dzwonili i przyznawali, że najpierw z plecaków żartowali, potem je sobie przygotowali, a jak doszło do ewakuacji, to było mniej paniki i nerwów, bo wiedzieli, co przy sobie mają.*

Rzecznik RCB uważa, że byłoby dobrze, gdyby takie plecaki mieli kierowcy na wypadek powtórzenia się sytuacji, kiedy wielu utknęło na drogach w czasie niedawnej śnieżycy na S7.

Nie czekając na rządowy poradnik, samorządy zaczęły działać na własną rękę. Tomasz Sikora z Biura Prasowego Urzędu Miejskiego Wrocławia wylicza: – *Zainwestowaliśmy w ćwiczenia, sprzęt, monitoring. Ten ostatni dotyczy potencjalnego zagrożenia z powietrza, a więc dronów, ale też od wody na wypadek powodzi. Testujemy syreny, ale też wydaliśmy „Poradnik na czas kryzysu", który w maju zeszłego roku trafił pod 120 tys. adresów w mieście* – mówi Sikora. I dodaje, że najbliższe priorytety wdrożeniowe w zakresie bezpieczeństwa to m.in. zabezpieczenie żywnościowe miasta, gdzie kluczową rolę w razie kryzysu odegrają ogródki działkowe i utworzona w 2024 r. we współpracy z Uniwersytetem Przyrodniczym we Wrocławiu farma miejska.

Szkolenia z zakresu bezpieczeństwa organizowane są też w Sopocie – w listopadzie odbyły się dwa. Prezydentka miasta Magdalena Czarzyńska-Jachim nie chciała, jak mówi, straszyć wojną i schronami, więc był wykład o plecaku, były stoiska różnych służb, aptek, a przyszli głównie seniorzy.

– *Mamy u nas w mieście Sopockie Pudełko Życia. To zwykła plastikowa tutka, w której jest karteczka, a na niej wypisane leki, telefony kontaktowe, choroby właściciela. Do pudełka dołączona jest naklejka na lodówkę bądź szafkę, a na niej jest napisane, gdzie szukać tych informacji* – mówi Magdalena Czarzyńska-Jachim. I dodaje, że ostatnio seniorzy zgłosili jej, że w pudełku powinna być informacja, co w razie czego zrobić z kotem, psem czy papużką, która z kimś mieszka. (Dokładnie te same informacje należy wpisać do poradnika bezpieczeństwa rozsyłanego właśnie po Polsce).

Hubert Trusiuk, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Mieszkańców i Zarządzania Kryzysowego w Urzędzie Miasta Chełm, to były wojskowy, szkoleniowiec survivalu, mówi wprost: – *Demony trzeba oswajać. Poradnik to zawsze wartość dodana, choć ja uruchomiłbym aplikację, którą należałoby połączyć ze zwrotem, pracującą w trybie off-line. Bo ta książeczka, która teraz trafiła do tylu domów, gdzie będzie za tydzień, dwa?* I dodaje, że ludzi trzeba szkolić, nawet jak nie chcą. A my powinniśmy się uczyć od Ukraińców.

Jak to robią Ukraińcy

Przez cztery lata wojny Ukraińcy wypracowali cały system powiadamiania o niebezpieczeństwach i informacji o tym, jak się chronić. Jednym z najważniejszych jego elementów jest powiadamianie o nalotach – poprzez syreny alarmowe, którym często towarzyszy komunikat słowny: „Alarm lotniczy, wszyscy do schronów" albo „Odwołanie alarmu lotniczego". Na stronach internetowych władz regionalnych albo ministerstwa do spraw nadzwyczajnych są

eprasa.pl e94e67b4f3



Jeden z typów plecaków ewakuacyjnych i jego zawartość

© LESZEK ZYCH

zamieszczane dokładne instrukcje, jak się zachować w przypadku zagrożenia.

Ale to nie wszystko – oficjalna aplikacja „Powitrnaja triwoga" włącza alarm przeciwlotniczy w telefonie komórkowym. Są też mapy, na których można sprawdzić, w jakich regionach kraju ogłoszono alarmy, a także z jakich kierunków nadlatują właśnie rakiety i drony, oraz jak zmienia się ich trajektoria lotu. Można więc przewidzieć wcześniej nadchodzące uderzenie.

Przepływ informacji zapewniają kanały na komunikatorze Telegram – informacje zamieszcza tam ministerstwo do spraw nadzwyczajnych i lokalne władze. Niemniej ważne są czaty mieszkańców, którzy po sąsiedzku informują się o niebezpieczeństwach, zamieszczają zdjęcia zniszczeń.

Oficjalna aplikacja Dija (odpowiednik mObywatela) pozwala wyszukać adres najbliższego schronu. Podobne informacje można znaleźć na interaktywnych mapach miast. Zejścia do schronów są zazwyczaj dobrze oznaczone. To też wynika z doświadczeń czterolecia. Na początku ludzie ginęli, bo nie mogli znaleźć drogi do schronienia albo odbijali się od zamkniętych drzwi.

Najwięcej osób ginie od odłamków lub ataków dronów. Tu bezpieczeństwo zapewniają najprostsze schronienia, np. piwnice. Doskonale sprawdzają się proste naziemne schronienia z betonu, ustawiane przy przystankach komunikacji w przyfrontowych miastach, jak Chersoń czy Kramatorsk.

Ważnym elementem systemu bezpieczeństwa są „Punkty niezłomności". To miejsca wsparcia dla ludności cywilnej, gdzie można się ogrzać, naładować telefon komórkowy, skorzystać z internetu, napić się ciepłej herbaty. W centrach można często otrzymać pomoc medyczną i psychologiczną. Znajdują się w szkołach, remizach, urzędach – sprawdzają się szczególnie zimą, gdy przeciwnik atakuje infrastrukturę krytyczną i całe dzielnice pozostają bez prądu i ogrzewania.

Na terenach przyfrontowych władze ogłaszają i organizują ewakuacje. W przypadku dzieci są one obowiązkowe (za ukrywanie niepełnoletnich grozi odpowiedzialność karna). Informacje przekazywane są przez internet, ulotki, czasami przez głośniki czy wizyty bezpośrednie. Ewakuacjami zajmują się ratownicy, policja, a także w dużym stopniu wolontariusze, którzy ściśle współpracują z lokalnymi władzami.

Schrony i ewakuacje

We wrześniu 2025 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poinformowało, że rząd po raz pierwszy we współczesnej historii przeznaczył ogromne środki na wzmocnienie ochrony ludności i obrony cywilnej. Program na najbliższe lata zakłada m.in. dostosowanie obiektów zbiorowej ochrony do współczesnych zagrożeń, adaptację budynków pod te cele oraz tworzenie budowli ochronnych. Samorządy dostaną na to blisko 5 mld zł z programu Ochrona Ludności i Obrona Cywilna. Trwa przegląd potencjalnych obiektów zbiorowej ochrony – wczesną jesienią zeszłego roku sprawdzono ponad 2 tys. obiektów zgłoszonych przez samorządy. Jednocześnie minister obrony narodowej przedstawił pomysł budowy w każdym mieście wojewódzkim metra.

Dodatkowo od tego roku przepisy zobowiązują deweloperów do zapewnienia możliwości adaptacji wybranych części nowo powstających obiektów na miejsca doraźnego schronienia. Nie oznacza to jednak, że będą musieli w nowych budynkach budować schrony. Już pod koniec 2025 r., krótko przed wejściem w życie nowych przepisów, eksperci wyjaśniali, że jeśli miejsca ukrycia nie znajdą się w projekcie budynku, inwestor będzie musiał zapewnić miejsca doraźnego schronienia na poszczególnych kondygnacjach lub w garażach podziemnych.

Trusiuk: – *Schrony są ważne, ale Ukraina pokazuje nam, że najwięcej osób ginie wtedy, kiedy próbuje do schronów dotrzeć. Pamiętajmy, żeby w razie zagrożenia nie opuszczać miejsca, w którym jesteśmy, no chyba że to jest akurat szklarnia.*

I tłumaczy, że piwnica, garaż, ściana nośna też nas ochronią w razie czego. Dopowiada także, że w każdym mieście wyznaczone są miejsca, opracowane procedury, ale są też przepisy właścicielskie, a to oznacza, że w sytuacji zagrożenia ktoś może po prostu nie udostępnić swojej piwnicy innym ludziom szukającym schronienia. Ale w takim Chełmie np. strażacy przeszli przez wszystkie piwnice, sprawdzili ciągi korytarzowe i wyszło im, że w 56-tysięcznym mieście w tych piwnicach może się schować blisko 80 tys. ludzi.

Agnieszka Rzeszutko, dyrektorka Wydziału Zarządzania Kryzysowego i Ochrony Ludności Urzędu Miasta Rzeszowa, pytana o zabezpieczenia szpitali, wyznaczone miejsca na te polowe, drogi ewakuacji pacjentów czy rannych, odpowiada krótko: – *Nie mogę o tym mówić. Wszystko jest opracowane, ale to są informacje strategiczne.*

– *Wiemy, gdzie będą w razie czego zastępcze miejsca szpitalne, ale nie wiemy, czy w razie samoewakuacji będzie komu w nich działać* – mówi Hubert Trusiuk. I dodaje, że opierając się na doświadczeniach ukraińskich, można oceniać, że gdyby doszło do wybuchu konfliktu zbrojnego, to w Chełmie nawet 70 proc. mieszkańców stanie w obliczu samoewakuacji. – *Mam nadzieję, że się nie dowiemy, jak to by w praktyce wyglądało.*

KATARZYNA KACZOROWSKA
WSPÓŁPRACA PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl e94e67b4f3

Wybielanie radykałów

Problem ze skrajną prawicą jest również taki, że inne formacje po cichu próbują podpatrywać i naśladować radykałów. W efekcie kordon sanitarny wokół nich słabnie. Jak to się dzieje?

MARIUSZ JANICKI

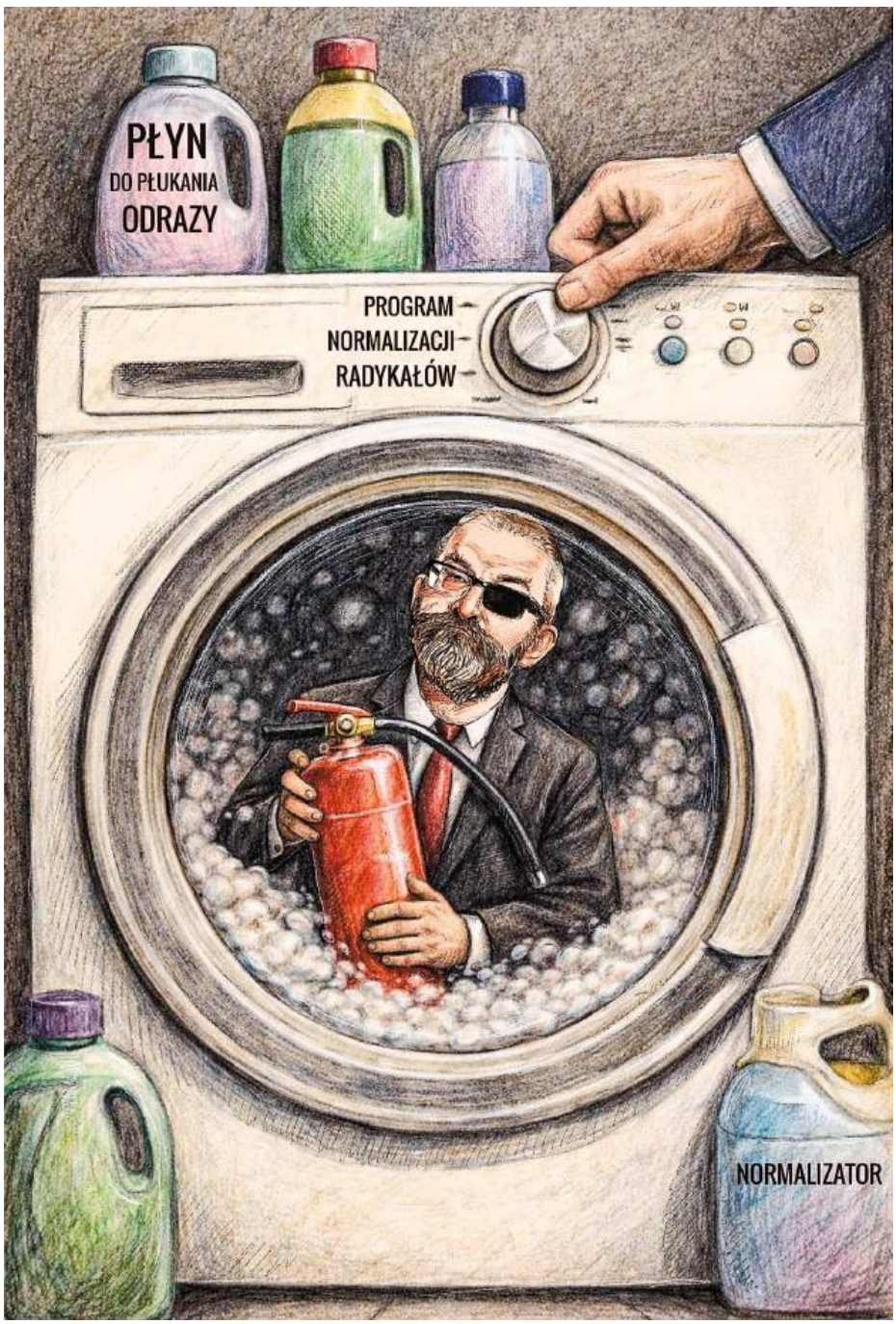

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Zbliża się KINGS, czyli Kongres Inicjatyw Narodowych, Gospodarczych i Samorządowych, organizowany przez partię Grzegorza Brauna, który ma ostatecznie wprowadzić lidera Korony do pierwszej politycznej ligi i pokazać go jako poważnego polityka. I chociaż ten partyjny event zapowiada się jako galeria osobliwości, cały zabieg może się udać. Formacja Brauna wciąż ma mocną pozycję w sondażach, a za tym rośnie polityczna rola jej lidera.

Mimo wszystkich zaklęć i deklaracji wydaje się bardzo prawdopodobne, że jeżeli Braun będzie niezbędny prezesowi Kaczyńskiemu do prawicowej większości w 2027 r., to zostanie rządowym koalicjantem i jeszcze dostanie ministerialne stanowisko dla siebie lub swego człowieka. Wręcz im bardziej się Kaczyński od Brauna odcina, tym większe prawdopodobieństwo powyborczego dealu. To prezesowi PiS przypisuje się powiedzenie, że „nawet brudną ścierką można coś wyczyścić", a przykłady z przeszłości, np. z Lepperem – którego dwie dekady temu dwukrotnie brał na wicepremiera w rządach PiS i dwukrotnie wyrzucał, choć już po pierwszym razie zarzekał się, że to koniec współpracy – pokazują, że deklaracje lidera PiS i późniejsza praktyka to zupełnie różne sprawy. Badania dowiodły, że wyborcy PiS uciekają nie tyle do Konfederacji Mentzena i Bosaka, ile do Brauna właśnie. Wyborców Kaczyńskiego i Brauna coś zatem wyraźnie łączy; demony katolickiego nacjonalizmu, które przez lata wypuszczał prezes PiS, teraz do swojego wehikułu zaprzągł Braun.

Strategia Kaczyńskiego w takich sytuacjach jest niezmienna od lat: najpierw atak i chęć przejęcia lub odzyskania

eprasa.pl e94e67b4f3

wyborców konkurentów, następnie próba wydarcia posłów bez ich politycznego lidera, ale potem pogodzenie z rzeczywistością i negocjacje prowadzące do stworzenia rządu. Jeżeli Mentzen, Bosak i Braun utrzymają się w siodłach, a koalicja 15 października przegra wybory, może pozostać ta trzecia opcja. Lansowana przez Morawieckiego i podchwycona przez Kaczyńskiego koncepcja „wielkiego namiotu" zakłada, że w „propolskiej", antytuskowej koalicji może się znaleźć każdy chętny patriota. Także prawicowi publicyści, choć poszturchują Brauna i Mentzena, sugerują Kaczyńskiemu, by nie demonstrował zbyt dużej niechęci do obu Konfederacji, bo może będzie musiał się z nimi dogadać.

Przewidywania, że Kaczyński nie posunie się do aliansu z Braunem, bo na antysemickie wybryki Korony nie zgodzi się proizraelska administracja amerykańska, nie wyglądają zbyt przekonująco. Do wykorzystania jest przecież narracja o priorytecie, jakim jest odsunięcie od władzy rządu Tuska, a sprzyjający Braunowi, bardziej chyba niż Mentzenowi, prezydent Nawrocki dostanie misję wytłumaczenia tej lokalnej konieczności prezydentowi Trumpowi. Pojawią się zapewnienia, że Brauna biorą na siebie, że będzie pod kontrolą, a lider Korony za powstrzymywanie się od większych ekscesów antysemickich (dla Amerykanów) i prorosyjskich (dla Kaczyńskiego) może oczekiwać kolejnych politycznych nagród.

Obecny obóz władzy, choć mówi się, że ma skorzystać na radykalizowaniu się prawicy, jest dotąd mało aktywny w pokazywaniu skutków ewentualnych nacjonalistyczno-religijnych rządów. Dopiero ostatnio Donald Tusk stwierdził, że Kaczyński weźmie Brauna do koalicji, czym wzbudził furię w PiS, co potwierdza, że takie mogą być rzeczywiste, odsączone od propagandy plany.

Koalicja jednak rzadko wspomina, że głosowanie na PiS to otwieranie Braunowi drzwi do władzy. Uwaga rządzących i premiera Tuska skupia się dziś na Nawrockim, choć to nie z nim trzeba będzie wygrać w 2027 r. Ten fokus na Nawrockiego ma zmarginalizować i frustrować Kaczyńskiego, co jest dla obecnego obozu władzy pewną satysfakcją, ale przez to m.in. rośnie Braun, którego wybryki i tak nie zablokują powstania za dwa lata prawicowego rządu. Najwyżej szef Korony postawi wygórowane warunki, które Kaczyński będzie musiał spełnić, aby wygrać – być może już ostatnią – odsłonę trwającego od dwóch dekad jego pojedynku z liderem najpierw PO, teraz KO. Stąd może bierze się swoista autoterapia: ogólne oswajanie i dyskretne wybielanie radykałów. Odbywa się to na kilku poziomach.

Infantylizacja i pobłażanie. Według wielu Braun to tylko performer, aktor, reżyser, efekciarz, zręczny manipulator żądny poklasku i „fejmu". Czyli ma to być raczej cyniczna zgrywa, „szuria", ewentualnie coś w rodzaju rewolty hippisowskiej, tylko o konserwatywnym charakterze, bo i takie opinie się pojawiły po prawej stronie. Tworzony jest obraz osoby nie do końca poważnej, a przez to w sumie niezbyt groźnej. Funkcjonującej trochę na zasadzie Janusza Korwin-Mikkego, kogoś, kogo trzeba znosić, ale aż tak się nie przejmować, podobnie jak ludźmi, których wokół siebie gromadzi.

Ten sam zabieg stosuje się wobec tzw. Jaszczura (Wojciech Olszański) i reszty Rodaków Kamratów czy najbardziej radykalnych działaczy Konfederacji. Społecznościówki często śmieją się z nich, ale zarazem robią im publikę. Braun na platformie X ma 322 tys. obserwujących, poseł Konrad Berkowicz 210 tys., a europosłanka Ewa Zajączkowska-Hernik 190 tys. – ta dwójka z Konfederacji słynie z zawziętej antyukraińskości i ataków na Unię.

Podsuwane są jednak wyjaśnienia socjologiczne, skąd się wzięli radykałowie, i opinie, że nie należy krytykować tych, którzy ich popierają, bo mają prawo do swoich emocji. To przymykanie oka, unikanie nazywania rzeczy po imieniu, gdy pojawia się antysemityzm czy prorosyjskie wystąpienia, roztacza nad tymi środowiskami ochronny parasol, daje im czas na rozwijanie struktur i wpływów.

Antysystemowość jako alibi. Mało jest tak zakłamanych i nadużywanych pojęć w polityce jak „ugrupowanie antysystemowe", co funkcjonuje w sumie jako komplement. Na tym haśle do Sejmu wjeżdżali Lepper i Kukiz, potem Mentzen i Braun. Także PiS w latach 2007–15 starał się uchodzić za partię spoza „establishmentu", antyelitarną. Wydawałoby się, że to sławetne „wywracanie stolika" czy „osuszanie bagna" zostało już dostatecznie skompromitowane, ale wciąż powraca jako życzliwie oceniana cecha dająca punkty u politologów i wyborców. Od dekady „antysystemowość" polega w istocie na chęci zastąpienia PO-PiS nowym układem i swoimi ludźmi oraz na ogólnej walce z liberalną demokracją, za pomocą przełomowych pomysłów w rodzaju „sędziów pokoju", „okręgów jednomandatowych", zlikwidowania podatków czy zaprowadzenia Królestwa Chrystusowego. Teraz dwie Konfederacje – Mentzena, Bosaka i ta Brauna – podczepiają się pod tę antysystemowość, próbując ugrać na tym nowe punkty. Nie jest to wystarczająco kontrowane przez główny nurt, nie widać konsekwentnej obrony idei racjonalnej, odpowiedzialnej polityki, pokazywania, na czym polegałoby państwo z ultraprawicowych wizji, zapewne z przekonania, że są to rzeczy oczywiste (choć w dzisiejszej polityce prawie nic już nie jest oczywiste).

Radykałowie przedostali się do sfery „normalnej polityki". Pojawiające się pomysły delegalizacji skrajnych formacji, zwłaszcza Brauna czy Bąkiewicza, są z reguły z oburzeniem odrzucane pod hasłem, że wyborcy mają demokratyczne prawo do głosowania na niedemokratyczne formacje. Demistyfikacja „antysystemowości" to jeden z kluczy do powstrzymywania demagogów nowszej generacji.

Przebieranie w programie. Trochę bez echa przeszły dość w sumie szokujące badania, według których w kierunku Konfederacji pomaszerowało wielu dawnych wyborców Trzeciej Drogi, zwłaszcza Polski 2050. Wydawałoby się, że między formacją Mentzena z jego słynną antyunijną i antysemicką „piątką" a obozem demokratycznym, którego dawna Trzecia Droga była i wciąż jest istotnym składnikiem, przebiega przepastny rów. Okazało się, że niezupełnie. Wyborcy dobierają sobie propozycje programowe (np. niskie podatki), ignorując resztę. Albo zakładają, że inne punkty nie będą wprowadzane w życie, na co nie ma argumentów, albo jest im to obojętne. W obu przypadkach świadczy to o tym, że przywiązanie części elektoratu do idei koalicji 15 października było czasowe i, łagodnie mówiąc, mało głębokie.

Mówienie, że KO zjadła koalicjantów i dlatego dominuje teraz w sondażach, nie przekonuje. Gdyby tak było, to KO po przejęciu 10 proc. TD (bo PSL i Polska mają teraz w sumie ok. 4–5 proc. z ponad 14 w 2023 r.) miałaby teraz ponad 40 proc., a nie 31–32. Oni jednak poszli gdzie indziej, bardziej na prawo. ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ **Wina antykościelnych elit.** Nie zabrakło jak zwykle tłumaczeń, skąd sukcesy naszej alt-prawicy, zwłaszcza Korony Brauna. Ostatnio głośno było o pogardzie dla wiary i tradycji ludzi, z których drwią elity i tym samym dają tlen Braunowi i jemu podobnym. Pisał o tym prof. Marcin Matczak na łamach „Gazety Wyborczej". To wciąż ta sama, miła dla radykałów melodia, że ich skrajne poglądy są w sumie usprawiedliwione, uprawomocnione. Wcześniej broniono tą metodą partię Kaczyńskiego, teraz przerzucono ten rodzaj wyrozumiałości na Brauna. Znowu przywołane są te bliżej nieokreślone elity, ze złymi intencjami i czarnymi sercami, pragnące poniżyć „zwykłych ludzi", którzy urażeni wpadają w ręce katolickich populistów, bo nie mają wyjścia. To dawanie alibi dla antydemokratycznych poglądów i zachowań trwa już dobrze ponad dekadę i korzystają z tego przywileju kolejne odmiany politycznych radykałów stojących na czele „obrażanej" tradycyjnej prowincji.

W efekcie prowadzi to do zrównania wszelkich poglądów, usprawiedliwiania ignorancji i teorii spiskowych, dawania prawa do „własnych faktów".

Przesuwanie granicy „niemieszczenia się w głowie". Cechą radykałów jest nieustanne sondowanie wytrzymałości tzw. głównego nurtu. Kiedy mainstream oswoi się z jedną awanturą, serwuje się kolejną. Demokraci rutynowo mówią: „żeby mi to był ostatni raz", a potem następują kolejne razy. Braun najpierw zdemolował sprzęt podczas konferencji, było trochę krzyku, ale w zasadzie nic się nie stało. Potem zaatakował gaśnicą świece chanukowe i kolejny przełom nie okazał się przełomowy. Po czym była ingerencja w szpitalu i zaatakowanie lekarki. Tutaj już były wręcz moralne usprawiedliwienia dla Brauna za „obronę życia", a późniejsze losy ginekolożki pokazują, że wygrał w zasadzie Braun. Oznacza to powolne oddawanie mu pola i nie zmieniają tego prokuratorskie zarzuty, jakie dostał.

W dzisiejszej atmosferze, jeśli formalnie i skutecznie nie powstrzymuje się radykałów, to się ich tylko wzmacnia. Nadal pojawiają się nadzieje, że jest jakaś granica, której Braun i konfederaci o skrajnych poglądach nie przekroczą. Tak samo myślano w przypadku PiS po 2015 r., że co jak co, ale „tego już nie mogą zrobić", po czym ekipa Kaczyńskiego właśnie to robiła.

W epoce drugich rządów Trumpa wszystko się już mieści w głowie. Przy amerykańskim prezydencie pewnie poczuli się w Polsce zwolennicy polexitu – według ostatnich sondaży to ok. 22–25 proc. społeczeństwa, a w polskim internecie wizerunek Unii Europejskiej – jak podała Polityka w Sieci – jest już zdecydowanie negatywny: atakujące ją przekazy to ok. 70 proc. ruchu. Ciekawe są też dane pokazujące, że liczona liczbą wzmianek w sieci antyukraińskość dorównuje już niemal wątkom antyrosyjskim (69–71 proc.). Aktywni są rozmaici wyznawcy politycznego brutalizmu i cynizmu, także – coraz bardziej otwarcie – rasizmu. Pojawia się przekonanie, że teraz można więcej.

Zakaz historycznych porównań. Jakiś czas temu sformułowano tezę, że każde porównanie do Hitlera kończy poważną dyskusję, a używanie słowa „faszyzm" jest przejawem histerii. Psychologicznie jest to może zrozumiałe, bo ciężar nazistowskich zbrodni jest przytłaczający, powoduje, że przywoływanie dzisiaj jakichś analogii części publiczności wydaje się niestosowne. Ale ten intelektualny unik ogranicza analizowanie współczesności. Totalitaryzm nadchodził krok po kroku, kamuflował się, gdyby ujawnił się od razu w pełnej postaci, wzbudziłby zapewne większy opór – przejmująco mówił o tym kilka lat temu Marian Turski. Mechanizm budowania autorytarnej władzy, ograniczania praw obywatelskich, intensywność propagandy, kult wodza, prymat siły nad prawem, a nawet przejście z fazy śmieszności i folkloru do brutalnego jedynowładztwa – to elementy, które należy studiować z całą powagą, bez obaw przed historycznymi porównaniami.

Myślenie, że coś dzisiaj nie może się zdarzyć, bo „sytuacja jest inna", nie ma empirycznych podstaw. Sytuacja zawsze jest inna, a zdarzają się okropne rzeczy. Skrajna prawica skwapliwie korzysta na zakazie *reductio ad Hitlerum*, bo to znieczula i uspokaja demokratów, że wciąż nie jest tak źle, bo nie biją ludzi na ulicach, że historia jednak nie powraca jeden do jednego. Nie musi być jeden do jednego.

Zyskiwanie na tle. Działania Brauna i spółki mają jeszcze jeden efekt: normalizują partię Kaczyńskiego, także prezydenta Nawrockiego. PiS zdemolował ustrój, sądownictwo, etykę życia publicznego, pozycję kraju w europejskich strukturach, ale teraz coraz częściej występuje jako siła w zasadzie umiarkowana na tle brunatnej ekstremy. Kaczyński boi się spychania jego ugrupowania do centrum, ale paradoksalnie może to mu pomóc. W masce umiarkowanej prawicy będzie mógł potem realizować najdziksze pomysły. Nawrocki natomiast, zdeklarowany prawicowiec, katolicki fundamentalista i kibolski narodowiec, może udawać swojaka i prezydenta wszystkich Polaków, choć wyraźnie jest prezydentem tych, którzy na niego głosowali.

Kaczyński czasami odcina się od Brauna, Nawrocki tego nie robi, a lider Korony zapewnia obu dobre tło jako w zasadzie umiarkowanym mężom stanu. Na takie przekazy nabiera się też spora część obozu demokratycznego, nie chcąc dostrzec, że Nawrocki jest forpocztą radykalnej nacjonalistycznej prawicy, której celem jest dokończenie konserwatywnej rewolucji. Wzruszanie się krzykliwymi przemowami i tężyzną fizyczną obecnego prezydenta, bez wnikliwego obserwowania jego realnych politycznych celów, pokazuje rozczarowującą naiwność części demokratów, której nie tłumaczy nawet przedłużająca się trauma po porażce wyborczej Rafała Trzaskowskiego.

Bilet wstępu do mainstreamu. W całej Europie wiotczeje zapora broniąca głównego nurtu przed radykalnymi ugrupowaniami. Trzeba coraz szerszych, bywa że egzotycznych koalicji, aby powstrzymać prorosyjskich i antyunijnych populistów przed samodzielnymi rządami. Gdzieniegdzie już się ich wpuszcza za bramkę. Widać to także w Polsce, gdzie Braun może jeszcze chwilowo nie, ale już Mentzen i Bosak – którzy jeszcze niedawno szli pod rękę z liderem Korony – jak najbardziej tak.

W ślad za nimi przesuwa się cała prawicowa karawana, a nieśmiało i z zawstydzeniem także polityczne centrum. Pytanie zasadnicze do demokratów: jakie są granice takiej kooptacji, czy wchłanianie kolejnych radykalizmów, odpuszczanie zasadniczych wartości nie spowoduje, że w końcu powstanie jakiś ustrojowy Frankenstein, a wtedy zabraknie energii i emocji, aby „tego czegoś" bronić. To punkt do zastanowienia dla obozu władzy na ten rok i następny – wyborczy.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl e94e67b4f3

Tajny trybunał

Koalicja rządząca w tajemnicy szuka autorytetów prawniczych, które zgodzą się wejść do Trybunału Konstytucyjnego i zetrzeć się z szefującym tej instytucji Bogdanem Święczkowskim, nazywanym przez prokuratorów „Godzillą". Czy znajdą się chętni?

EWA SIEDLECKA

Od końca kwietnia zeszłego roku do dzisiaj skończyły się kadencje pięciu sędziom TK, a szósta – Krystyna Pawłowicz – przeszła (w grudniu) na emeryturę. W Trybunale jest więc sześć wakatów, których rządząca koalicja nie uzupełnia. Trybunał pustoszeje, nie może już rozpatrywać spraw w tzw. pełnym składzie (11 sędziów), bo zostało ich dziewięciu. Za rok będzie siedmiu. Można powiedzieć: żadna szkoda, bo Trybunał pod wodzą Święczkowskiego jest de facto organem świadczącym usługi dla PiS. Jednak taka sytuacja narusza konstytucję, a w tym wypadku naruszycielem jest polityczna większość, która nie zgłasza kandydatów, a tych, których proponuje PiS, utrąca.

Notabene zawsze tych samych: posła PiS Marka Asta i prof. Artura Kotowskiego z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Koalicja ich kandydatury w głosowaniach odrzucała; na najbliższym posiedzeniu Sejmu odrzuci je po raz piąty.

Postój na zielonym świetle

Naprawa Trybunału to jeden z warunków przywracania praworządności, z którego rząd rozliczany jest przez Komisję Europejską. Rządowa ustawa naprawcza została – na wniosek prezydenta Andrzeja Dudy – odrzucona przez Trybunał Konstytucyjny, ale to nie zwalnia większości parlamentarnej z obowiązku obsadzania wakatów. Politycy koalicji mówili, że czekają na wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE, który na wniosek Komisji Europejskiej miał ocenić legalność działań TK.

Ten wyrok już zapadł 18 grudnia. TSUE stwierdził m.in., że przy obsadzaniu dublerów w TK i przy wyborze Julii Przyłębskiej na prezesa TK naruszono obowiązujące w Polsce reguły dotyczące procedur nominacyjnych. To oznacza, że Trybunał Konstytucyjny z dublerami w składzie i pod przywództwem Julii Przyłębskiej nie spełniał wymogów niezawisłego i bezstronnego sądu ustanowionego na mocy ustawy.

Julii Przyłębskiej już od roku w Trybunale nie ma, za to wyrok TSUE jest aktualny, jeśli chodzi o dwóch pozostałych w TK dublerów sędziów: wyroki z ich udziałem nie mogą być traktowane jako wydane przez niezawisły i bezstronny sąd.

Po ogłoszeniu wyroku TSUE premier Donald Tusk skomentował, że „jest to zielone światło do naprawy Trybunału. (...) Wydaje się, że od tego momentu będziemy mogli starać się naprawiać Trybunał Konstytucyjny poprzez systematyczne uzupełnianie składu". Tak więc wola polityczna została zadeklarowana.

Dziennikarze podchwycili temat, pojawiły się spekulacje co do kandydatów. Najczęściej wymienia się sędziego Krystiana Markiewicza, profesora Uniwersytetu Śląskiego i byłego prezesa stowarzyszenia sędziów Iustitia, obecnie przewodniczącego Komisji Kodyfikacyjnej Sądownictwa i Prokuratury ▶



ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ w Ministerstwie Sprawiedliwości i adwokata Dariusza Rosatiego, prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej i członka Trybunału Stanu. Jednak żadnych potwierdzeń nie ma.

Waleczni z charakterem

Rozmówcy POLITYKI zgodnie twierdzą, że nie będzie wyciągania kandydatów z ław poselskich czy senatorskich. Odrzucona (na wniosek prezydenta przez Trybunał Konstytucyjny) rządowa ustawa reformująca TK przewidywała dla kandydatów na sędziów, którzy sprawowali polityczne funkcje, czteroletnią karencję, więc politycy Koalicji deklarują trzymanie się tej zasady. To eliminuje pojawiające się na giełdzie nazwiska Adama Bodnara, senatora z ramienia KO, czy Roberta Kropiwnickiego – posła KO, który jest odpowiedzialny za pomysł wybrania w 2015 r. dwóch sędziów TK „awansem" przez odchodzący Sejm, mimo że leżało to w kompetencjach Sejmu przyszłej kadencji.

Z naszych rozmów wynika, że kandydatów będzie tylko tylu, ile jest wakatów, a więc nie byłoby wyboru. Kryterium zgłaszania kandydatów mają być ich wysokie kompetencje prawnicze, choć niekoniecznie mierzone profesorskimi tytułami. Mają oni mieć nieskazitelny charakter, czego zresztą wymaga ustawa. Ale musi to być też charakter waleczny, by kandydat jako sędzia TK był zdolny stawić czoła sędziom wybranym przez PiS i prezesowi Święczkowskiemu. Oczywiście – jak zaznacza jeden z naszych rozmówców – w obronie konstytucji i praworządności.

Skąd będzie wiadomo, kto z prawników ma taki waleczny charakter? Nie zbada się tego przecież ankietą. Narzucającym się źródłem takiej wiedzy mogą być publiczne wypowiedzi w mediach. A miarą walecznego charakteru – ich bezkompromisowy styl. Innymi słowy, mają to być fajterzy publicznie znani ze swojej waleczności.

Tylko że wybierając osoby uważane przez opozycję za wrogów, zwiększa się ryzyko, że nie zaprzysięgnie ich prezydent Nawrocki.

Portal money.pl na początku grudnia ogłosił, że na ostatnim spotkaniu liderów koalicji rządzącej podjęto decyzję dotyczącą obsadzenia miejsc w TK, a kandydaci mają zostać wskazani przez koalicję w styczniu. Dziś niewiele wskazuje, że tak się stanie. Z naszych ustaleń wynika raczej, że trwa burza mózgów nad tym, jakie warunki stworzyć, żeby uznane autorytety prawnicze chciały w ogóle podjąć się tej misji.

Patryk Jaskólski, wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Sprawiedliwości z KO, mówi, że kandydaci będą zgłoszeni przez całą koalicję. To nie dziwi, bo żaden z klubów parlamentarnych koalicji, oprócz klubu KO, nie ma co najmniej 50 posłów – a tylu trzeba, by formalnie zgłosić kandydaturę.

Od kilku rozmówców dowiedzieliśmy się, że za przygotowanie wyborów odpowiedzialni są minister do spraw nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu Maciej Berek i minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. A także, że wybory, przynajmniej w najbliższym czasie, mogą się jednak nie odbyć, jeśli nie uda się im przygotować odpowiednich rozwiązań. Czego miałyby one dotyczyć?

Dwanaście prac Achillesa

Po pierwsze, sprawy niepublikowania przez kancelarię premiera wyroków Trybunału wydanych od początku powstania rządu Tuska. Bo jaki sens ma obsadzanie Trybunału, skoro nie publikuje się jego wyroków? Kto będzie chciał w takim Trybunale zasiąść i po co?

Formalnie premier nigdy nie wyjaśnił, jaka jest podstawa prawna braku publikacji. Nieformalnie mówiono, że chodzi o obecność w TK dublerów, którzy „zarazili" cały Trybunał bezprawnością. Tyle że dwóch z nich jest tam nadal, a to by znaczyło, że niepublikowane byłyby także wyroki wydawane przez nowych sędziów i bez dublerów. Najprościej byłoby pozostawić niepublikowane tylko wyroki wydane z udziałem dublerów – i powołać się na grudniowy wyrok TSUE. Ale być może rządzący jeszcze do tego nie dojrzeli...

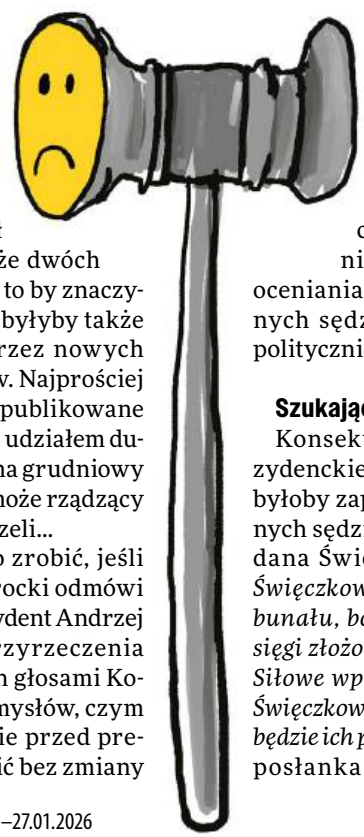

Kolejny problem: co zrobić, jeśli prezydent Karol Nawrocki odmówi – jak swego czasu prezydent Andrzej Duda – odebrania przyrzeczenia od sędziów wybranych głosami Koalicji? Trwa giełda pomysłów, czym zastąpić przyrzeczenie przed prezydentem i jak to zrobić bez zmiany prawa (bo prezydent by go nie podpisał). Przyrzeczeniem złożonym przed notariuszem? Podpisaniem tekstu przyrzeczenia i wysłaniem go do prezydenta listem poleconym? Publicznym zaprzysiężeniem pod Pałacem Prezydenckim, z nagłośnieniem tak, by słowa przysięgi dotarły do jego uszu (tylko jak udowodnić, że usłyszał)?

Prof. Ewa Łętowska jest wobec tych rozwiązań sceptyczna. Uważa, że jeśli już szukać organu, przed którym zastępczo sędziowie mieliby złożyć przyrzeczenie, to – zważywszy na konstytucyjną zasadę wzajemnej kontroli władz – mogłoby to być Zgromadzenie Narodowe, jako ciało władzy ustawodawczej. Prof. Łętowska zdaje sobie jednak sprawę z problemów prawnych, jakie i tu mogą powstać. Począwszy od tego, że konstytucja nie przewiduje takiej roli dla Zgromadzenia Narodowego. Dlatego zaznacza, że to jedynie próba znalezienia protezy w sytuacji, w której prawo jej nie przewiduje. Bo nie przewiduje też odmowy przyjęcia przyrzeczenia od sędziów przez prezydenta.

Sam prezydent nie wspomniał dotąd o możliwości takiej odmowy. Wie, że byłoby to działanie bezprawne. Jest też kwestia pretekstu, czy – jak kto woli – uzasadnienia. Prezydent Duda uzasadnił nieodbieranie przysięgi wyborem przez poprzedni Sejm pięciu sędziów w sytuacji, gdy mógł wybrać tylko dwóch, a reszta należała do kolejnego Sejmu. To uzasadnienie nie legalizowało jego zachowania, bo ustawa o TK nie przewiduje możliwości oceniania przez prezydenta wybranych sędziów, ale było użyteczne politycznie.

Szukając kamikadze

Konsekwencją ewentualnej prezydenckiej odmowy zaprzysiężenia byłoby zapewne nieuznanie wybranych sędziów przez prezesa TK Bogdana Święczkowskiego. – *Co, jeśli Święczkowski nie wpuści ich do Trybunału, bo nie uzna zastępczej przysięgi złożonej np. przed notariuszem? Siłowe wprowadzanie do TK? A jeśli Święczkowski nie będzie im płacił? Nie będzie ich powoływał do składów?* – tak posłanka Anna Maria Żukowska,

eprasa.pl e94e67b4f3

wiceprzewodnicząca Nowej Lewicy, odpowiada na pytanie, kiedy można się spodziewać zgłoszenia kandydatów do TK. I dodaje: – *Jeśli chodzi o gwarancje otrzymywania uposażenia, to minister Berek z ministrem Domańskim sprawdzają, czy da się tę sprawę tak rozwiązać, żeby ich zabezpieczyć.*

Jej odpowiedź pokazuje, co ryzykują tacy kandydaci. I więcej: prezes Święczkowski może uniemożliwić im sądzenie, nie tylko nie przydzielając im spraw, ale też przydzielając ich do składów z dublerami – bo wtedy będą zmuszeni odmawiać. Poza tym muszą wziąć pod uwagę inne szykany, na które po przejęciu Trybunału przez Julię Przyłębską i jej zastępcę Mariusza Muszyńskiego narażeni byli tzw. starzy sędziowie, m.in. wyrzucanie ich z pokoi, pozbawianie asystentów, publiczne reprymendy czy upokarzające wyczekiwanie godzinami na przyjęcie.

Tak więc szukając kandydatów do TK, rządzący muszą pokazać, jak zamierzają umożliwić im funkcjonowanie w Trybunale rządzonym przez Bogdana Święczkowskiego. To, że ewentualni kandydaci na sędziów mogą tego od nich oczekiwać, potwierdza wypowiedź sędziego Krystiana Markiewicza. Zapytany, czy rozważa kandydowanie do Trybunału, odpowiedział: – *Pytanie jest teoretyczne. Wszystko jednak zależy na jakich warunkach. Np. czy kryteria wyboru byłyby takie jak w projekcie uchwalonym przez Sejm i zdyskwalifikowanym przez TK na wniosek prezydenta. Czy kandydować nie mogłyby osoby pełniące funkcje polityczne. Musiałbym też wiedzieć, co rząd zdecyduje na temat publikowania wyroków TK. I jak rozwiąże sprawę dublerów i wyroków wydanych z ich udziałem, a więc czy i jak zamierza wykonać wyrok TSUE. Ważne jest też, z kim miałbym do TK kandydować. Ogólnie rzecz sprowadza się do tego, czy jest rzeczywista wola budowy niezależnego, profesjonalnego, ustanowionego zgodnie z prawem Trybunału.*

Nie jest wykluczone, że Koalicja, wobec trudności w znalezieniu odpowiednich kandydatów, będzie musiała odłożyć obsadzenia wakatów w TK do czasu, gdy zmieni się tam układ sił. Sytuacja w TK może się zmienić, kiedy najpierw w czerwcu, a potem we wrześniu odejdą: Andrzej Zielonacki (sędzia) i Justyn Piskorski (dubler). Wtedy w Trybunale na 15 miejsc zostanie siedmiu członków

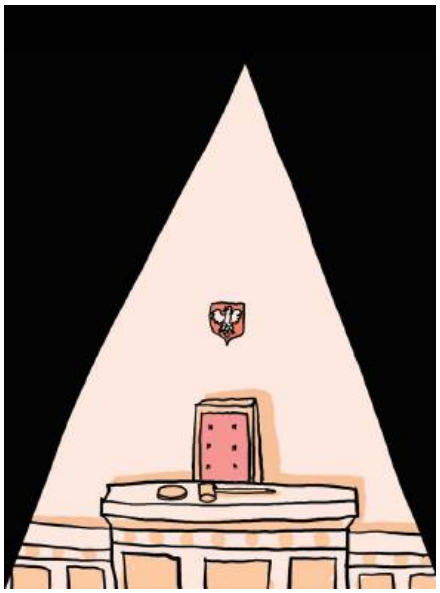

wybranych przez PiS, w tym ostatni dubler, Jarosław Wyrembak. Jeśli Koalicji uda się obsadzić wszystkie wakaty, to nowi sędziowie zyskają większość. Ale składy sądzące nadal będzie wyznaczał Bogdan Święczkowski. Możliwe będzie uchylenie mu immunitetu za bezprawne zbieranie za pomocą systemu Pegasus „haków" na Romana Giertycha, gdy był prokuratorem krajowym. Prokuratura już raz ten wniosek złożyła, ale został przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK rozpatrzony odmownie z uzasadnieniem, że to, co robił Święczkowski, nie jest przestępstwem. Aby ponownie złożyć ten wniosek, prokuratura powinna go zmodyfikować, żeby nie był to ten sam wniosek.

Samo uchylenie immunitetu nie wystarczy, żeby odsunąć Święczkowskiego od sądzenia czy od kierowania Trybunałem. Chyba że zostałby aresztowany, co jest mało prawdopodobne, bo zarzuty wobec niego oparte są na dokumentach i złożonych już zeznaniach, więc obawy mataczenia nie ma. Urząd sędziego TK może stracić dopiero, gdy zostanie prawomocnie skazany. Natomiast można by rozważyć postępowanie dyscyplinarne, bo sytuacja, w której urzędujący sędzia Trybunału Konstytucyjnego popełnił czyny, które doprowadziły do postawienia mu zarzutu o nadużycie władzy, uchybia sędziowskiej godności i podważa zaufanie do niego. Kary dyscyplinarne to: upomnienie, nagana, obniżenie wynagrodzenia i złożenie z urzędu.

Widać, że rządzący zamierzają sami wytypować kandydatów i trzymać ich nazwiska do ostatniej chwili w tajemnicy. Że będą to kandydaci bezalternatywni, bo będzie ich tylko tylu, ile miejsc do obsadzenia w TK. To wbrew rządowej ustawie reformującej TK, tej, którą TK Święczkowskiego zdyskwalifikował. Tam proces wyboru był uspołeczniony i transparentny. Prawo do zaproponowania kandydatów miały rozmaite gremia: Zgromadzenia Ogólne Sędziów: Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego, Krajowa Rada Radców Prawnych, Naczelna Rada Adwokacka oraz Krajowa Rada Prokuratorów. Oczywiście bez ustawy nie mogłyby tego teraz zrobić, ale nikt nie broni posłom Koalicji zwrócić się do nich o sugestie.

Można powiedzieć, że to szkodliwy idealizm, bo na razie mamy „demokrację walczącą", nie ma czasu na konsultacje, a wybrać trzeba fajterów zwalczających autokratyzm PiS, bo inaczej nici z naprawy Trybunału.

Więcej światła!

I może jest w tym jakaś racja, jeśli zakładamy, że w najbliższych latach i tak nie udałoby się odbudować całkowicie zrujnowanego przez PiS i jego funkcjonariuszy autorytetu Trybunału, do którego bezstronności nawet wyborcy PiS nie mają zaufania. Ale tajemnica i brak transparentności, które otaczają dzisiaj poszukiwanie kandydatów, tylko oddalą przywracanie tego autorytetu.

– *Koalicja rządząca powinna być zainteresowana, żeby wybór kandydatów był maksymalnie transparentny i we współpracy ze stroną społeczną, bo to zwiększyłoby zaufanie do takich wyborów i wytrąciło prezydentowi z ręki argumenty w razie, gdyby rozważał odmowę zaprzysiężenia wybranych sędziów* – mówi Krzysztof Izdebski, ekspert prawny w Fundacji im. Stefana Batorego.

Dziś można zrobić przynajmniej tyle, żeby znieść swoistą „klauzulę tajności" nałożoną na temat wyborów do TK, zaproponować więcej kandydatów niż miejsc. I ujawnić ich nie w ostatnim terminie wyznaczonym przez marszałka Sejmu, ale wcześniej, by organizacje zajmujące się od lat monitoringiem wyborów do ważnych państwowych organów mogły zebrać o nich informacje, przeprowadzić publiczne wysłuchania i ocenić. Politycy zrobią z tą oceną to, co uznają za słuszne, ale opinia publiczna doceni uczciwość procesu.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl e94e67b4f3



Głód jednej prawdy

Stefan Chwin, pisarz i eseista, o tym, czy i jak Polska jest podzielona, skąd się bierze wiara w teorie spiskowe i na czym polegają problemy liberalnej demokracji.

JAKUB MAJMUREK: **– W Polsce bardzo wiele mówi się o polaryzacji, pęknięciu kraju na dwie Polski czy wręcz wojnie polsko-polskiej. Czy to pęknięcie jest widoczne także w kulturze, czy jednak jest ona czymś, co mogłoby spajać dwie Polski?**

STEFAN CHWIN: – Widzę, że i pan jest ofiarą Wyspiańskiego.

W jakim sensie?

Takim, że nad tym pytaniem wisi cień Wyspiańskiego i Mickiewicza: zaszczepione w nas obsesyjne marzenie o jedności i spójności. Czemu ono w ogóle ludziom chodzi po głowach? Pan użył określenia „spajać". Mnie żadna spójność narodu nie jest potrzebna do niczego.

Pytałem, czy w sytuacji ostrego konfliktu kultura ciągle jest jakimś wspólnym gruntem, gdzie mogłyby się spotkać „dwie Polski".

W Polsce nie ma żadnego ostrego konfliktu politycznego, a już na pewno wojny polsko-polskiej. Wojna polsko-polska była w latach 30., a wcześniej w dniach zamachu majowego w 1926 r. W porównaniu z tym dziś mamy spokojne czasy.

To normalne, że prezydent czasem podpisuje, a czasem wetuje ustawę – byle nie zmieniał się w wetomat. Ja pamiętam prawdziwie spójny Sejm niemy z czasów PRL, gdzie rolą posłów było bić brawo, więc dla mnie dzisiejsza polityka z jej awanturami jest czymś zwykłym, a bywa, że nawet pięknym.

Pojedynek, jaki się toczy w Polsce, jest w ogóle bez porównania z tym, jaki rozrywa dziś Amerykę. U nas media i politycy celowo podsycają atmosferę konfliktu, bo z tego żyją.

Zatem wyborcy Grzegorza Brauna i Adriana Zandberga tworzą jedną wspólnotę?

Nigdy żadne społeczeństwo nie było wspólnotą i nigdy nią nie będzie. W Polsce w tej chwili nie istnieje naród, jest tylko polskie społeczeństwo. Społeczeństwo zmienia się w naród w momencie zagrożenia zewnętrznego. Wtedy pojawia się narodowa spójność. Zobaczyłby pan, jak w jednej chwili zmieniłaby się polska mentalność, gdyby media podały informację, że dzisiaj o północy obca armia przekroczyła granice Rzeczpospolitej.

Nie ma się więc co specjalnie przejmować temperaturą konfliktu w Polsce?

W polskiej kulturze bardzo silny jest mit, wedle którego nasza sytuacja zależy od tego, jak bardzo jesteśmy wspólnotowi i zjednoczeni. Dziedziczymy to po mickiewiczowskim „Panu Tadeuszu" z wizją symbolicznego pogodzenia zwaśnionych rodów i wszystkich stanów w finale. Polska kultura nie może się oderwać od figury ślubu jako świętej metafory narodowego zjednoczenia. Kmicic i Oleńka w finale „Potopu", Justyna i Bohatyrowicz w „Nad Niemnem", a potem „Wesele" Wyspiańskiego.

Ale tam zamiast narodowej zgody mamy chocholi taniec!

Tak, ale ten obraz przepełniony jest rozpaczą, że się zjednoczenie Polakom nie udało. Jasiek gubi złoty róg, kosynierzy gromadzą się na darmo, nie ma spójni, nie ma wspólnoty, naród się nie odradza. Mit ocalającej wspólnoty ma zresztą korzenie w mylnym przekonaniu z końca XVIII w., że utraciliśmy niepodległość na skutek niesnasek i konfliktów wewnętrznych. Z czego wynikałoby, że gdyby nie było konfliktów wewnętrznych, to poradzilibyśmy sobie z armiami Rosji, Prus i Austrii – co jest po prostu bzdurą. Tak samo mami nas Wyspiański – bo nasz los jako narodu i państwa nie zależy od temperatury wszelkich konfliktów wewnętrznych. Chyba że chodzi o takie okoliczności jak zamach stanu Piłsudskiego – ale dziś w Polsce nie widzę, by mogło stać się coś podobnego, armia na szczęście pozostaje od 1989 r. politycznie neutralna.

Zamach majowy był reakcją na politykę partyjną II RP, która – jak pokazuje przykład Narutowicza – potrafiła być bardzo toksyczna. Gdy dziś pan patrzy na polską politykę i rosnącą w siłę radykalną prawicę, ma pan wrażenie, że toksyny z II RP wracają współcześnie?

Nie wiem, czy można mówić o międzywojennych toksynach, bo konflikt, który obecnie obserwujemy w Polsce, ma przecież charakter globalny. W Niemczech mamy Alternatywę dla Niemiec, we Francji Zjednoczenie Narodowe, Ameryka jest rozrąbana na dwa wrogie plemiona. Czy to jednak narusza jej mocarstwową pozycję, której potwierdzeniem była niedawna akcja w Wenezueli?

Ja rozumiem intencję stojącą za pana pytaniem: za naszymi granicami toczy się wojna, świat staje się coraz bardziej nieprzewidywalny, powinniśmy więc siąść do okrągłego stołu i się pojednać, a wtedy Polska się wzmocni. To jest iluzja. Jeśli by miało dojść do rzeczywistego wzmocnienia Polski, to na zupełnie innej zasadzie.

Jakiej?

Wie pan, co pokazuje lekcja Trumpa? Że drugorzędną sprawą jest ludzka kultura i życie duchowe społeczeństw. Główną sprawą jest duży pieniądz, mocna gospodarka i potężny aparat administracyjno-wojskowy. MAGA dba oczywiście o propagowanie idei konserwatywnych, ale jednocześnie postrzega je jako coś kompletnie drugorzędnego. To jest lekcja absolutnie druzgocąca dla Europy, która przez długi czas szczyciła się tym, że jest fabryką idei. Z punktu widzenia Trumpa to zawracanie głowy.

Nawet jeśli nasz konflikt jest odbiciem tego amerykańskiego, to często przybiera bardzo lokalne formy. Przecież Grzegorz Braun chyba bardziej wydaje się postacią z polskich lat 30. niż z uniwersum MAGA?

Niech mi pan powie, czy widział pan kiedyś, jak w Polsce ktoś zaczął krzyczeć do kogoś „Ty Żydzie!" i bić go z tego powodu?

Słyszałem wyzwiska, nie byłem świadkiem przemocy.

W latach 30. taka wymierzona w Żydów przemoc zdarzała się na polskich ulicach. Braun jest od niej daleki.

Zgasił chanukowe świece gaśnicą…

…trudno porównywać ten przykry akt symboliczny do sytuacji z lat 30., gdy bojówki ONR strzelały na ulicach do działaczy Bundu, którzy mocno się odstrzeliwali. Braun jest z wykształcenia reżyserem filmowym i doskonale opanował sztukę przyciągania uwagi. A w jaki sposób w Polsce najłatwiej przykuć uwagę do siebie? Wystarczy powiedzieć coś paskudnego o Żydach, a już trąbią o tym „Gazeta Wyborcza", TVN i inne media. On zręcznie wykorzystuje zadawnione złoża świadomości zbiorowej, grając na nich skutecznie.

Myśli pan, że Braun traktuje to zupełnie instrumentalnie?

Bardzo ciekawe było to, co w jednym z wywiadów mówiła jego siostra, że ona nie rozumie tego, co stało się z jej bratem, bo on np. bardzo przeżył film Claude'a Lanzmanna „Szoah".

Ja postrzegam Brauna jako kogoś, kto zręcznie wykorzystuje podatność części męskiej publiczności na teorie spiskowe. ▶

Stefan Chwin (ur. 1949 r.) – pisarz, eseista, grafik. Laureat Paszportu POLITYKI. Ostatnio opublikował „Gombrowicz i »dusza polska«", „Dziennik pisany w Gdańsku" i powieść „Piratki" z własnymi ilustracjami.

© ŁUKASZ GŁOWALA

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ Takie teorie są pogardliwie obśmiewane przez mainstream, który powtarza, że ten, kto wierzy w spiski, jest durniem. Młodzi mężczyźni czują się tym osobiście obrażeni, uważając, że człowiek prawdziwie mądry to taki, który nie daje się nabrać na pozory władzy, tylko zagląda, co się za nimi kryje, czyli kto naprawdę pociąga za sznurki – i w efekcie spisek staje się dla niego zasadą świata. A wiadomo, że w Polsce o spisek zwykle są podejrzewani Żydzi. Dla mnie jednak optymistyczne jest to, że Braun ma poparcie w porywach do 10 proc.

Dla pana to mało?

To znaczy, że nie popiera go 90 proc. społeczeństwa, więc to poparcie ciągle pozostaje marginalne.

Nie zgadza się pan, jak rozumiem, z tezą, że w Polsce doszło dziś do jakiegoś wyjątkowego pęknięcia społeczeństwa? Polemizowałby pan też z tezami, że mamy do czynienia z kryzysem liberalnej demokracji i to, co obserwujemy, to normalny dla niej spór?

Nie, tego bym nie powiedział. Wiele rzeczy, które się dzieją w Polsce, mnie niepokoi. Nie ucieszyło mnie „ledwie zwycięstwo" pana Nawrockiego – my bardzo szybko zapomnieliśmy, jak niewielką różnicą głosów on wygrał. Pytanie o to, czy demokracja liberalna jest w kryzysie, ma dość oczywistą odpowiedź: przecież widać, że jest.

Z czego może wynikać ten kryzys?

Dużo ludzi, nie tylko w Polsce, postrzega dziś demokrację liberalną jako system, który odbiera człowiekowi samą podstawę życia. Bo demokracja liberalna jest cywilizacją życia w świecie wielu prawd, co dla istotnej części społeczeństw jest czymś po prostu nie do zniesienia. Marzenie o świecie jednej prawdy ma charakter nie tylko reaktywny, ale też egzystencjalny. Stąd moja teza byłaby taka – pewnie się pan nie zgodzi – że zachodnia demokracja liberalna przeżywa kryzys, bo utraciła wyczucie tego, jak daleko może się posunąć.



W jakim sensie?

Dotykamy tu bardzo delikatnej kwestii rozumienia wolności: co wolno, a czego nie, co jest w wolności wspaniałe, a co przerażające czy nawet odpychające. I demokracja liberalna zderza się w tym punkcie z odczuciami społeczeństwa masowego.

Elity postępowe nie przejmują się specjalnie problemem granic wolności, raczej ekscytują się tym, jak bardzo same są otwarte na transgresję i przekraczanie granic. Ale widzę, że taka postawa zderza się czołowo ze społeczeństwem, zwłaszcza wiejskim, przerażonym tym, co się dzieje na świecie.

Na tym wygrywa dziś strona konserwatywna, mówiąc, że powinniśmy wrócić do świata jednej prawdy, gdzie pewnych rzeczy się nie robi, bo tak powiedział Pan Jezus. Ja co jakiś czas bywam w podwarszawskich miejscowościach, takich jak Płock czy Wyszogród, i widzę tam autentyczny lęk przed liberalną demokracją, przed lewicą, która kojarzy się ludziom z transgresyjnym ekscesem. Bo jak ma zareagować prosta gospodyni domowa, której się mówi: „Słuchajcie, dobra kobieto, płeć można sobie wybrać"?

Czy pana zdaniem w Polsce elity demokratyczno-liberalne naprawdę przyjęły transgresyjny etos? Traktowany na prawicy jako ich symbol Adam Michnik zawsze podkreślał rolę katolicyzmu dla polskiej tożsamości i przestrzega przed niebezpieczeństwami sekularyzacji.

I ma rację. Bo nadzieja na sekularyzację Polski jest szalona. Ktokolwiek liczy, że ten proces się dokona, jest pozbawiony rozsądku.

Przecież sekularyzacja już się dokonuje, zwłaszcza w młodym pokoleniu, które choćby w badaniach Pew Research Center ma jedną z największych luk religijności wobec starszych pokoleń wśród badanych krajów.

Ale co pan rozumie przez sekularyzację? To, że ludzie przestają chodzić do kościoła? Kultura, rozumiana szerzej jako życie duchowe społeczeństwa, trwa w Polsce w katolickiej atmosferze. Nawet moi znajomi ateiści dzielą się opłatkiem przy wigilijnym drzewku przy dźwiękach kolęd.

I jeśli nawet ludzie przestają chodzić do kościoła, to ciągle mają potrzebę przeżyć religijnych, którą mogą różnie realizować. Widać to też w literaturze, w zainteresowaniu poezją metafizyczną, New Age, w kinie, które odnosi sukcesy na naszych ekranach swoimi mitologicznymi narracjami. Nie ma w Polsce żadnej sekularyzacji. Co najwyżej następuje zeświecczenie obyczajów, ludzie jako oczywistość traktują np. prawo do rozwodu.

Czy polska kultura dobrze nas przygotowuje do liberalnej demokracji, do wpisanego w nią konfliktu wielu prawd?

Ta kultura, którą poznajemy w trakcie edukacji szkolnej, przepełniona jest nostalgią za wspólnotą jako uspójniającą jednią. Z kolei współczesna literatura ma często charakter konfrontacyjny, bywa, że jest pisana „nienawistnie". Tymczasem demokracja liberalna może istnieć tylko wtedy, gdy różnica nie jest podszyta nienawiścią.

Jakiś przykład?

Niech się pan nie obrazi na ten przykład, ale wskazałbym „Empuzjon" Olgi Tokarczuk. Tekst bardzo daleko posunięty w dążeniu transgresyjnym. To historia z uzdrowiska w Sokołowsku, w którym mężczyźni bywają tak podli, że doprowadzają kobiety do samobójstwa – i wtedy pojawiają się empuzy, leśne demony kobiece, które ich zabijają. I jak przekonuje autorka – bardzo słusznie. Bo kobiety mają pełne prawo do zemsty za wielowiekowe krzywdy patriarchatu.

W podobnym kluczu – jako opowieść o przedchrześcijańskiej zemście – interpretowano „Prowadź swój pług przez kości umarłych".

Pan mówi o „przedchrześcijańskiej zemście", ale w obu tych książkach na wierzchu jest piękna fraza, wspaniałe opisy natury, kultura języka, a pod spodem przesłanie, że przemocowiec albo myśliwy zasługują na słuszną nienawiść. Bo myśliwy jest bydlakiem, który zabija sarenki, te urzekające symbole dręczonej kobiecości. Nie jestem pewien, czy taka stygmatyzacja męskiej mniejszości w ramach kultury sprawiedliwej zemsty sprzyja duchowi demokracji liberalnej.

Można by na tej samej zasadzie zapytać, czy kiedy Balzac przedstawiał portrety chciwych lichwiarzy albo bezwzględnych arywistów, to pomagało to czy przeszkadzało francuskiej demokracji?

To bardzo dobre pytanie! Ono odnosi się do czegoś, co nazwałbym funkcją szczucia w kulturze. W tym specjalizowała się i prawica, i lewica. Te wszystkie obrazy kapitalistów z wielkimi brzuchami i cygarami w ustach – toż to czysty język nienawiści.

Akurat Balzac zawsze miał bardzo dwuznaczny stosunek do swoich postaci, był tyleż zniesmaczony kapitalizmem, co zafascynowany jego dynamiką. Ale ciekawe jest to, że pytany o przykład konfrontacyjnej, nienawistnej literatury

eprasa.pl e94e67b4f3

wymienia pan Olgę Tokarczuk, a nie np. wiersz „Do Jarosława Kaczyńskiego" Jarosława Marka Rymkiewicza.

Bo twórczość Rymkiewicza należy do literatury nienawistnej w sposób oczywisty. Nie mówię o jego pracach o Leśmianie, ale na przykład „Wieszanie" mną wstrząsnęło. To jest po prostu gloryfikacja „patriotycznego linczu", i to nie tylko w kontekście Konstytucji 3 maja i targowicy. „Odę do Jarosława Kaczyńskiego" napisał też mój były student Selim Chazbijewicz.

Więc to naprawdę nie jest tak, że ja widzę problem tylko w tym, co robi Olga Tokarczuk, ale po Noblu to dzisiaj czołowa polska „pisarka dialogu i tolerancji", dlatego o niej wspomniałem.

Ale jej figura czułego narratora, uwrażliwienie na inne istoty, upominanie się o pamięć Ziem Zachodnich, to nie jest coś, co narracyjnie pomogłoby się odnaleźć w demokracji liberalnej?

Być może. Pod tym względem ciekawą książką byli „Bieguni", ze względu na wpisaną w nią filozofię człowieka w podróży. Ale pozostaje problem z tymi tekstami, o których mówiłem.

Widziałby pan gdzieś w ogóle we współczesnej literaturze polskiej narracje sprzyjające demokracji liberalnej?

Problem ze współczesną literaturą polską polega na tym, że ona jest dość słabo obecna społecznie. Więc jakich szkód by nie czyniła, to będą one ograniczone. Co innego kino.



Niedawno zadałem sobie trud przejrzenia dyskusji, jaką wywołał na forach internetowych „Dom dobry" Smarzowskiego. Byłem zdumiony nienawiścią, jaka wylała się po obu stronach sporu w zajadłym, strindbergowskim wręcz konflikcie płci. Recenzenci tego filmu mówią o trosce o ofiary i wsparciu dla instytucji udzielających pomocy, ale realny społeczny efekt tego filmu to eksplozja wzajemnej wrogości, podlana kinematograficzną benzyną. Spierającym się chodzi o wybielanie kobiet i oczernianie mężczyzn przez polityczny mainstream.

Ale ten konflikt, także polityczne rozjeżdżanie się światów mężczyzn i kobiet, był widoczny w Polsce długo przed Smarzowskim.

Tak, ale warto zadać sobie pytanie, po co Smarzowski nakręcił ten film? Moim zdaniem to dzieło jest bezpośrednim echem czarnych protestów. Smarzowski rozpoznał widownię, która wtedy wyszła na ulicę albo wspierała protesty z domów, i dostarczył jej argumentów. Bo to jest bardzo inteligentny gość, który ma dobrze sprofilowane swoje filmowe targety. Tak samo było przecież z „Klerem" czy „Wołyniem" – dalekim od ducha wszelkiej demokracji filmem, niemal całkowicie pomijającym politykę II RP na Kresach i zamiast tego prezentującym jakieś pandemonium ukraińskiego terroru.

Widzi pan gdzieś w ogóle w polskiej kulturze zasoby ułatwiające nam oswojenie się z demokracją liberalną?

Moją nadzieję budzi to, że w programie nauczania ciągle znajduje się Szymborska. Sądzę, że typ ironicznego myślenia i inteligentnego sceptycyzmu, jaki przepełnia jej poezję, może demokrację liberalną wzmacniać.

Współcześnie nie mamy podobnych pisarzy?

No, jest Stasiuk. On reprezentuje formację duchową, w której łączą się dwie rzeczy rzadko spotykające się w polskiej kulturze. Jest jednocześnie wyrafinowanym intelektualistą i zwykłym, plebejskim chłopakiem. I to jest bardzo dobre.

Podoba mi się też to, w jaki sposób on podchodzi do ludzi, których spotyka na swoich podróżniczych drogach, że potrafi spotkać się z nimi poza ideologią. Lewica ma na przykład bardzo zideologizowany stosunek do podróży, w każdym, kogo napotyka, chce widzieć ofiarę społeczeństwa, wynaturzeń kapitalizmu i tym podobnych. Dodam do tego jeszcze Jurka Pilcha, Janusza Głowackiego i Janusza Rudnickiego... Ich inteligentny humor jest dla demokracji zbawieniem, bo broni przed wszelkimi dogmatyzmami. Są jeszcze Szczerek, Szczygieł, Rokita od „Odrzanii", Twardoch...

A jak pan patrzy na widoczny w historii, literaturze, ale też w kinie i sztukach wizualnych zwrot ludowy? To jest coś, co mogłoby zdemokratyzować polską kulturę?

Po jednym zwrocie będzie następny, często w przeciwną stronę, i tak się to wszystko w kółko kręci. Ludowy zwrot ma tyleż polityczny, co komercyjny charakter. Bo źródłem sukcesu „Chłopek" Joanny Kuciel-Frydryszak jest znakomite wyczucie targetu, a konkretnie kompleksu wiejskiego pochodzenia u wielu czytelniczek. Byłem zdumiony, że to jeszcze ma taką siłę. Bo pamiętam z czasów, gdy byłem studentem, jak wyróżniały się studentki pochodzenia wiejskiego, a dziś nie sposób odróżnić, kto jest ze wsi, kto z miasta – nie ma żadnych różnic w języku, sposobie ubierania się, zachowaniu. Bywam też czasem na weselach wiejskich i widzę, jak bardzo moja własna sytuacja finansowa jest dość niepoważna wobec realnej zamożności córek rolników, wyprawiających wesele na 300 osób.

Tymczasem okazuje się, że ta mocna sytuacja materialna w niewielkim stopniu zmieniła mentalność opartą na martyrologii klasowej – bo obok narodowej w Polsce bardzo silna jest też klasowa, chłopska i szlachecka. I ta książka przewartościowuje tę martyrologię oraz kompleks pochodzenia. Mówi czytelniczkom: wasze babki były ofiarami, ale wy też jesteście ofiarami wiecznego patriarchatu, który wmawia wam, że jesteście gorsze, tymczasem jesteście lepsze, właśnie dlatego, że gorsze. To jest dość pokrętna sofistyka, ale tłumy kobiet łapczywie się na to rzuciły.

Za zwrotem ludowym stoi głównie lewica studencka, która choć często nie ma nic wspólnego z warstwami plebejskimi, to snobuje się na plebejskość pochodzenia i szuka swoich korzeni na plebejskiej golgocie.

Prawica w latach 2015–23 miała bardzo mocny projekt budowy państwa przy użyciu własnej kultury. Czemu to się pana zdaniem nie udało?

Ale czemu pan mówi, że się nie udało? Chyba nie był pan na wsi i nie widział, jak wielką kulturową rolę w wiejskiej społeczności odgrywa strażacka remiza. I jak mądrze PiS zrobił, wspierając ochotnicze straże pożarne.

W tym projekcie nie chodziło jednak tylko o OSP, ale np. o wielkie produkcje filmowe wspierające prawicową wizję historii najnowszej, np. film o Pileckim.

Nie mam nic przeciw dobremu filmowi o Pileckim. Wielokrotnie mówiłem ludziom z Koalicji Obywatelskiej, w tym z bliskiego otoczenia Tuska, z którym znam się od dawna, że wielkim błędem było oddanie tematu patriotyzmu prawicy. I bardzo dobrze, że KO teraz próbuje nadrobić ten błąd, że sięga po język patriotyczny, bo to umożliwia nawiązanie kontaktu z szerokimi kręgami ludzi, dla których identyfikacja narodowa pozostaje kluczowa.

ROZMAWIAŁ JAKUB MAJMUREK

© ŁUKASZ GŁOWALA (2)

eprasa.pl e94e67b4f3

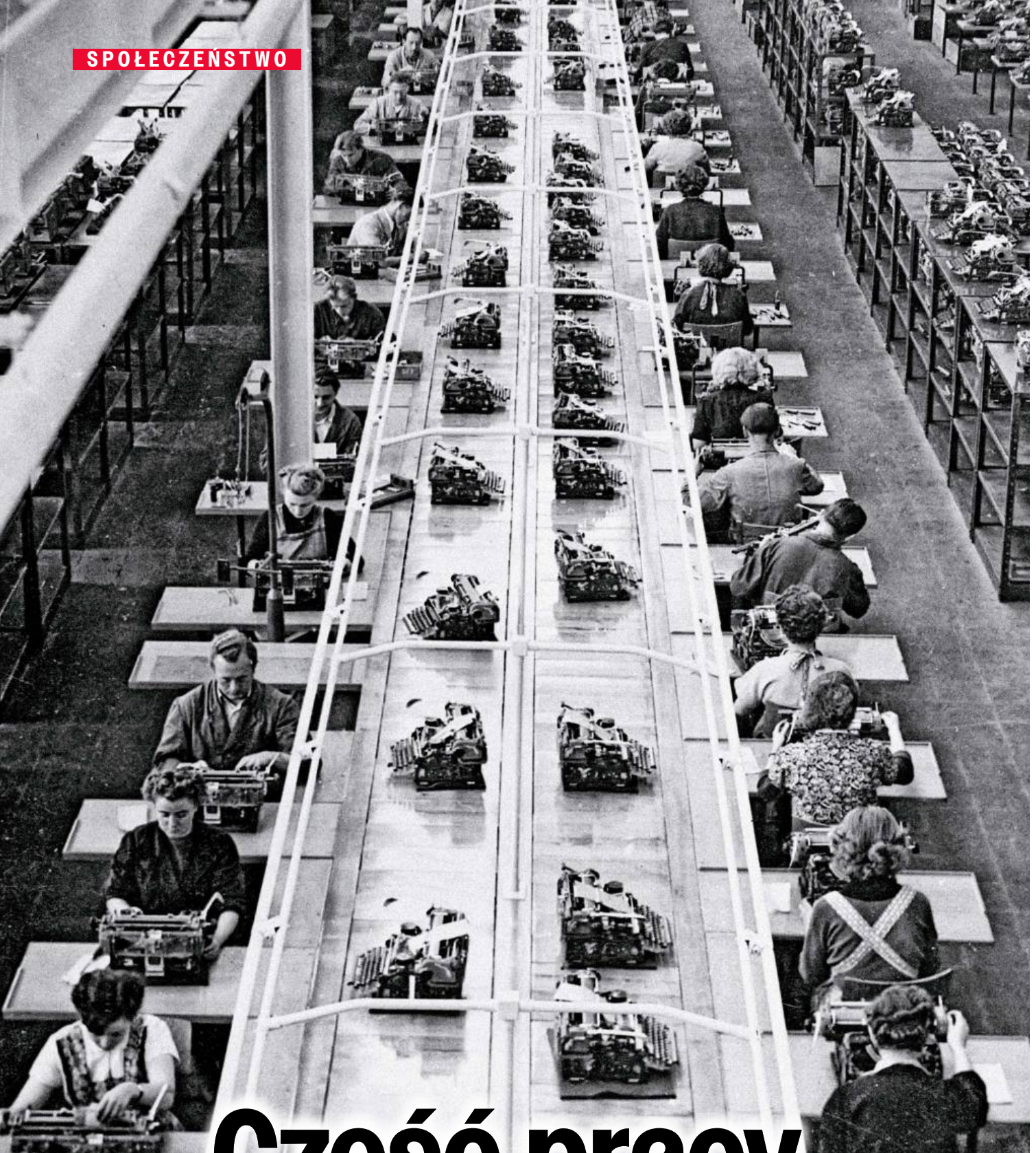

Cześć pracy

O umowach „śmieciowych”, wzajemnym oszukiwaniu w stosunkach pracy i bezsilności inspektorów mówi Marcin Stanecki, szef Państwowej Inspekcji Pracy.

eprasa.pl e94e67b4f3

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Premier podobno „się wściekł" i odrzucił projekt reformy Państwowej Inspekcji Pracy. Ryzykując utratę kilku miliardów złotych z KPO, bo obiecaliśmy Unii rozprawę ze „śmieciowymi" umowami. Miał być kamień milowy, a skończyło się na kamieniu u szyi.**

MARCIN STANECKI: – Ja tak tego nie postrzegam. Nie można oczekiwać, że po 30 latach luzowania stosunków pracy w Polsce jedną ustawą uda się naprawić wszelkie nieprawidłowości.

Zresztą los reformy Państwowej Inspekcji Pracy (PIP) nie jest przesądzony, bo przecież premier nie powiedział, że cały projekt idzie do kosza. Stwierdził, że zaproponowane rozwiązanie, czyli przekształcanie umów cywilnoprawnych w etat decyzją urzędnika, jest złe i należy je zmienić. Ale to tylko mały wycinek ustawy, która nawet w tytule jest Ustawą o Państwowej Inspekcji Pracy, a nie kompleksowym projektem zmian polityki społecznej w Polsce. Z mojej perspektywy większość zapisów tego projektu jest do uratowania, bo Inspekcja jest unikatową, cieszącą się ogromnym zaufaniem społecznym instytucją.

Pracodawcy mają o was inne zdanie. I obawiam się, że mogą mieć rację, że ustawa była źle napisana, a automatyczne przekształcanie śmieciówek na etaty było pomysłem na skróty, wrzuconym bez oglądania się na realia rynku, na którym już prawie 4 mln ludzi pracuje, nie mając umowy na etat.

Po pierwsze, w projekcie nie było mowy o automatycznej zamianie kontraktów na etaty. Za każdym razem wymagałoby to szczegółowego sprawdzenia, czy warunki wykonywania pracy rzeczywiście pozwalają uznać, że praca spełnia kryteria tej świadczonej na etacie, czyli jest cykliczna, wykonywana pod nadzorem pracodawcy, w czasie i miejscu przez niego wskazanych. Po drugie, w Inspekcji zdajemy sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką nowe rozwiązanie nałożyłoby na nas, stąd przygotowujemy się do wdrożenia tych uprawnień w taki sposób, aby nikt nie mógł nam zarzucić arbitralności czy uznaniowości przy podejmowaniu decyzji. Po trzecie, już mamy uprawnienia do wydawania decyzji administracyjnych dotyczących wypłaty zaległych wynagrodzeń. I jakoś nikt tego nie kwestionuje. Rocznie przyspieszamy w ten sposób wypłatę ponad 100 mln zł, które nie wpłynęły w terminie na konta zatrudnionych. Dzięki temu co roku kilkadziesiąt tysięcy osób dostaje zaległe pensje, bez potrzeby angażowania do tego sądów.

Biznes mówi, że zamiast leczyć nogę, proponujecie, żeby ją amputować.

Zaproponowane rozwiązanie przewidujące możliwość zamiany kontraktu na etat mogło uchodzić za radykalne, ale przecież ministerstwo było elastyczne w swoim podejściu i ustępowało pod naporem uwag. Zrezygnowano na przykład z tego, by ustalając istnienie stosunku pracy, Inspekcja miała cofać się w czasie i weryfikować poprzednie lata. Poza tym decyzje wydawane przez Inspekcję nie będą ostateczne, bo każdą będzie mógł ocenić sąd pracy.



Marcin Stanecki
– radca prawny, przez niemal 20 lat związany z Państwową Inspekcją Pracy. Po odejściu z PIP pracował m.in. jako miejski rzecznik praw konsumentów w Skierniewicach. W 2021 r. został mianowany dyrektorem Departamentu Prawa Pracy w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Od czerwca 2024 r. jest szefem PIP.

Skoro już o sądach, to posłużę się cytatem: „w 2024 r. w pierwszej instancji średni czas trwania sprawy z zakresu prawa pracy w sądach rejonowych wynosił około 8,8 miesiąca. W sądach okręgowych było to 11,4 miesiąca. W większych miastach czas ten był znacznie dłuższy, często 2–3 lata". To z opinii Konfederacji Lewiatan.

To ja dodam, że w Warszawie sprawy mogą trwać jeszcze dłużej. Nie jest to komfortowa sytuacja tak samo dla pracowników, jak i pracodawców. Z pewnością realia panujące w sądach pracy trzeba brać tu pod uwagę.

To jeszcze jeden cytat z pisma tego samego Lewiatana: „w latach 2022–2024 inspektorzy pracy skierowali 94 powództwa o ustalenie istnienia stosunku pracy na rzecz 106 osób. Tylko w 32 przypadkach sądy ustaliły stosunek pracy (w 25 sprawach zapadły wyroki, a w 7 sprawach zawarto ugodę). Oznacza to, że w większości przypadków sądy nie podzieliły oceny inspektorów PIP".

Uwielbiam ten argument, bo tak naprawdę to głos za wprowadzeniem ustawy i dalszymi zmianami w Kodeksie pracy, by wyjaśnić jednoznacznie, komu i kiedy w Polsce należy się etat. Przewlekłość postępowań plus brak jednolitej linii orzeczniczej dotyczącej interpretacji Kodeksu pracy powoduje, że część przedsiębiorców maksymalizuje swoje zyski, zastępując etaty umowami. A ta „optymalizacja" oznacza, że zatrudniony nie ma prawa do ustawowego urlopu czy do odpoczynku, należytej ochrony przed niebezpieczeństwami dla jego życia i zdrowia, no i z dnia na dzień może zostać zwolniony.

Optymalizacja to takie przewrotne słowo.

Z naszych kontroli wynika, że w niektórych firmach panują standardy jak z czasów rewolucji parowej. Na szczęście na drugim biegunie jest zdecydowana większość działających w Polsce pracodawców, którzy nie mają problemów ze stosowaniem kodeksu i dbają o swoich pracowników. Tym bardziej uważam, że XXI w. to najwyższy czas, aby wszyscy zatrudnieni na naszym rynku pracy byli równo i sprawiedliwie traktowani.

Godne to i sprawiedliwe, ale czytelnicy dalej mogą nie wiedzieć, dlaczego dotychczas tak skromnie walczyliście z patologią śmieciówek.

Nie jest tak źle. Co roku doprowadzamy do zamiany kilku tysięcy kontraktów na etat, gdy po naszej interwencji pracodawca robi to dobrowolnie. Co do sądów, to nie składamy pozwów o zamianę umów cywilnoprawnych na etaty, bo są to działania nieekonomiczne. Angażują wiele energii i czasu inspektorów, a przynoszą skutki umiarkowane. Prawda jest również taka, że nie uczyliśmy dotychczas naszych ludzi, jak mają się zachowywać przed sądem.

No to skąd pomysł, że pana podwładni teraz sobie poradzą w sądach?

Przygotowując się do wdrożenia zmian, jesteśmy w trakcie organizowania szkoleń prowadzonych przez sędziów ▶

© TOPICAL PRESS AGENCY/GETTY IMAGES, RAFAŁ GUZ/PAP

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ pracy, przez profesjonalnych pełnomocników procesowych, którzy występują po drugiej stronie, po to, żeby inspektorzy znali wszystkie niuanse i kruczki prawne, które występują przy przekształcaniu. Bo to są jedne z najtrudniejszych procesów, które wynikają z prawa pracy. W zasadzie zlikwidowaliśmy również nawis nieobsadzonych etatów. W tym roku budżet PIP zostanie zwiększony o niemal 12 proc. W zeszłym roku udało mi się podwyższyć wynagrodzenia w Inspekcji o 10 proc.

Obiecane wam pieniądze to niezbędne minimum, żeby Inspekcja przeszła wreszcie cyfrową rewolucję. ZUS w pierwszym podejściu odmówił wam dostępu do swoich danych, bo nie spełnialiście większości wymogów ochrony danych i dostępu do nich.

W zasadzie większość zastrzeżeń wobec nas została już wyeliminowana. Mamy kupione nowe, gwarantujące bezpieczeństwo serwery.

Niby macie komputery, ale ciągle nie macie spójnego systemu informatycznego, nie sposób się z wami kontaktować mailowo, bo właściwie nie ma takiej procedury. A pieczątka to u was ciągle podstawa.

Proszę nie przesadzać. Maile do nas dochodzą i odpisujemy na nie w terminie. Choć dalej nie można ich traktować jako oficjalnych dokumentów, co m.in. miała zmienić sporna ustawa. Co do reszty, to traktuję to jako argumenty za tym, że zmiana jest potrzebna i choćby dla dobra pracodawców należy ustawę jak najszybciej wprowadzać.

Nawet w okrojonej wersji bez możliwości zamieniania umów B2B na etat, co lewica traktuje jako świętość?

To nie jest decyzja, która jest po stronie PIP, tylko premiera, rządu i samego Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, które pracowało nad zapisami ustawy. Osobiście niezwykle szanuję zaangażowanie ministry Agnieszki Dziemianowicz-Bąk w to, żeby każdy zatrudniony w Polsce miał nie tylko równe szanse, ale też równe prawa i równe traktowanie. Podziwiam również jej polityczną determinację, żeby takie rozwiązanie forsować, bo nie okłamujmy się, nie jest ono popularne wśród pracodawców.

Wzmocnienie Inspekcji też nie jest ich marzeniem. W Czechach za optymalizację podatkową zatrudnienia można dostać ponad 400 tys. euro kary. A w Polsce 2 tys. zł.

Grzywna jest do 30 tys. zł. Ale teoretycznie, bo tylko sąd może ją nałożyć w takiej wysokości. Z naszych danych wynika, że średni mandat to 1,3 tys. zł, a średnia kara zasądzana przez sąd to ok. 2,9 tys. zł. Pokazuje to tylko, że zarówno Inspekcja, jak i polskie sądy nie są surowe dla pracodawców. Proszę sobie wyobrazić, że na jednym z kongresów podszedł do mnie szef działu prawa pracy w jednej z większych kancelarii i zapytał, kiedy nam wreszcie podniosą kary, bo jak się do nich zgłaszają pracodawcy i dowiadują się, że dostaną mandat w wysokości tysiąca złotych, to rezygnują z usług, bo taniej jest zapłacić mandat, niż uzyskać poradę prawną. Podobne sygnały płyną od inspektorów pracy. Część pracodawców wprost mówi, że taniej jest zapłacić mandat, niż utrzymywać BHP-owca czy zawracać sobie głowę przepisami.

I pan mówi, że nie przegrywacie?

Z mojej perspektywy to ostatnie pół roku to jest sukces Ministerstwa Pracy. Temat stał się ważnym elementem społecznej debaty. Wielu ludzi w ogóle nie miało świadomości, na jakiej umowie pracują, z czym się to wiąże, jakie mają prawa, a jakie mogliby mieć na etacie. Zwłaszcza młodzi ludzie nie wiedzą, że rodzaj umowy przekłada się na ich emeryturę, a może nawet jej brak. Dla nich liczy się tu i teraz. Nie wiedzą nawet, że może się okazać, że nie mają co liczyć na zasiłek z ZUS, bo nie opłacili dobrowolnej składki na ubezpieczenie chorobowe. Bez tego całego wzmożenia wokół ustawy wiele dobrych rzeczy by się nie wydarzyło.

Ja rozumiem, że na każdej terapii uczą, jak zamienić porażkę w sukces, ale w tym wypadku to jednak karkołomne.

Porażką byłoby nicnierobienie. Udawanie, że nie ma problemu. Przez ostatnie 30 lat spod zapisów Kodeksu pracy znikały całe branże. I po raz pierwszy ktoś rzucił temu procesowi wyzwanie i spróbował go nie tylko zatrzymać, ale wręcz odwrócić. Dla dobra zatrudnionych, ale także naszego rynku, na którym powinna rządzić zdrowa konkurencja, a nie wyścig na to, kto lepiej ominie koszty związane z zatrudnieniem na etacie. Pod koniec zeszłego roku przez godzinę odbierałem telefony w jednym z programów telewizyjnych i miałem ich co najmniej kilka od osób, które liczyły, że 1 stycznia złożą skargę i że ich sytuacja się poprawi.

Lekarze też dzwonili?

Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie takiego telefonu.

Informatycy też się nie garną, żebyście im pomagali.

Osobiście bardzo mi zależy na wejściu nowych przepisów w życie. W związku z tym starałem się wysłuchać argumentów i obaw każdej ze stron. W Poznaniu miałem spotkanie z branżą informatyczną i tam wprost mi powiedziano, że oni zarabiają po 20–25 tys. miesięcznie. Do tego mają różnego rodzaju bonusy, służbowe samochody, płatny urlop wypoczynkowy. Z perspektywy takiego informatyka czy lekarza na kontrakcie nasza propozycja może rzeczywiście nie była kusząca.

Nie była kusząca? Dla nich to był napad w biały dzień. Informatyk po wystawieniu faktury na 20 tys. na rękę dostawał jakieś 15,5 tys. A jak wrzucicie ich na etat, to z tych samych 20 tys. na rękę dostaną niecałe 11 tys.

Ta ustawa z założenia powstała, żeby podać rękę tym, których zmuszono do wyjścia poza Kodeks pracy, a nie tym, którzy sami wybrali taką drogę, bo po prostu im się to bardziej kalkulowało. Ja nie zawsze byłem szefem Inspekcji. Zaczynałem jako szeregowy inspektor i proszę mi wierzyć, że wiem, jak bardzo ludzie potrafią być wykorzystywani, jak ciężko muszą pracować, jak łatwo odmawia się im podstawowych praw, choć pracują od rana do wieczora. Ta ustawa to nie był skok na portfele Polaków, tylko próba zlikwidowania patologicznych rozwiązań, które nieprzypadkowo nazywane są...

...śmieciówkami, tylko że projekt poległ właściwie na „luksusowych śmieciówkach".

Tyle że wysokie dochody, które uzyskują osoby zarabiające w ten sposób, po części są kosztem innych pracowników i pracodawców, którzy płacą wyższe składki i są mniej konkurencyjni. Optymizacja kosztów, którą stosują, jest bowiem drogą do ubóstwa emerytalnego. Z wyliczeń wynika, że płacąc najniższą składkę emerytalną, samozatrudnieni nie będą w stanie w ustawowym wieku przejścia na emeryturę zgromadzić kapitału nawet na najniższe świadczenie, jakie gwarantują im przepisy. W efekcie do ich świadczeń trzeba będzie

eprasa.pl e94e67b4f3

GALERIA POLITYKI



ISKRA

w przyszłości dopłacać z publicznych pieniędzy coraz większe kwoty. Ale na szczęście to nie jest materia, którą miałaby regulować reforma PIP.

Taką materią nie jest też kryzys demograficzny. Czy kobieta pracująca na umowie cywilnoprawnej niedającej prawa do urlopu macierzyńskiego będzie chciała urodzić dziecko?

Raczej nie, bo będzie się martwiła, że nie będzie jej na nic stać, że nie wróci już do pracy, że na jej miejsce znajdzie się szybko ktoś inny. To po prostu niesprawiedliwe, że jedna kobieta ma prawo do takiego urlopu, a inna nawet na tym samym stanowisku, czasem w tej samej pracy, może nie mieć takiego prawa, bo zamiast etatu ma kontrakt. Mówimy, że jest zła demografia w Polsce, a takiej ważnej sprawy nie załatwiamy.

Ja też tego nie rozumiem.

W ostatnich miesiącach, gdy ministerstwo pracowało nad nowymi rozwiązaniami, rozmawiałem z kim się dało o aktualnej sytuacji na rynku pracy w Polsce. Pewien pośrednik pracujący dla jednej z platform zajmujących się dowozem jedzenia tłumaczył mi, że jeśli ma przetrwać na rynku, to musi płacić 4–5 zł za godzinę, bo inaczej zje go konkurencja. A jednocześnie w Polsce od stycznia mamy stawkę gwarantowaną ustawowo za godzinę pracy na poziomie 31,40 zł brutto. Stawki w wysokości 4–5 zł są nie tylko niezgodne z przepisami, są po prostu niewolnicze.

Tyle że mało to kogo obchodzi, bo wykonują ją głównie cudzoziemcy.

W tym roku czeka nas implementacja unijnej Dyrektywy platformowej, która reguluje kwestie zatrudniania przez międzynarodowych gigantów zapewniających nowoczesne usługi, którzy oferują pracę za pośrednictwem platform cyfrowych. I to nieważne, kto wykonuje tę pracę. Unia Europejska pochyliła się nad losem tych ludzi. W całej Wspólnocie zostaną wdrożone rozwiązania, które mają poprawić sytuację osób pracujących bez ubezpieczenia, z wynagrodzeniem znacznie poniżej ustawowych gwarancji. Tym bardziej że coraz więcej osób przechodzi na ten rodzaj pracy i nie jest to prawda, że nie dotyka to również Polaków. Fajnie mieć dowiezioną za półdarmo pizzę, ale pytanie, czy nadal będzie nam smakowała, mając z tyłu głowy, że to kosztem półdarmowej pracy jakiegoś człowieka.

Gdyby nie mówił tego szef PIP, to bym się nawet ucieszył, ale jak mówi to pan, to się zastanawiam, co robią pana ludzie?

Na dziś w kwestii pracy tych ludzi jesteśmy bezsilni, bo platform i dostawców na skuterach czy rowerach najczęściej nie łączy żaden stosunek zatrudnienia. Oni nawet nie mają zleceń na wykonanie tych usług, bo od tych trzeba przecież zapłacić składki na ubezpieczenia społeczne. A tak jedyne, co ich łączy, to umowa na wypożyczenie plecaka albo dostęp do cyfrowej platformy. Nie ma tu stosunku pracy, a jak tego nie ma, to na dziś nie ma też nic do roboty dla „moich ludzi", jak pan to powiedział. To, co próbuje zrobić ministra Dziemianowicz-Bąk, to zmierzenie się z wyzwaniami współczesnego świata, a do tego konieczne jest wzmocnienie Inspekcji Pracy.

A może nowy świat chcieliście leczyć starymi lekami? ZUS właśnie wychodził sobie ustawę, żeby mogli zatrudniać lekarzy orzeczników na umowy, a nie na etat, bo nikt nie chciał dla nich pracować za te stawki, które oferowali. Kolejki do orzeczników były na kilka miesięcy do przodu. To są realia polskiego rynku pracy.

Zakładam, że ZUS działa w granicach obowiązującego prawa, by zapewnić jak najlepszą obsługę interesantów. Jednocześnie intensywnie kontroluje przedsiębiorców, którzy omijają obowiązek zapłaty składek za zatrudnionych, co odbija się na ich uprawnieniach do zasiłków w czasie choroby czy macierzyństwa, a w przyszłości także na wysokości ich emerytury. ZUS jest dla nas wzorem, bo mają dużą skuteczność kontroli sięgającą powyżej 90 proc. A to dlatego, że dużo wcześniej przeszedł informatyzację i ma zaawansowane narzędzia, w tym algorytmy AI, do wyszukiwania nieprawidłowości. Stąd zapisy w projekcie spornej ustawy, żeby i PIP miała dostęp do danych ZUS, co również pozwoliłoby nam zwiększyć wydajność i efektywność kontroli. Na dziś działamy właściwie po omacku.

Po omacku zdaje się działa i państwo, które najwyraźniej przestraszyło się własnej odwagi.

Co do odwagi, to inspektor pracy idący na kontrolę i mający problem z wylegitymowaniem osób, które stawiają mu opór w przeprowadzeniu czynności, w myśl obecnie obowiązujących przepisów nie może liczyć na pomoc policji. Chyba że zostałby pobity albo by mu grożono, to ewentualnie wtedy może zadzwonić po wsparcie funkcjonariuszy. To wiele mówi o tym, w jakich realiach pracujemy i jaki jest stosunek do naszej pracy. To jest pytanie: czego chcemy, jakiej Polski, jakich stosunków pracy? Jaka będzie demografia, jakie standardy na rynku pracy?

Pracodawcy mają na to proste odpowiedzi. Ściągnie się ludzi choćby z Kolumbii. Ewentualnie kupi jakieś roboty.

Na razie dominuje ten pierwszy pomysł. Co do robotyzacji w Polsce, zdaje się jesteśmy w europejskim ogonie. Pracownik w Polsce jest cały czas tańszy, szybciej wymienialny. To sygnał, że PIP jest instytucją potrzebną. Ale musi być silna, musi być sprawna, no i musi mieć wsparcie polityków.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl e94e67b4f3



Sztandarowa impreza Koła Gospodarzy Wiejskich w Rozgartach. Poniżej: **Koło Gospodarzy Wiejskich Parchowianie.**

Jak mężczyźni odkryli koło

To rzadki przypadek: grupa mężczyzn ze wsi bez ceregieli przyznaje, że zainspirowały ich kobiety z kół gospodyń wiejskich. Z nich biorą przykład i zakładają męskie KGW.

ZBIGNIEW BOREK

Czy już nauczyłeś się lepić pierogi? Uszyłeś sobie spódnicę? Wystrugałeś wałek do ciasta? Takie drwiny słyszą najczęściej. Tomasz Kunc, 48 lat, chłop jak dąb, emerytowany wojskowy i członek Koła Gospodarzy Wiejskich MEN w Droszkowie pod Zieloną Górą, przekonuje: – *Koła gospodyń wiejskich skupiają energiczne kobiety, które mają pomysły na swoją wieś, i warto korzystać z ich doświadczeń.*

67-letni Johann Okroy, po ojcu Niemiec, po matce Polak. Gdy po przełomie ustrojowym Volkswagen wchodził do Polski, Johann jako jego przedstawiciel opiekował się nowymi fabrykami, bo po polsku biegle nawet klnie. Nadzorując fabrykę w Polkowicach, regularnie przejeżdżał koło Zielonej Góry. Marzył, że zamieszka w tej okolicy pełnej lasów, i na emeryturze wybrał Droszków. Opowiada: – *W niemieckiej wsi jest ochotnicza straż pożarna i klub sportowy, przy knajpie działa towarzystwo strzeleckie. Liczy się integracja, żeby nikomu nie było obojętne, co się w jego wsi dzieje. I mi nie jest obojętne, co się dzieje w Droszkowie.*



Fotele samochodowe dla polkowickiej fabryki, którą opiekował się Johann, sprawdza Łukasz Żur, 42-letni inżynier ds. bezpieczeństwa, kolejny członek KGW w Droszkowie. – *Mamy we wsi OSP, ale jakoś nie czujemy się na siłach* – mówi. Świetnie za to ogarnęli remont sali wiejskiej. – *Miało być malowanie, wyszła generalka. Wtedy pomyślałem, że przydałaby się na stałe męska ekipa do pomocy*

eprasa.pl e94e67b4f3

radzie sołeckiej. Mało kto chce w niej działać, bo z cięższą robotą zwykle zostaje sama – mówi sołtys Grzegorz Żarczyński, 43-letni informatyk. To on w październiku 2025 r. wraz z Tomaszem, Łukaszem, Johannem i jeszcze sześcioma chłopakami zarejestrował KGW MEN.

Wspólne kiszenie

W Polsce jest 17,5 tys. kół gospodyń wiejskich (skupiają ponad 300 tys. osób) zgłoszonych do rejestru Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. MEN z Droszkowa jest najnowszym i dopiero trzecim zarejestrowanym kołem męskim. Poprzednie, w Parchowie na Dolnym Śląsku, założył w lipcu zeszłego roku Krzysztof Szydzik, 43-letni górnik dołowy kopalni Polkowice-Sieroszowice. – *Siedzieliśmy z kumplami na czterdziestce jednego z nich i dyskutowaliśmy, że warto by coś we wsi zrobić, a kobiety mają fajny sposób na zorganizowanie się* – opowiada. Sądził, że o pomyśle zapomną, ale wrócili do niego kilka dni później. Rejestracja Koła Gospodarzy Wiejskich Parchowianie zajęła im trzy miesiące: – *Trzeba było pisać wnioski do wniosków, cuda-niewidy*.

Pierwsze KGW złożone z samych mężczyzn powstało 13 maja 2024 r. – *Nie umiemy lepić pierogów ani szydełkować, niezbyt dobrze prezentujemy się też w strojach ludowych. Nie chodziło nam więc o to, żeby wchodzić w buty pań z KGW, ale wyciągnąć facetów z kanap, żeby wyszli z domu, najlepiej z dziećmi* – mówi Mariusz Mierczyński, 39-letni urzędnik samorządowy i sekretarz Koła Gospodarzy Wiejskich w Rozgartach (woj. kujawsko-pomorskie). Opowiada o scence z „Wakacyjnego kiszenia ogórków" (to ich sztandarowa impreza): – *Usiadło obok siebie dwóch panów i każdy kisił do swojego słoika. Przy drugim słoiku zaczęli wymieniać się składnikami i rozmawiać. Przy trzecim przeszli na ty. Potem umówili się na piwo. I okazało się, że od pięciu lat mieszkają obok siebie przegrodzeni sześciometrowymi tujami.*

Droszków jest sypialnią Zielonej Góry. Miasto zaczyna się kilometr za wsią, do centrum jest tylko 11 km. W ciągu ostatniej dekady liczba mieszkańców Droszkowa wzrosła z 890 do 1,5 tys., ale tak naprawdę przekroczyła 2 tys. osób (wielu się tu nie zameldowało, żeby ich dzieci mogły chodzić do miejskich szkół). – *Radę sołecką niektórzy traktują jak spółdzielnię mieszkaniową w mieście: na zawołanie ma kupić, załatwić, naprawić. Za mało jest myślenia o wsi jako o wspólnocie i to chcemy zmienić* – deklaruje sołtys Żarczyński, który jest też wiceprezesem KGW.



KGW MEN z Droszkowa w programie TVP2 „Pytanie na śniadanie"

MEN wraz z sołectwem i parafią pomógł zorganizować jasełka. Wiejską Wigilię mężczyźni przygotowali wcześniej z żeńskim KGW: wzięli na klatę ustawienie choinki, stołów, krzeseł i przygotowanie dekoracji, panie upiekły ciasta, potrawy wigilijne dojechały z cateringu. – *Chwaliły, że nie musiały się o nic martwić* – mówią chłopaki z MEN. Żeńskie KGW potwierdza, i wcale nie dlatego, że dowodzi nim... mężczyzna.

43-letni Dominik Staśko, z zawodu fryzjer, z zamiłowania ludowy rzeźbiarz, był członkiem założycielem kobiecego KGW w Droszkowie: same kobiety i on – i to jego wybrały na prezesa. Wieś żartuje, że jest męskim rodzynkiem w babce. – *Prawda jest taka, że mężczyzna kobietom się przydaje: a to coś trzeba dźwignąć, a to przywieźć, a to załatwić bardziej „po męsku"* – mówi Staśko. I zapewnia: – *Żeńskie KGW w Droszkowie męskiego KGW nie traktuje jak konkurencji, tylko sprzymierzeńców.*

Chłopaków nie może się też nachwalić Zofia Kulikowska, szefowa Stowarzyszenia Miłośników Droszkowa. – *Ja to mogłabym być mamą tych młodziaków, dzieci mam od nich starsze. Stuknęło mi 79 lat* – mówi. Mieszka w Droszkowie ponad pół wieku i trudno pogodzić jej się z tym, że coraz więcej mieszkańców jest anonimowych. – *I jeszcze to sobie chwalą! Przecież to niezgodne z duchem wsi. Jak człowiek nie chce znać sąsiadów, niech żyje w mieście.*

Burzliwa fermentacja

Parchowianie specjalizują się w kociołku: karkówka, boczek, marchewka, ziemniaki przełożone kapustą, do tego pietruszka, dużo pieprzu i czosnku. Kociołkiem podbili Traktoriadę w Chocianowcu (rozpoczyna ją parada traktorów), Dni Parchowa i święto pieczonego ziemniaka w Grębocicach. Nakarmili piłkarzy B-klasowej Victorii Parchów (– *Żeby choć nie byli głodni po meczu, bo za grę nikt im nie płaci*).

Przedszkolakom zanieśli prezenty (Mikołajem był prezes), robią swojską kiełbasę, wędzą we własnej wędzarni razem z szynkami i serami. Ale generalnie dopiero się rozkręcają. „Jak mówię gdzieś w Polsce, że mamy męskie KGW, wszyscy się dziwią. Wierzę, że im to pójdzie" ▶

© KOŁO GOSPODARZY WIEJSKICH W ROZGARDACH, KOŁO GOSPODARZY WIEJSKICH PARCHOWIANIE, KOŁO GOSPODARZY WIEJSKICH W DROSZKOWIE

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ – komentowała w lokalnej telewizji sołtyska Iwona Andraszak.

Ścieżki przecierają mężczyźni z Rozgart. Tuż po założeniu koła gospodarzy wiejskich wygrali ogólnopolski konkurs na potrawy z rybą. Pokonali ponad 100 żeńskich KGW, szykując sandacza z kaszanką na bazie XVII-wiecznego przepisu. Równie stary jest przepis na rosół z korzennymi przyprawami, anyżem, kardamonem i gałką muszkatołową, do którego panowie zrobili lane kluski z siekanymi pędami młodego świerku. Potrafią przygotować „różową kozę", czyli pizzę z sokiem z buraków z karmelizowaną na miodzie gruszką, kozim serem, chrustem z pora i pudrem grzybowym.

W kiszeniu ogórków pobili z mieszkańcami rekord świata: pod okiem specjalnej komisji z polskiego Biura Rekordów 380 osób wcisnęło tonę ogórków do 2,3 tys. słoików.

Na ministerialną listę produktów tradycyjnych (są na niej oscypek czy toruński piernik) trafił ich trunek z oskoły brzozowej, bo sąsiadka powiedziała Mierczyńskiemu, że z takich brzóz, co to rosną koło jego domu, potomkowie olenderskich osadników wytwarzali dawniej wino. Z kolegą Łukaszem Walusiakiem, też urzędnikiem, a teraz sołtysem Rozgart i prezesem KGW, cztery lata pozyskiwał sok z drzew i przeczesywał archiwa, aż trafili na przepis z połowy XIX w. Przeprowadzili wywiady etnograficzne z mieszkańcami, którzy pamiętali, że trunek był robiony w domach, podawały go też okoliczne karczmy i gospody.

KGW Rozgarty organizuje bitwę na grzyby: drużyny startują ze swoich sołectw, w punkcie zbiorczym zwycięzcy zgarniają całą pulę grzybobrania. Założyli społeczny ogród z ziołami zakola dolnej Wisły: krwawnik, szczawik zajęczy, mięta, wrotycz. Kto chce, może skubnąć i dosadzić swoje szczepy. Na tej samej zasadzie ma działać sad owocowy z szarą renetą, gruszą lipcówką, renklodami, agrestem i pigwą, który utworzyli w zeszłym roku. Najbardziej dumni są jednak z klubu seniora. Zdobyli z Unii 100 tys. zł, mają 12 podopiecznych (trzy panie i dziewięciu panów) w wieku od 62 do 86 lat, którym przygotowali już zajęcia z psychoterapeutą i fizjologiem, warsztaty zdrowego żywienia i wyrobu biżuterii. Organizują spacery, wspólnie z seniorami byli w teatrze muzycznym, filharmonii i Ciechocinku.

– *Śledzimy Rozgarty i chcielibyśmy iść w ich ślady* – mówi ekipa z Droszkowa. W planach mają zakup kuchni polowej i zajęcia z majsterkowania, bo zanika sztuka wbijania gwoździ czy posługiwania się wiertarką. W listopadzie zapuścili wąsy w ramach akcji Movember (celem jest poprawa świadomości na temat zdrowia mężczyzn, zwłaszcza raka prostaty i jąder), a w tym roku wezmą udział w Święcie Różowej Wstążki (promuje profilaktykę raka piersi). – *Chcemy przełamać stereotypy, że pewne problemy są tylko „damskie" albo „męskie"* – deklarują panowie z KGW w Droszkowie.

Lokalne rewolucje

Ze stereotypami zmagają się wszystkie pokolenia kobiet w 150-letniej historii kół gospodyń wiejskich. W Polsce Ludowej KGW stały się organizacją masową: 35 tys. kół skupiało ponad 1 mln członkiń, ale formalnie i tak działały jako przybudówki kółek rolniczych, którymi rządzili mężczyźni. „Transformacja ustrojowa pozbawiła je finansowego wsparcia ze strony państwa. Koła gospodyń wiejskich, niesprawiedliwie określane jako »organizacje komunistyczne«, wydawały się skazane na wymarcie" – czytamy w jednej z prac Ilony Matysiak, prof. Akademii Pedagogiki Specjalnej.

Wiele KGW przetrwało okres transformacji, a eksperci mówią wręcz o ich renesansie, także dzięki wsparciu państwa. Ustawa o kołach gospodyń wiejskich z 2018 r. przyznaje im osobowość prawną i określa know-how (jak koło założyć, prowadzić i rozliczać). Państwowe dotacje rosną jak na drożdżach: 18 mln w 2018 r., 70 mln zł w 2022 r., 120 mln zł w 2023 r., 155 mln zł w 2025 r. Każde zarejestrowane koło dostaje rocznie 8–10 tys. zł (w zależności od liczebności), dwie trzecie z nich dodatkowo dotują samorządy. Kół więc przybywa (w 2024 r. zarejestrowano 3369), ale pole stereotypów wciąż wymaga orki.

„Nie mają co robić!" – słyszały panie z mazowieckiej wsi, gdy zakładały koło gospodyń wiejskich. Ich wieś jest rolnicza, leży w najbiedniejszej gminie w powiecie, nie ma podstawowej infrastruktury. Wielu mężczyzn w okolicy wciąż wyznaje pogląd, że „kobieta powinna siedzieć w domu, przy garach i dzieci wychowywać", jak mówiła jedna z pań, których relacje spisały dr Sylwia Urbańska i dr Katarzyna Dębska. Raport z badań socjolożek „Mieszkanki wsi w działaniu: lokalne rewolucje" (Fundusz Feministyczny, 2025 r.) dowodzi, że mieszkanki wsi, skupione w KGW, „postrzegają swój aktywizm jako proces zmiany – uczenia się: własnej wartości, wartości swojej pracy, odblokowywania sprawczości, doświadczania siły grupy. (...) To również emancypacja, która próbuje iść w poprzek polaryzacji społecznej, jakiej doświadczamy w Polsce".

Uprzedzenia i patriarchat, męski szowinizm i seksistowskie zaczepki coraz częściej wywołują w nich „wkurz, gniew i sprzeciw, które umacniają w działaniach" – piszą autorki. Zaczepki kierowane do członkiń KGW z Mazowsza sprawiły, że „babcie, matki i córki, rolniczki, gospodynie domowe i emerytki zaczęły się wspierać i rozmawiać o prawach kobiet". „Zanim was poznałam, jak chciałam gdziekolwiek wyjść, to pytałam męża, czy mogę. A dzisiaj mu oświadczam, że wychodzę" – mówiła jedna z pań. Inna opowiadała o chłopcu, który po podwieczorku w sali wiejskiej nie chciał myć naczyń. „Bo dziewczyny będą myły" – powtarzał. Panie zorganizowały więc warsztaty, na których uczą dzieci (zaczęły od swoich synów) równego podziału obowiązków domowych.

Męska konkurencja

Prof. Ilona Matysiak zwraca jednak uwagę, że męskie KGW mogą odbierać tlen żeńskim, bo według ustawy o kołach gospodyń wiejskich w jednej wsi może działać tylko jedno koło (w Droszkowie są dwa, bo jedno „podpięto" pod dawne kółko rolnicze). – *Mężczyźni dominują w organizacjach strażaków, wędkarzy, myśliwych czy w zarządach wiejskich klubów sportowych. Zakładając KGW, wchodzą w wąską przestrzeń zastrzeżoną do tej pory dla kobiet, stając się potencjalną konkurencją w zabiegach o dotacje czy choćby uwagę lokalnych władz* – podkreśla.

Jak zauważa, w ustawie nie ma ani słowa o mężczyznach (występują kobiety i mieszkańcy), podobnie jak o kołach gospodarzy wiejskich (Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa ponoć uznała, że skoro ustawa męskich kół nie zakazuje, to są dozwolone, ale jej odpowiedzi w tej sprawie nie uzyskaliśmy). Jasno i wyraźnie za to zapisano, że każde koło „działa na rzecz poprawy sytuacji społeczno-zawodowej kobiet wiejskich oraz ich rodzin" (art. 2, par. 2). Jak się zastanowić, to męskie koła też by się w tej ustawie zmieściły.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl e94e67b4f3



Wróżby z genów

Rozwijająca się diagnostyka genetyczna rodzi coraz więcej dramatycznych pytań. Przede wszystkim: czy w ogóle robić testy genetyczne? No bo jak żyć ze świadomością, że za 20 lat może powalić nas nieuleczalna choroba?

PAWEŁ WALEWSKI

W życiu Emilii, neurolożki z wieloletnim stażem, nieustannie przenikają się dwie perspektywy – lekarki i córki. Jej dotknięci alzheimerem rodzice stali się dla niej nie tylko pacjentami, ale też żywym świadectwem, jak ich choroba powoli kradnie tożsamość, wspomnienia i godność. To również jej codzienność odmierzana nie rytmem dyżurów, lecz postępującym zanikiem świata jej najbliższych. Jako lekarka patrzy na nowoczesną diagnostykę z nadzieją na nowe terapie, ale jako córka – z głębokim lękiem. Nie chce wiedzieć, co ma zapisane w genach ani co podpowiadają biomarkery, które można już oznaczyć w prostym badaniu z osocza krwi, by wykryć ślady choroby Alzheimera nawet 20 lat przed pierwszymi objawami.

To, co dla niej jest źródłem lęku, dla współczesnej medycyny stanowi przełom na miarę odkrycia antybiotyków. Prof. Tomasz Gabryelewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Alzheimerowskiego, przypomina, że jeszcze pod koniec XX w. chorobę tę można było ze stuprocentową pewnością rozpoznać dopiero po śmierci pacjenta, badając jego mózg pod mikroskopem. Dziś stoimy u progu diagnostycznej rewolucji. – *Jako lekarz dostrzegam w niej nadzieję na nowe terapie, na zapobieganie temu, co nieuniknione* – mówi Emilia. Ale gdy pytam o jej własny stosunek do biomarkerów, jej głos cichnie: – *Nie zrobiłabym tego badania z lęku przed sobą i w trosce o dzieci, które stałyby się kolejnym pokoleniem w grupie ryzyka.*

Opowiada, jak opiekuje się rodzicami, którzy wymagają całodobowego nadzoru i pomocy w codziennych czynnościach: – *Tylko ja wiem, co przeżywam jako córka. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek z mojej rodziny to powtarzał. Gdybym dowiedziała się, że mam te biomarkery, mogłabym wpaść w depresję, nawet pomyśleć o samobójstwie. Znam siebie na tyle, że nie udźwignęłabym takiego wyroku.*

Prof. Gabryelewicz jest psychiatrą, więc rozumie te rozterki. Pół roku temu, podczas światowego kongresu specjalistów zajmujących się otępieniami i chorobami neurodegeneracyjnymi, był świadkiem starcia między dwiema szkołami medycznymi. Zespół amerykańskich ekspertów przyjął radykalne stanowisko: obecność nieprawidłowego biomarkera, nawet bez objawów klinicznych, pozwala już uznać daną osobę za chorą na alzheimera. Polskie Towarzystwo Alzheimerowskie, jak większość europejskich, ma w tej kwestii zdanie odmienne.

Profesor tłumaczy, że w Polsce nie rekomenduje się tych badań u osób bezobjawowych. Dlaczego? Argument bolesny w swojej prostocie: na tym etapie nie mamy jeszcze leków, które mogłyby zatrzymać proces lub znacząco wydłużyć fazę bezobjawową. Choć w Stanach ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ Zjednoczonych i w Europie rejestrowane są nowoczesne przeciwciała monoklonalne, jak lecanemab czy donanemab, są przeznaczone dla pacjentów, u których choroba już się zamanifestowała – choćby w stopniu łagodnym. Podanie ich osobie w fazie bezobjawowej, u której wykryto jedynie biomarkery, wciąż wymaga dalszych badań klinicznych.

– *To budzi ogromne kontrowersje etyczne* – przyznaje prof. Gabryelewicz. O ile w onkologii wczesna diagnoza daje szansę na wycięcie zmiany, o tyle w przypadku choroby Alzheimera lekarz często musi rozłożyć ręce. Przekazuje pacjentowi wyrok, nie oferując w zamian skutecznego ratunku, co wywołuje traumę, depresję i lęk, które paradoksalnie mogą przyspieszyć wystąpienie objawów otępiennych.

Rodzinna pajęczyna

Współczesna wyobraźnia lubi proste narracje. Najchętniej takie, które przynoszą ulgę, np. o chorobach, które da się przewidzieć. Jednak wgląd w geny to nie tyle klucz do długowieczności, ile raczej puszka Pandory, której nie powinniśmy otwierać bez solidnego przygotowania.

– *Większość nękających nas chorób ma podłoże genetyczne* – potwierdza prof. Maria M. Sąsiadek z Katedry Nauk Przedklinicznych Wydziału Medycznego Politechniki Wrocławskiej, po czym rozbraja własną tezę, pokazując jej warunki brzegowe. Często chodzi nie tylko o jeden gen, ale o układ wielu genów i ich dialog ze środowiskiem, dietą, nawykami, ekspozycjami, których na co dzień nie zauważamy. – *Każdy może odnieść wrażenie, że poznanie własnego przeznaczenia zapisanego w DNA to kwestia kilku kliknięć i wysłania próbki śliny do byle jakiego laboratorium. Problem zaczyna się już na poziomie samej jakości badania, a następnie interpretacji jego wyniku.*

Często takie placówki, które ekspertka nazywa „laboratoriami garażowymi", nie podają kluczowej informacji: czy znaleziona zmiana w genie jest rzeczywiście patogenna? Bo np. gen BRCA1, kojarzony z ryzykiem raka piersi i jajnika, posiada każdy z nas. Kluczem jest tu znalezienie konkretnego chorobotwórczego wariantu, a aż 40 proc. odkrywanych zmian w tym genie nie ma charakteru patogennego. Bez rzetelnej informacji i wsparcia pacjent zostaje sam z wynikiem, który może zaważyć na jego dramatycznych decyzjach życiowych, choć nie musi



Wgląd w geny to nie klucz do długowieczności, lecz puszka Pandory, której nie należy otwierać bez przygotowania.

oznaczać choroby. Należy więc szukać najbardziej referencyjnych ośrodków, gdzie wynikowi towarzyszy profesjonalna interpretacja kliniczna, a więc rozmowa z lekarzem genetykiem.

– *Biorę ołówek, kartkę, rysuję i wyjaśniam* – opowiada nasza rozmówczyni, podkreślając, że predyspozycja to zupełnie coś innego niż wyrok. Rozmowy z pacjentami stają się tym trudniejsze, im więcej można wyczytać z materiału genetycznego, ponieważ większy zasób dostarcza nowych pytań. Czy powinniśmy badać wszystko, co tylko potrafi odczytać nowoczesna aparatura? Czy testować krewnych w rodzinach obciążonych jakąś chorobą? Panuje zgoda co do tego, że warto u noworodków wykrywać choroby, w których wczesna interwencja ratuje życie, jak mukowiscydoza czy rdzeniowy zanik mięśni (SMA). Tu sukces terapii jest wprost proporcjonalny do szybkości jej podjęcia. Jednak panele genetyczne obejmują też schorzenia, na które nie mamy lekarstw, jak choroba Huntingtona. Czy obarczać nastolatka wiedzą o wyroku, który spełni się za 30–40 lat?

– *Ja nie robię takich badań u osób niepełnoletnich* – wyznaje prof. Sąsiadek, podkreślając wagę świadomej zgody. Dzieci mają prawo do „otwartej przyszłości" (American Medical Association tak to dosłownie określa – *open future* – odradzając przesiewy genetyczne u nieletnich w przypadkach ciężkich chorób mogących pojawić się w wieku dorosłym, zwłaszcza gdy nie ma dostępnej kuracji). Zresztą świadomość ta bywa destrukcyjna dla całej rodziny; historia zna przypadki rozszerzonych samobójstw rodziców, którzy nie potrafili udźwignąć lęku o przyszłość swojego potomstwa.

Genetyka podsuwa więc mapę, ale nie daje gotowej instrukcji obsługi życia. Pozwala zajrzeć za zasłonę przyszłości, jednak to, co tam zobaczymy, wciąż wymaga odwagi do podjęcia decyzji o sobie samym, nieraz wbrew cyfrowym prawdopodobieństwom. Nawet w przypadku słynnych mutacji genów BRCA1 i 2, które u Angeliny Jolie determinowały 80-proc. ryzyko zachorowania na raka piersi i jajnika, nie mamy do czynienia z diagnozą nowotworu.

Genetyk szacuje ryzyko, przedstawia fakty, pokazuje opcje – od nadzoru profilaktycznego po usunięcie organów, w których mógłby rozwinąć się rak – ale to pacjent musi wybrać drogę zgodną ze swoimi emocjami i hierarchią wartości. Zdaniem ekspertów porada genetyczna nie powinna narzucać rozwiązań. – *Takie podejście bywa nazywane postawą Piłata, który umywa ręce* – przyznaje prof. Sąsiadek, ale skoro ona sama nie wiedziałaby, co powinna zrobić w obliczu wykrycia u siebie patologicznej zmiany genów BRCA, to jak może cokolwiek doradzać innym? Zauważyła, że na decyzje kobiet najsilniejszy wpływ mają historie rodzinne: jeśli matka chorowała łagodnie na raka piersi w wieku 70 lat, córki są mniej skłonne do radykalnych kroków, ale kiedy śmierć bliskiej osoby była szybka i pełna cierpienia, determinacja drastycznie wzrasta.

Ostre cięcia

Decyzję o profilaktycznej mastektomii podjęła w maju 2013 r. Angelina Jolie, a w Polsce – spośród osób publicznie znanych – dziennikarka Paulina Młynarska (która w marcu 2021 r., wykorzystując zasięgi w mediach społecznościowych, podzieliła się historią swojej profilaktycznej podwójnej mastektomii z powodu wysokiego ryzyka nowotworu). W 2024 r. przeprowadzono u nas 535 takich zabiegów, co stanowiło 2 proc. wszystkich operacji usunięcia piersi (w 2023 r. było ich 518, a do października 2025 r. – 497). Choć jawią się jako logiczne wyjście z sytuacji zagrożenia, psychologia podpowiada, że między wynikiem badania a decyzją o „ostrym cięciu" rozciąga się skomplikowany krajobraz lęków i społecznych tabu.

Jak twierdzi dr n. o zdrow. Sylwia Michałowska z Katedry Psychologii Klinicznej i Psychoprofilaktyki Uniwersytetu Szczecińskiego, badająca perspektywę kobiet z mutacją BRCA, informacja o genetycznym ryzyku rzadko bywa przyjmowana w sposób jednowymiarowy. Dla części pacjentek, zwłaszcza z rodzin o długiej i intensywnej historii nowotworowej,

© STUDIO POLITYKA (2)

eprasa.pl e94e67b4f3

wynik jest formą wyzwolenia. Niepewność bywa bardziej męcząca niż radykalna wiedza – dla nich to koniec życia w roli permanentnej pacjentki i szansa na konkretne działanie redukujące ryzyko. Jednak dla innych ta sama informacja staje się źródłem dylematów. – *To zależy od tego, w jakim momencie życia kobieta taką informację dostaje* – wyjaśnia dr Michałowska.

34-letnia Marta usłyszała o konieczności operacji, zanim zdążyła urodzić dziecko lub znaleźć partnera, z którym chciałaby założyć rodzinę. Tu biologia zderza się z planami życiowymi, tworząc sytuację niemal bez wyjścia. Z badań dr Michałowskiej wyłania się obraz zaskakujący: od momentu otrzymania informacji o mutacji do finalnej decyzji o operacji mijają średnio dwa lata. A zatem to nie jest impuls, lecz proces – a niektóre kobiety wybierają niewiedzę, stosując mechanizm nierealistycznego optymizmu. Wierzą, że statystyczne ryzyko ich nie dotyczy, mimo zgonów w rodzinie. „Mnie to nie dotknie, więc nie muszę się tym zajmować" – powtarzają jak mantrę, która na krótko redukuje stres, ale długoterminowo pozostawia nad głową tykającą bombę.

Paulina Młynarska, podobnie jak Angelina Jolie, decydując się na zabieg, zredukowała prawdopodobieństwo zachorowania o 80–90 proc. Jej misja edukacyjna spotkała się jednak z brutalną ścianą. Obok głosów wsparcia dziennikarka zderzyła się z falą nienawiści, którą określiła mianem ataku „rycerzy zakonu głupoty". Zarzucano jej bycie ofiarą Big Pharmy lub chęć zdobycia sławy. Hejterzy posuwali się do absurdalnych sugestii, że skoro usunęła piersi, powinna „odciąć sobie łeb z uwagi na ryzyko glejaka". Taki społeczny ostracyzm i naruszenie tabu wokół kobiecości mogą skutecznie zniechęcać do podjęcia kroków ratujących życie, choć w wyobrażeniach wielu kobiet – potwierdzają to obserwacje psychologów – gwiazdy z ekranu żyją jednak w innym świecie finansowym i społecznym, więc niekoniecznie są gotowe je naśladować. Operacja i bolesna rekonwalescencja jawią się im jako przywilej zarezerwowany dla tych, które mają czas i pieniądze, choć od ponad pięciu lat mastektomie profilaktyczne są refundowane przez NFZ.

– *Taka decyzja jest głęboko powiązana z tożsamością* – zauważa Sylwia Michałowska. – *Operacja, która ma chronić, bywa postrzegana jako symboliczne wejście w rolę chorej i traumatyczne naruszenie integralności własnego ciała. Ludzki umysł silniej reaguje na natychmiastową stratę – ból, menopauzę, utratę atrybutów kobiecości – niż na odroczoną korzyść w postaci braku choroby w przyszłości.*

Diagnostyka bez kompasu

Współczesna diagnostyka stawia nas przed pytaniem, czy prawo do wiedzy o własnej przyszłości jest ważniejsze niż prawo do życia w nieświadomości, która pozwala cieszyć się teraźniejszością. W onkologii wczesna detekcja ratuje życie, ale przy otępieniach albo zaburzeniach psychicznych, przewidywanych na wiele lat przed pojawieniem się objawów, może być klątwą, z którą wielu nie będzie umiało sobie poradzić.

Najbardziej radykalnym, choć logicznym postulatem dr Michałowskiej jest wykonywanie złożonej diagnozy osobowościowej przed badaniem, by móc określić, jak pacjent zareaguje na wiedzę o swoim przeznaczeniu. Narzędzia do definiowania takich cech istnieją, choć psychologia nie potrafi z całkowitą pewnością przewidzieć, czy dana osoba zareaguje „pozytywnym przewartościowaniem", czy popadnie w paraliżujące myślenie katastroficzne. Coraz bardziej rozwinięta diagnostyka nie wyposażyła nas w kompas, który pozwoliłby bez lęku po niej nawigować.

Emilia wybrała działanie: zamiast konfrontacji z wynikiem testu biomarkerów codzienny sport, ćwiczenia pamięci, zdrowa dieta, kontakty społeczne. – *Tak próbuję opóźnić objawy otępienia, jeśli miałyby nadejść. Gdybym wiedziała na pewno, czekałabym na pierwsze zapomniane słowo, widząc w nim początek końca. To byłoby nadrozpoznawanie z lęku, a starzenie mózgu to przecież fizjologia.*



Czy prawo do wiedzy o własnej przyszłości jest ważniejsze niż prawo do nieświadomości, która pozwala cieszyć się teraźniejszością?

Prof. Gabryelewicz pociesza: – *Eliminując czynniki ryzyka, na które mamy wpływ, a więc poprawiając styl życia i nie izolując się od ludzi, możemy zmniejszyć zapadalność na alzheimera niemal o 40 proc.*

Jednocześnie nie neguje postępu – jego zespół z Poradni Alzheimerowskiej Państwowego Instytutu Medycznego MSWiA w Warszawie przeprowadził pilotażowe oznaczania biomarkerów tej choroby we krwi u stu pacjentów z łagodnymi zaburzeniami poznawczymi. W Polsce problemem jest wciąż zbyt późne rozpoznawanie otępień, a wiele osób z ich wczesnymi objawami pozostaje bez opieki, bo nie wykonano u nich żadnej diagnostyki. Wygodna metoda testów z osocza może im pomóc. – *Sporo pacjentów zgłasza się do mnie z zaburzeniami pamięci i z ulgą przyjmą informację, że to nie alzheimer, a np. depresja. Dla tej grupy wykluczenie tragicznej diagnozy za pomocą testów biomarkerów może być zbawienne, ale pamiętajmy, że bezkrytyczna diagnostyka to jak niebezpieczna zabawka w rękach dziecka.*

Stoimy na progu medycyny, która zamiast leczyć człowieka, zaczyna katalogować jego usterki, zanim zdążą się objawić. Zaczynamy od kropli krwi lub wymazu, które w czeluściach laboratoriów zamieniają się w wyrok o odroczonym terminie. Czy lekarz ma stać się jedynie operatorem biochemicznej machiny, która segreguje nas według biomarkerów, odbierając prawo do teraźniejszości wolnej od lęku przed rakiem czy alzheimerem? Która nie bierze pod uwagę indywidualnej odporności organizmu ani wpływu stylu życia?

– *Żaden test nie zastąpi humanistycznej więzi, dotyku lekarza czy wnikliwego wywiadu, który widzi w nas kogoś więcej niż sumę patologicznych mutacji* – zauważa dr Emilia. – *Choć młodzi lekarze skłaniają się ku diagnozom stawianym jeszcze przed dotknięciem pacjenta, warto zadać sobie pytanie: czy naprawdę chcemy medycyny odczłowieczonej, która zamiast nadziei oferuje nam jedynie listę przyszłych nieszczęść?*

Ostatecznie to nie geny powinny definiować nasze życie, lecz relacja z drugim człowiekiem, która w procesie zdrowienia pozostaje fundamentem niedającym się zastąpić żadnym algorytmem. W erze tak precyzyjnych prognoz to empatia czyni nas naprawdę zdrowymi.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl e94e67b4f3



Gruz przyjmę

Rozmowa z fotografem i socjologiem Kubą Dąbrowskim, mieszkającym na co dzień w Berlinie, o Polsce widzianej przez niemiecki filtr i o szukaniu piękna w polskim chaosie.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– W książce „Tutejszy" zamieściłeś zdjęcie chłopięcych nóg z nabazgranym na nich słowem Bóg. O czym to jest?**

KUBA DĄBROWSKI: – W takiej najbardziej powierzchownej warstwie to piłkarski tatuaż naszego syna. Piłkarze często mają wytatuowane krzyże, twarz Chrystusa, korony cierniowe, to działa mu na wyobraźnię. Choć nie jest ani ochrzczony, ani nie chodzimy z nim do kościoła. Sam z siebie postanowił chodzić na religię, czyta Biblię... No i sam, za pomocą długopisu, zrobił sobie taki tatuaż.

Jest teraz taka moda na prymitywne, badziewne tatuaże. Polska na twoich zdjęciach też bywa badziewna.

Rzeczy, które uwieczniam, nie są brzydkie same w sobie. Przynajmniej ja ich tak nie postrzegam. To, co fotografuję, jest po prostu takie, jakie jest. Moje zdjęcia to zapis rzeczywistości. Staram się ją opowiedzieć i zamknąć w jakieś estetyczne ramy. Czy amerykańska prowincja jest ładna? Zdjęcia Williama Egglestona, pokazujące życie w Tennessee, nie są z kategorii „ładne". Eggleston uwielbiał puste parkingi, podupadające stacje benzynowe, mieszkania z obdrapaną farbą, która płatami odchodzi od ściany. Amerykanie doskonale potrafią zamykać swoją często niezbyt przyjazną codzienność w piękne opowieści i w piękne obrazy, zbudować z niej pociągający i inspirujący mit. Uliczny rap z Nowego Jorku, piosenki Bruce'a Springsteena o Nebrasce, filmy Jima Jarmuscha, te wszystkie niezbyt przyjemne okoliczności, o których przecież marzymy.

A u nas Zenek Martyniuk, który jest naszym Bruce'em Springsteenem.

Polska na twoich zdjęciach potrafi wypalić oczy.

Od ośmiu lat mam bazę w Berlinie.

Chodzi ci o to, że się tam przeprowadziliście?

No tak. Jestem fotografem z branży modowo-reklamowej i dużo podróżuję po Europie. Za każdym razem, kiedy wracam do Polski, widzę ją na świeżo i z nienaturalnie podwyższoną ostrością. Mój mózg dostaje do przetworzenia obrazy, które z jednej strony są mi bliskie i znajome, a z drugiej nie są złagodzone codzienną rutyną, przyzwyczajeniem. Przez kilka pierwszych dni obraz jest wyraźniejszy, komiksowo uproszczony. Widzę, czym Polska różni się od innych miejsc, i naturalnie ciągnie mnie do fotografowania tych różnic. Tych zwykłych przezroczystych scenek, pejzaży, układów wizualnych, które powodują, że czuję, że wróciłem do siebie.

Ta twoja Polska rzeczywiście jest bardzo intensywna, taka z przydrożnych reklam z napisem „Gruz przyjmę".

Najnowsze zdjęcia w tej książce powstały jakieś 1,5 roku temu, czyli stosunkowo niedawno. A jednocześnie tempo zmian w kraju jest tak szybkie, że część z nich jest już czysto archiwalna. Na przykład te z Białegostoku z okolic dworca, który w międzyczasie został totalnie przebudowany,

eprasa.pl e94e67b4f3



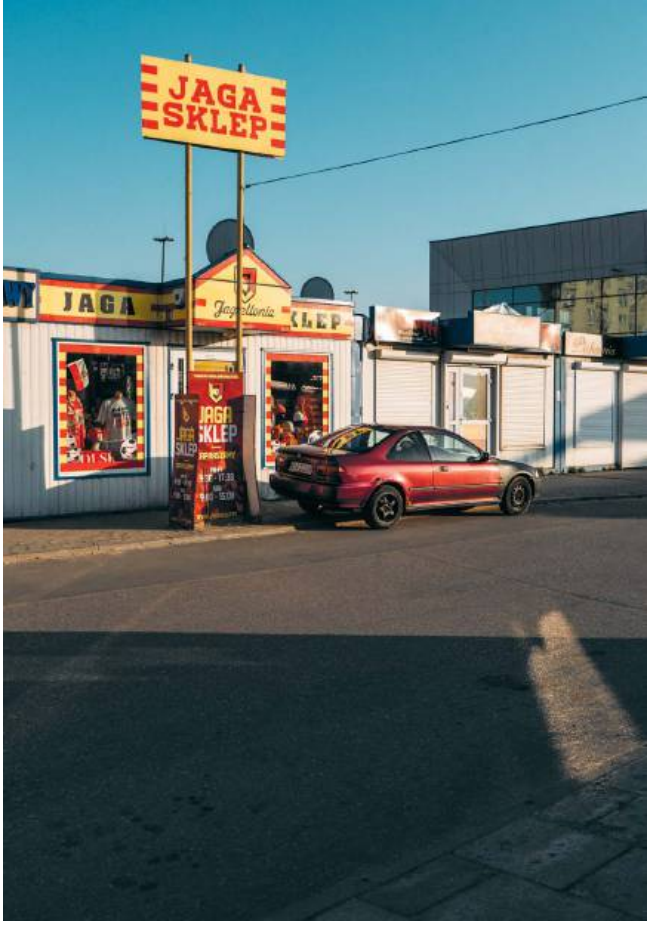

Po lewej: **plaża w Łebie.** Po prawej: **amerykańskie mity w polskiej przestrzeni – nieistniejący już sklep z gadżetami Jagiellonii Białystok.** Poniżej: **tatuaż syna fotografa.**



np. ten sklep z gadżetami Jagiellonii Białystok już nie istnieje. Wydaje mi się, że to zdjęcie oddaje podskórnego ducha Białegostoku, który jest dla mnie miastem w jakiś sposób zarażonym amerykańskim snem. Sporo ludzi stąd szukało szczęścia w Stanach. A kiedy wracali, to odtwarzali mity i obrazy stamtąd. Oczywiście odtwarzali je, trzymając się własnej estetyki, własnych korzeni, to fascynująca mieszanka.

Dla mnie ten kontener udający coś amerykańskiego jest tak naprawdę opowieścią o tym, jak kończy się druga faza polskiego kapitalizmu, który urodził się w ulicznej szczęce, z której kupowało się chemię z Niemiec, a później zadomowił się właśnie w kontenerze, z którego obecnie jest siłą wyprowadzany.

Zdaje się, że rzeczywiście Polska jest teraz w jakiejś trzeciej fazie zmian czy też przyspieszenia. Znikają pewne ekstrema, fascynujące ślady fantazji pojedynczych ludzi, jak chociażby ten pojazd z gwiezdnych wojen, który ktoś zbudował i postawił w przestrzeni społecznej, bo spełnił tym samym jakieś swoje dziecięce marzenie.

Był taki moment, że przestrzeń była zaśmiecona całą masą takich wspaniałych potworności. Jakiś gigantyczny wieszak, stojąca pośrodku niczego kopia Wieży Eiffla, przeskalowane krzesło, które chyba nawet niczego nie reklamowało.

Dając to zdjęcie do książki, miałem w sobie opór, że to za łatwe, że to takie zdjęcie z kategorii polski rozpi... Zbyt łatwy uśmiech. Ale w podtekście mam też jakiś sentyment do tych emocji, które pchnęły kogoś, żeby zrobić coś takiego. To jest rzeczywistość, która odchodzi, tak jakby się wyczerpała na nią przestrzeń. Ta kolejna faza polskiego kapitalizmu przynosi rzeczywistość lepiej zaprojektowaną, ale czy lepszą?

Prześladuje mnie takie poczucie, że źle się nauczyliśmy tego kapitalizmu. Źle się nauczyliśmy korzystać np. z miast i poruszamy się po nich głównie autami, choć to zabiera więcej czasu i powoduje więcej frustracji. Ale skoro wreszcie mamy te auta, to trzeba nimi wszędzie jeździć. Mam wrażenie, że źle się też nauczyliśmy w architekturze i kopiujemy to, od czego świat już odchodzi, a my ciągle się zachłystujemy, jak chociażby to warszawskie downtown, które dla centrum miasta jest mordercze. Wypiera z niego mieszkańców, zabija tkankę społeczną, tak jak za wysokie drzewo zabiera słońce reszcie organizmów.

Poza Warszawą w całej Europie chyba tylko Frankfurt pozwolił sobie na taki eksperyment z downtown i skutki są takie, jakie opisujesz. Ta część miasta żyje w rytmie biurowym, czyli po godz. 18 jest w zasadzie martwa.

Tylko że we Frankfurcie to nie zaburza centrum, bo życie miasta toczy się bliżej rzeki, a centrum biurowe jest od niej w większości odsunięte.

Ten proces kiełkowania, wybijania się z ziemi wieżowców w Warszawie jest rzeczywiście imponujący. Widać w nim prawdziwą siłę, witalność pewnych procesów, nieważne, jak negatywnie je oceniamy i co czytamy między wierszami, to się po prostu dzieje. *In your face*. Nawet to, co powstało niedawno, w latach 90. zeszłego wieku, musi odejść, bo okazało się za małe, niewystarczająco reprezentacyjne, nie da się tam pomieścić tylu ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ biur, ile by się chciało. A jednocześnie w cieniu tych zmian masz kamienice z oknami zabitymi deskami, latami czekające, aż sprytny deweloper dowiezie przejęcie własności.

Czyli ciągle bardziej „Ziemia obiecana" niż „Buddenbrookowie"?

Zdecydowanie tak. Ewentualnie „Lalka", której zresztą słuchaliśmy, stojąc w przedświątecznych korkach na autostradzie, jadąc z Berlina do Białegostoku. „Buddenbrookowie" są dla mnie opowieścią o trwaniu, obie polskie książki są o żywiole zmian. I wydaje mi się, że te stare cegły ciągle celnie pokazują różnicę między Polską a Niemcami. Polska jest jeszcze na dorobku, w trakcie gwałtownej zmiany, koegzystowania różnych porządków, faz rozwoju. Stąd np. to zdjęcie zamglonego albo zasnutego smogiem centrum Warszawy.

Jesteśmy dumnym narodem, który odniósł sukces, a ty skupiasz się na szukaniu biedy i niedoróbek?

Tylko że to zdjęcie to totalnie obiektywne spojrzenie na centrum Warszawy. Zrobione jest z ostatniego piętra hotelu Novotel, gdzie mieści się siłownia. Warszawa ze swoimi warstwami – nieodnowione kamienice i półdzikie parkingi obok najwyższego budynku w Europie. Jest wieczny korek, a w nim sportowe superauta i przerobione na gaz starszaki...

Które handlarz ściągał po takiej okazji, że Niemiec aż płakał, jak sprzedawał.

Masz tam po prostu wszystko, co może być wizualnie frustrujące przez swoje niedopasowanie, a z drugiej strony właśnie fascynujące. Często zderzam się z tym, robiąc komercyjne sesje w centrum Warszawy. Robisz zdjęcie modelki na przejściu dla pieszych na tle drapaczy chmur, ale non stop musisz uważać, żeby w kadr nie wszedł ci słup sygnalizacji świetlnej z odbitymi na ksero naklejkami o tym, że ktoś przyjmie gruz...

Obrazy zewnętrzne dla mnie są tak naprawdę odbiciem naszego wnętrza. Tej samotności społecznej, w którą wepchnął nas kapitalizm, on całkiem podciął i tak wiotkie zalążki społecznej wspólnoty. Paulina Wilk w książce „Znaki szczególne" napisała, że dożyliśmy czasów, w których ludziom jest łatwiej wsiąść do taksówki i pojechać kupić kilo cukru, niż iść pożyczyć szklankę cukru od sąsiada.

W Niemczech dalej masz spis nazwisk przy domofonie. Nie ma tej anonimowości,



Kuba Dąbrowski (ur. w 1980 r. w Białymstoku) – socjolog po UJ i fotograf po ITF (Institut Tvůrčí Fotografie) w Opavie. Jego zdjęcia wystawiane były m.in. w warszawskiej Zachęcie. Pracuje w przemyśle modowym, fotografuje dla marek takich jak np. Louis Vuitton, Gucci czy Schiaparelli i dla branżowego magazynu WWD. Pod koniec zeszłego roku nakładem wydawnictwa Wydałem ukazała się jego kolejna książka fotograficzna „Tutejszy".

która nagle pojawiła się w Polsce, a której – co przecież obydwaj pamiętamy – wcześniej nie było. W ogóle w Niemczech panuje kult wspólnotowości, ludzie mają tu na jej temat lekkiego bzika. Prawie wszyscy należą do jakichś klubów albo w coś się angażują. Przez syna, który gra w piłkę, doświadczam tego na polu sportu. Klub piłkarski to nie jest miejsce, gdzie wykupujesz usługę, tylko stajesz się częścią czegoś, za co jesteś jakoś tam odpowiedzialny.

Na przykład?

Proste sprawy. Jeden rodzic robi przysmaki po meczu dla wszystkich dzieci, ktoś inny zajmuje się dopingiem, są szaliki, są starsi panowie, którzy prowadzą kiosk i kawiarnię. Klub staje się taką małą lokalną osią identyfikacji. Co ciekawe, w drużynie w centrum Berlina prawie w ogóle nie ma „Niemców". Jest sporo dzieci z mieszanych związków niemiecko-chińskich, hiszpańskich, są dzieci z Izraela, Rosji, Sudanu... Niektóre urodziły się w Niemczech, inne tu przyjechały. W sumie ta drużyna to może być metafora pozytywnej pocztówkowej wizji niemieckiego społeczeństwa. Panują w niej niemieckie zasady i system szkolenia. Wszyscy się do tych reguł stosują, ale przy okazji nikomu nie przeszkadza, że ktoś obchodzi inne święta. Albo że na zgrupowaniu musi jeść jedzenie halal.

Tyle że to Berlin, a reszta kraju aż kipi od napięć społecznych.

Na większą skalę posklejane z ludzi z różnych kultur społeczeństwo niestety nie działa aż tak pocztówkowo, ale jest do czego dążyć.

Polska, Niemcy ten sam ból – taką dedykację dostałem właśnie od ciebie.

Bo to nie jest książka o tym, że Polska jest do bani, a Niemcy to raj. Ona w ogóle nie jest o Niemczech. Ale siłą rzeczy to Polska widziana przez niemiecki filtr, stąd pewnie te porównania.

Polska kolej wręcz zawstydza tę niemiecką swoją punktualnością. Niemcy są krajem w kryzysie.

Tyle że Niemcy inaczej sobie radzą z kryzysami. Mają głęboko zakorzeniony odruch wspólnotowości. W przedszkolu naszego syna dzieci co tydzień wychodziły na wycieczkę. Nie były to spektakularne wyjazdy autokarem na basen albo do muzeum, tylko małe wprawki do dorosłego życia. Przedszkolaki ustalały wspólnie, czy kończą im się jakieś przybory i co ewentualnie jest im potrzebne. A później cała grupa szła do sklepu, ale do środka wchodziła dwójka, która miała za zadanie znaleźć klej i samodzielnie go kupić. Za tydzień kolejna dwójka szła np. po kredki. Dzieci często jeździły na oddalone o kilka przystanków tramwajowych inne place zabaw. Ćwiczyły w ten sposób zdolności poznawcze, uczyły się dyscypliny w podróży, brały odpowiedzialność za siebie. Każdy miał na takiej wycieczce jakąś rolę.

Mnie zachwyciło to, co pokazałeś mi w Berlinie, czyli huśtawki ustawione tak, żeby dzieci wzajemnie się widziały i mogły ze sobą komunikować. A nie żeby to była zabawa na zasadzie, kto wyżej, jak na polskich placach zabaw.

Inżynieria społeczna na wczesnym etapie socjalizacji. Ślizgawki też są często szersze, żeby dzieci nie musiały stać w kolejce, tylko żeby mogły jeździć w różnych grupowych kombinacjach. Moja książka jest m.in. o tym, co robimy z przestrzenią wspólną. Czy wspólnota kończy się na rodzinie, czy dopiero tam się zaczyna. Przeczytałem „Gorycz" Anny Zawadzkiej, według mnie ta książka jest bardziej o autorce niż o kraju, w którym mieszkam od siedmiu lat. Jest tam np. taki fragment, w którym autorka opisuje, jak znalazła na wystawce przy ulicy lalkę. Sprawną, ładną lalkę, którą według niej

eprasa.pl e94e67b4f3



Zamglone albo zasnute smogiem centrum Warszawy. Poniżej: **neon z napisem Warszawa odbijający się w kałuży.**

ktoś wyrzucił, czytaj: znudził się, dobrobyt go rozpieścił. A ja na te wystawki patrzę inaczej. To jest o tym, że chcesz się dzielić. Jeżeli przeczytałeś już książkę, to możesz ją trzymać na półce, możesz spróbować sprzedać za 2 euro, ale możesz ją też wsadzić do kartonu i wystawić przed dom.

I o czym to jest?

Dla mnie to jest ciągle o tym podstawowym odruchu tworzenia wspólnoty. Wszyscy to biorą, ja też szukam w tych pudłach czegoś, co mogłoby mnie zaciekawić. I nie ma w tym wstydu. Wstydem byłoby tylko wystawienie czegoś zepsutego, brudnego. Są nawet tacy, którzy wystawione książki układają alfabetycznie. Jednocześnie w Berlinie widziałem ludzi, którzy mieli totalną dzikość w sercu i na twarzy, ale na pustej ulicy grzecznie stali i czekali, aż światło zmieni się z czerwonego na zielone.

Nie potrafię tego rozgryźć, ale potrafię się dostosować. W Niemczech, a przynajmniej w Berlinie, możesz mieć niebieskie włosy, chodzić za rękę, z kim ci się podoba, i nikt ci nie powie nic złego, nikt cię za to nie zaczepi. Ale jeżeli naruszysz ciszę nocną, źle posegregujesz śmieci, krzywo zaparkujesz albo przypniesz rower tak, że zastawisz innym przejście, to od razu zostanie ci zwrócona uwaga. Zresztą sam się pilnujesz, bo jest ci wstyd, że sąsiad nie może zaparkować, bo zająłeś dwa miejsca.

Wspólnota zaczyna się od wspólnej przestrzeni?

Tak. Te normy są bardzo silnie zakorzenione, wpajane od samego początku



i często brutalnie egzekwowane. Stosowanie się do nich jest ceną, którą się tu płaci za bycie sobą.

Może oni mieli po prostu łatwiej. W latach 90. zeszłego wieku nie musieli wstawiać krat w oknach w obawie przed napaścią. Zawsze mnie przerażało, że ludzie sami skazywali się na życie za kratami. Ale też przywykłem do tego widoku, a twoje zdjęcia znowu mi przypomniały, jakie to były chore czasy.

Nasz syn, widząc te kraty, pyta: A co, jak będzie pożar? Bardzo mnie cieszy ta jego logika.

A ty jesteś bardziej niemiecki, czy bardziej polski?

Ja jestem tutejszy.

Czyli?

Tytuł mojej książki odnosi się do odpowiedzi, którą w spisach powszechnych lat 20. XX w. spontanicznie dawali mieszkańcy Podlasia, czyli polsko-białorusko-litewskiego pogranicza. Nie mówili, że są Polakami czy Białorusinami, byli po prostu stąd, byli „Tutejsi". Narodowość nie była pytaniem, które sobie zadawali, więc wymyślili ten wygodny, intuicyjnie rozumiany termin wytrych. Na poziomie języka nie mówili ani po polsku, ani po białorusku, mówili „po prostu". Myślę, że w dzisiejszych płynnych czasach ta intuicja sprzed stu lat pozostaje bardzo celna. Tylko paradoksalnie bardziej niż mieszkańców pogranicznych wsi tyczy się nowych ludzi, trochę takich jak ja, i jest totalnie odłączona od geografii. We współczesnym świecie, nawet jeżeli fizycznie nie podróżujemy, to przez internet równolegle funkcjonujemy w podlewanych przez algorytm niezależnych od miejsca zamieszkania wspólnotach. Politycznych, hobbystycznych, opartych na gustach, np. zamiłowaniu do Taylor Swift, filmów anime itd. Te elementy często są zbite w jakieś nieskodyfikowane, ale intuicyjnie rozumiane kulturowe pakiety. A językiem rozmowy „po prostu" jest międzynarodowy uproszczony angielski.

Twoja „Tutejszość" to też sentymentalne zdjęcia, może nawet lekko kiczowate, jak neon z napisem Warszawa odbijający się w kałuży.

Dla mnie to trochę fotograficzny cytat, bo przecież takich zdjęć z Nowego Jorku czy Tokio jest całe mnóstwo. Ale to też autocytat, bo jest czymś, co lubiłem robić jako nastolatek, i w sumie do tej pory lubię przymykać troszeczkę oczy i wyobrażać sobie, że jestem gdzie indziej, w „wielkim świecie" jak z filmów i teledysków. Wracając od dziadków autobusem, siadałem nisko w fotelu i przez zaparowaną szybę patrzyłem na białostockie neony: sklepu meblowego, sportowego itd., i dzięki tej zaparowanej nieostrości Białystok wyglądał jak wymarzone amerykańskie miasto.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

Wszystkie zdjęcia pochodzą z albumu „Tutejszy".

eprasa.pl e94e67b4f3

Choroba holenders

Wenezuela, jeden z biedniejszych krajów świata, ma największe na świecie złoża ropy naftowej i wiele innych cennych surowców. Od dawna ciąży na niej klątwa bogactw naturalnych, o czym ostatnio przypomniał amerykański atak.

ADAM GRZESZAK

„Zbudowaliśmy wenezuelski przemysł naftowy dzięki amerykańskim talentom, zaangażowaniu i umiejętnościom, a reżim socjalistyczny nam to ukradł" – tak Donald Trump podczas konferencji prasowej wyjaśniał prawo USA do militarnej interwencji. „Wenezuela jednostronnie przejęła i sprzedała amerykańską ropę, amerykańskie aktywa i amerykańskie platformy, co kosztowało nas miliardy dolarów. Zabrali cały nasz majątek" – ubolewał.



© ALEJANDRO SOLO/SHUTTERSTOCK

Rafineria w Punto Fijo w Wenezueli jest częścią Rafinerii Paraguaná, największego kompleksu rafineryjnego na półkuli zachodniej

eprasa.pl e-czytelnik

ka po wenezuelsku

Naftowe zasoby tego latynoskiego kraju amerykańska Agencja Informacji Energetycznej (EIA) szacuje na 303 mld baryłek ropy naftowej (47 mld ton), czyli ok. 17 proc. światowych zasobów. A przecież ten kraj ma też największe w Ameryce Łacińskiej złoża złota, diamenty, rudy żelaza, boksyt, nikiel oraz koltan (minerał zawierający tantal i niob) i tor, potrzebne w nowoczesnych technologiach.

To nasza ropa

Wydobycie zaczęto na początku XX w., a już pod koniec lat 20. za sprawą amerykańskich koncernów Shell, Gulf Oil i Exxon Wenezuela była drugim po USA światowym producentem ropy. W czasie drugiej wojny światowej, gdy stała się kluczowym dostawcą ropy dla aliantów, wprowadziła system koncesji wydobywczych i wymóg dzielenia się z państwem połową zysków. Wtedy też zaczęła się uzależniać od dochodów z ropy, a stan finansów państwa falował w rytm wahań cen na światowym rynku. Kiedy te długo utrzymywały się na niskim poziomie, Wenezuela w 1960 r. została współzałożycielką kartelu państw eksporterów ropy OPEC, ustalającego limity wydobycia, by kontrolować poziom cen.

Na początku lat 70. kraje Zatoki Perskiej ogłosiły embargo na eksport ropy do krajów popierających Izrael, co doprowadziło do kryzysu naftowego, a wtedy dochody Wenezueli nagle ▶



▶ czterokrotnie wzrosły. Ogłoszono, że dzięki petrodolarom kraj wkrótce dołączy do najbogatszych państw świata.

Plan gospodarczy „La Gran Venezuela" zakładał nacjonalizację przemysłu naftowego, co stało się faktem w 1976 r. Wtedy też powstała państwowa firma naftowo-gazowa Petróleos de Venezuela SA (PDVSA), zapewniająca dziś połowę dochodów budżetowych państwa. Wszystkie zagraniczne spółki naftowe, które prowadziły działalność w Wenezueli, dostały przymusowego państwowego wspólnika. Z czasem zaczęto przykręcać im śrubę, a kiedy do władzy doszedł w 1998 r. Hugo Chávez i nadeszła era socjalistycznej rewolucji boliwariańskiej, przykręcanie śruby poczuł nawet państwowy koncern PDVSA. To on miał wziąć na swe barki finansowanie coraz kosztowniejszej polityki socjalnej Cháveza, a także zapewniać tanie paliwo bratniej Kubie.

Surowce przeklęte

Już wówczas było jasne, że Wenezuela padła ofiarą klątwy surowcowej, zwanej też chorobą holenderską. To zjawisko polegające na skrajnym uzależnieniu się państwa od dochodów surowcowych, co w efekcie prowadzi do dekoniunktury w pozostałych sektorach gospodarki. Nazwa pochodzi od odkrycia wielkich złóż gazu w Holandii w latach 60. ubiegłego wieku. Pojawiły się wielkie pieniądze, których przypływ zrujnował inne gałęzie przemysłu. Także w Wenezueli łatwe pieniądze osiągane dzięki naftowej hossie i znacjonalizowanej infrastrukturze wydobywczej równie łatwo było wydawać, nie zważając, że za chwilę może ich zabraknąć. W efekcie kraj z potężnymi złożami ropy dopadła zapaść gospodarcza, a na emigrację zdecydował się co piąty obywatel (ponad 7 mln osób). Wśród uchodźców znalazła się też spora grupa doświadczonych pracowników PDVSA, których zwolniono, bo zastrajkowali przeciw drenowaniu kasy państwowego koncernu naftowego. W sumie pracę straciło 12 tys. osób. Część potem trafiła do firm naftowych w Kanadzie, gdzie przyjęto je z otwartymi ramionami, bo w miarę jak malały dostawy wenezuelskiej ropy, zastępowały je kanadyjskie. Oba kraje mają złoża ropy podobnego typu.

W PDVSA na miejsce zwolnionych przyjęto nowych pracowników, dobieranych już nie pod kątem fachowości, a wierności Chávezowi. Wyeksploatowane, nieremontowane instalacje wydobywcze i przetwórcze, brak funduszy na rozwój, pracownicy z politycznego klucza, to przepis na katastrofę. Jeśli w szczycie rozwoju sektora naftowego produkcja Wenezueli sięgała 3,5 mln baryłek dziennie (bpd), to z czasem zjechała poniżej miliona. Dziś na rynku krajowym są kłopoty z dostępnością paliw, a mimo to utrzymywana jest subsydiowana cena benzyny (0,84 bolivarów za litr, czyli niecały grosz).

Mimo to Chávez zwiększał też kontrolę nad zagranicznymi inwestorami i żądał coraz większych pieniędzy, a wtedy ExxonMobil i ConocoPhillips odmówiły, za co zostały wywłaszczone w 2007 r. Total, Chevron, Statoil i BP zacisnęły zęby, ale i one z czasem się wykruszały. Potem doszło do procesów arbitrażowych, które nafciarze wygrali, ale Caracas nie wypłaciło zasądzonych odszkodowań o wartości kilkudziesięciu miliardów dolarów.

Wszyscy wrogowie Ameryki

Do dziś w Wenezueli ostał się tylko Chevron, który jako jedyny może oficjalnie eksportować wydobywaną tam ropę mimo amerykańskich sankcji. Dostał licencję najpierw od rządu Bidena, a potem Trumpa. USA w 2019 r. wprowadziły bowiem sankcje na wenezuelską ropę eksportowaną przez PDVSA (własne sankcje wprowadziły także UE, Kanada, Meksyk, Panama i Szwajcaria), ale dopiero w ubiegłym roku zaczęły je na serio egzekwować, co skończyło się szczelną blokadą morską. Najpierw tłumaczono to potrzebą walki z kartelami narkotykowymi, potem z napływem nielegalnych imigrantów i antydemokratycznym reżimem prezydenta uzurpatora Nicolása Maduro, a w końcu okazało się, że chodzi o kontrolę nad zasobami Wenezueli.



Rafineria w Paraguanie. Petrodolary nie przełożyły się na poziom życia

Celem jest nie tylko uzyskanie dostępu do wenezuelskiej ropy, ale także odcięcie od niej krajów, z którymi Donald Trump ma na pieńku. Szczególnie dotyczy to Chin, które wspierały rząd Maduro i udzieliły PDVSA wielomiliardowej pożyczki spłacanej dostawami taniej ropy. W Wenezueli chińskie koncerny energetyczne CNPC i Sinopec zawiązały też z PDVSA spółki i prowadzą wydobycie. Pomocną dłoń wyciągnął także Iran, którego specjaliści pomagają Wenezuelczykom w radzeniu sobie z wydobyciem i przerobem szczególnie kłopotliwej ciężkiej ropy ze złóż w pasie Orinoko. Pomagała też Rosja, sprzedając Wenezueli paliwo w zamian za surową ropę, a także udostępniając swoją „flotę cienia", czyli tankowce o niejasnym statusie i kiepskim stanie technicznym. Statki te transportowały sankcjonowaną ropę, co skończyło się widowiskowym pościgiem i zajęciem przez US Army dwóch rosyjskich jednostek. A jeszcze na celowniku Trumpa jest Kuba, którą przy życiu utrzymywały dostawy ropy i paliw z Wenezueli. Najważniejszy był orimulsion, wenezuelski ciężki olej opałowy niezbędny do zasilania kubańskich elektrowni. Bez tego paliwa Kuba nie przetrwa.

Ciężki problem z ropą

Stany Zjednoczone, choć są największym na świecie producentem ropy, bardzo potrzebują wenezuelskiego surowca. Powodem jest typ ropy. USA za sprawą rewolucji łupkowej i technologii szczelinowania mają pod dostatkiem głównie gatunków lekkich, Wenezuela zaś dostarcza ropę ciężką. Ropa jest mieszaniną ciekłych węglowodorów o różnym składzie. Lekka świetnie nadaje się do produkcji benzyny, ciężka zaś jest trudniejsza w przeróbce, ale potrzebna do produkcji olejów smarowych, oleju napędowego, opałowego, paliwa okrętowego, lotniczego, mazutu, asfaltu, a także wielu petrochemikaliów. Dlatego USA, będąc wielkim eksporterem, są jednocześnie wielkim importerem (ok. 3 mln bpd), szczególnie ropy ciężkiej. Pod kątem przerobu takiego surowca zbudowano kiedyś wiele rafinerii, zwłaszcza nad Zatoką Meksykańską. Trzy z nich należą do wenezuelskiego koncernu PDVSA, który stworzył

© LEONARDO FERNANDEZ VILORIA/REUTERS/FORUM, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl e94e67b4f3



mieszkańców. To jedno z biedniejszych państw świata.

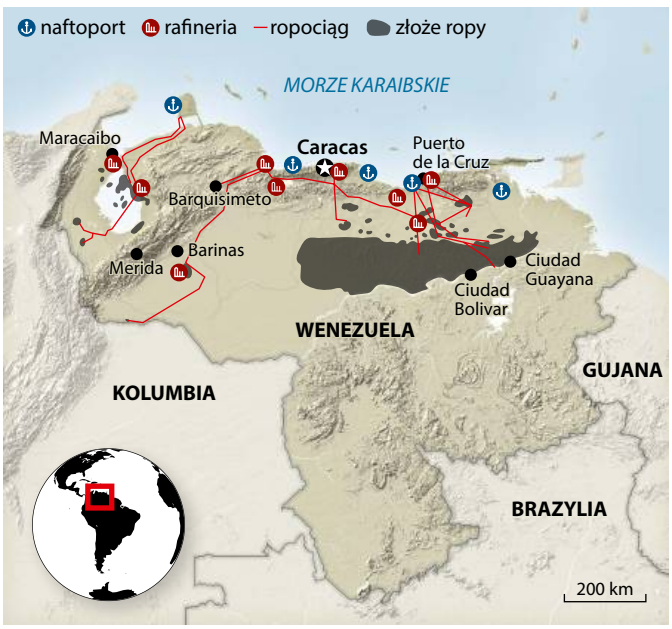

w USA spółkę CITGO. Jej status jest dziś niejasny, bo formalnie amerykański sąd zarządził w grudniu sprzedaż, ale rząd wenezuelski się odwołał, więc transakcja jeszcze nie doszła do skutku. Jeśli jednak transakcja zostanie zatwierdzona, nabywcą będzie Paul Singer, finansista i miliarder, sojusznik i sponsor Donalda Trumpa.

W miarę wysychania wenezuelskiego zaopatrzenia amerykańskie rafinerie przestawiały się na ciężką ropę importowaną z Kanady. Dlatego Kanada także znalazła się na celowniku Trumpa, który chciałby ją przyłączyć do USA jako 51. stan. Ale na razie większe szanse na przyłączenie ma Grenlandia, wielka skuta lodem wyspa, która pod powierzchnią kryje niewyobrażalne bogactwo zasobów naturalnych, w tym tak pożądanych metali ziem rzadkich.

Wenezuelską ropą rządzić zamierza teraz Donald Trump, na co ponoć władze w Caracas już się zgodziły. Prezydent wyjaśnił w mediach społecznościowych, że Wenezuela „przekaże" USA 50 mln baryłek ropy naftowej jako zwrot kosztów za akcję militarną. Pierwszą partię o wartości 500 mln dol. USA zaoferowały już na międzynarodowym rynku za pośrednictwem dwóch szwajcarskich spółek tradingowych po cenie niższej niż sprzedawana jest ropa kanadyjska.

Prezydent USA obiecuje, że dzięki niemu przemysł naftowy Wenezueli rozkwitnie, przynosząc zyski Amerykanom i Wenezuelczykom. Tylko że ten przemysł znajdujący się w opłakanym stanie trzeba wcześniej postawić na nogi, co wymaga ogromnych nakładów wstępnie szacowanych na 100 mld dol. Kto je wyłoży? Dla Trumpa to oczywiste: amerykańskie firmy naftowe. Zaprosił więc do Białego Domu szefów kilkunastu największych koncernów, licząc, że zachwyceni możliwościami, jakie im stworzył, ruszą teraz inwestować. Entuzjazmu nie było, żadnych zobowiązań, zamiast tego mnożenie warunków i wyliczanie strat, jakie już ponieśli. „Wenezuela jest nieinwestowalna" – wyjaśnił Darren Woods, prezes ExxonMobil, narażając się na nieskrywaną irytację Trumpa. Prezydent ma wizję, w której zalewa rynek tanią wenezuelską ropą, ku chwale Ameryki i radości amerykańskich konsumentów. Dlatego by odbudować wenezuelski przemysł, jest gotów sięgnąć do publicznej kasy, skoro naftowcy się do tego nie palą. „Wydobędziemy ogromne bogactwo z ziemi" – zapowiada.

Na progu rentowności

Trudno dziwić się niepokojom naftowców, bo dziś rynek zmaga się z nadpodażą surowca, więc wizja taniej ropy, jaką obiecuje Trump, może lekko ich przerażać. Pod koniec ubiegłego roku kartel OPEC+ (czyli z Rosją i Kazachstanem nienależącymi do organizacji, ale koordynującymi wydobycie) uzgodniły redukcję produkcji. Cena utrzymuje się na stosunkowo niskim poziomie (ok. 60 dol. za baryłkę) mimo dość nerwowej sytuacji geopolitycznej. Ropa stała się odporna na wydarzenia, które kiedyś doprowadzałyby rynek do szaleństwa. A dziś mamy wojnę w Ukrainie, konflikt w Gazie, w Iranie, akcję USA w Wenezueli, a ceny ropy – jakby nic się nie działo.

Wizja zalewania rynku USA tanią ropą z Wenezueli to zabójcza perspektywa szczególnie dla amerykańskiego przemysłu wydobywczego, bo „próg rentowności ropy łupkowej – cena, przy której opłaca się nowy odwiert – wynosi około 62 dol. za baryłkę w najważniejszych regionach wydobywczych w USA" – wyjaśnia prof. Paul Krugman, amerykański laureat Nobla z ekonomii, były doradca prezydenta Reagana, a dziś zacięty krytyk Donalda Trumpa. Na dodatek w pasie Orinoko, głównym zagłębiu wenezuelskim, szacowany próg rentowności wynosi ponad 80 dol., a przecież jeszcze trzeba do tego doliczyć ryzyko polityczne, więc cały ten biznes jakoś się nie spina. Zresztą nawet zasoby wenezuelskie budzą wątpliwości, bo kraj ten dość niespodziewanie ogłosił, że ma największe na świecie złoża surowca, bez żadnych nowych odkryć. Po prostu przeklasyfikowano złoża piasków bitumicznych i złóż wcześniej uznawanych za niemożliwe lub nieopłacalne do wydobycia.

Zresztą, gdyby nawet plan Trumpa udało się zrealizować, wymagałoby to czasu, przynajmniej 10 lat, więc efektów i tak by nie doczekał. Mimo to prezydent zapewnia, że jeśli koncerny boją się inwestować, może projekt wesprzeć pieniędzmi budżetu. Krugman komentuje to ironiczną uwagą, że prezydent za pieniądze amerykańskich podatników ma zamiar odbudowywać Wenezuelczykom ich przemysł naftowy. I to ma być ten geniusz biznesu?

„Krótko mówiąc, wiara Trumpa w to, że zrobi lukratywny interes na polach naftowych Wenezueli, byłaby nierealna, nawet gdyby rzeczywiście kontrolował kraj, którym w praktyce nadal rządzą ci sami bandyci, którzy kontrolowali go przed porwaniem Maduro" – puentuje noblista.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl e94e67b4f3



Polonizacja Francuzów

CEZARY KOWANDA

Z Polski ucieka Carrefour – przegrał w starciu z dyskontami. Na jego sklepy chrapkę mają politycy marzący o budowie sieci państwowych marketów. Po co one komu?

W przyszłym roku francuski Carrefour powinien świętować w Polsce 30 lat działalności. Wiele wskazuje jednak na to, że tych urodzin nie doczeka. Właściciel wystawił cały Carrefour w naszym kraju na sprzedaż i szuka chętnych. Łatwo nie będzie, bo o ile jeszcze kilkanaście lat temu ta francuska sieć była jednym z liderów rynku, o tyle dziś jest na równi pochyłej. Liczba wszystkich sklepów pod marką Carrefour dochodziła cztery lata temu do 950, a teraz wynosi ok. 750.

Niedawno Carrefour ogłosił plan zwolnień grupowych – pracę może stracić 250 osób. Podobne redukcje odbyły się

eprasa.pl e94e67b4f3



© SHUTTERSTOCK

także w ubiegłym roku. W 2024 r. sieć przyniosła ponad 50 mln zł strat, a jej przychody spadły o 3 proc. Danych za 2025 r. jeszcze nie ma, ale z pewnością nie będą lepsze.

Carrefour sprzedać w całości będzie trudno, bo to mieszanina bardzo różnych rodzajów sklepów. Taka różnorodność nie jest dziś siłą, ale słabością. Carrefour Polska ma niemal sto hipermarketów – kiedyś pereł w koronie, dzisiaj zupełnie nieprzystających do zmieniającego się polskiego rynku, na którym królują dyskonty. Carrefour prowadzi też nieco ponad 150 supermarketów oraz sieć franczyzową małych sklepów Carrefour Express. Jest ich wciąż ponad 500, ale co roku ubywa kilkadziesiąt.

Hipermarkety i supermarkety tracą przede wszystkim na rzecz Biedronki, Lidla czy Dino, natomiast Carrefour Express nie daje rady w starciu z Żabką, która ma już ponad 12 tys. punktów i w szybkim tempie otwiera kolejne. W porównaniu z nią placówki Carrefour Express wyglądają jak ubogi krewny, więc coraz trudniej znaleźć chętnych franczyzobiorców do ich prowadzenia.

Wystawiony na sprzedaż Carrefour czeka na chętnych. – *Najbardziej prawdopodobne jest wydzielenie sklepów dużych i małych, a potem ich sprzedaż osobno, chociaż nie można też wykluczyć innej opcji. Jeżeli znajdzie się jeden mocny gracz, możliwe byłoby przejęcie całego Carrefour Polska, bez podziału. Niedawno np. Grupa Specjał kupiła całą działającą u nas sieć SPAR, która też ma różne formaty sklepów* – mówi Agnieszka Skonieczna, analityczka rynku handlu detalicznego w PMR Market Experts.

Najtrudniej będzie zapewne znaleźć chętnych na przewymiarowane hipermarkety, skoro w Polsce pozostała poza Carrefourem już tylko jedna duża sieć z takimi sklepami. To również pochodzący z Francji Auchan, który ma u nas co prawda nieco lepsze wyniki od Carrefoura, ale też przegrywa z dyskontami i zastanawia się nad swoją przyszłością w Polsce. Być może niektóre hipermarkety trafią do Kauflandu, który przejął kilka wielkich sklepów po Brytyjczykach z Tesco (oni wycofali się z naszego rynku pięć lat temu). Jednak sam Kaufland ma ostatnio spore kłopoty – notuje straty i jest pogrążony w konflikcie ze związkowcami, którzy nawet próbują organizować strajki.

Wśród potencjalnych nabywców supermarketów pojawiają się, oczywiście nieoficjalnie, SPAR, Netto, a nawet ukraiński potentat Silpo, który ponoć jest zainteresowany wejściem na nasz rynek. Najmniejsze punkty Carrefour Express łatwo mogłaby wykorzystać Żabka, pod warunkiem uzyskania zgody Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Jednak w przypadku wyjścia Carrefoura z Polski większość franczyzobiorców zapewne i tak zakończyłaby z nim współpracę i poszła właśnie do Żabki.

Ale największe emocje wzbudza dzisiaj inny wątek: nacjonalizacja, czyli plan na polski Carrefour, przedstawiony najpierw przez Marka Sawickiego z PSL, a potem ministra rolnictwa Stefana Krajewskiego z tej samej partii. Miałaby go kupić Krajowa Grupa Spożywcza – w ten sposób powstałaby narodowa, czyli państwowa, sieć sklepów. Argument jest prosty: dzięki temu nasi rolnicy nie musieliby już godzić się na nieuczciwe traktowanie przez pośredników i wielkie sieci handlowe. Nowa polska sieć zapewniłaby im godne ceny skupu, a sama sprzedawałaby polską żywność na atrakcyjnych warunkach. Tyle teoria, bo w praktyce albo nowy Carrefour sprzedawałby polskie produkty drożej niż konkurencja (żeby rolnicy mogli lepiej zarobić), albo taniej (żeby przebić dyskonty), celowo ponosząc straty. ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ W obu scenariuszach sieć czekałaby szybko finansowa katastrofa.

W rządzie nie ma na razie porozumienia, bo Krajowa Grupa Spożywcza podlega nie resortowi rolnictwa, lecz Ministerstwu Aktywów Państwowych, którym kieruje Wojciech Balczun. To ministerstwo o planach nacjonalizacji Carrefoura wypowiada się bez entuzjazmu. Tym bardziej że najpierw trzeba byłoby znaleźć niemałe pieniądze w budżecie, aby dokapitalizować przynoszącą straty Krajową Grupę Spożywczą. W przeciwnym razie nie miałaby pieniędzy na polonizację Carrefoura. KGS powstała za czasów PiS (partia marzyła o przejęciu przez państwowy podmiot, np. Orlen, sieci Żabka) wokół Krajowej Spółki Cukrowej, do której należy szereg państwowych cukrowni. Jednak KGS to dziś raczej przypadkowa zbieranina różnych spółek z branży spożywczej, które łączy tylko jedno: są kontrolowane przez Skarb Państwa. Do Grupy należą np. Fabryka Cukierków Pszczółka, Przedsiębiorstwo Zbożowo-Młynarskie w Stoisławiu, Przedsiębiorstwo Przemysłu Ziemniaczanego Trzemeszno, a nawet mołdawska cukrownia Moldova Zahăr. Krajowa Grupa Spożywcza nie ma oczywiście żadnego doświadczenia w prowadzeniu sieci handlowych. Trudno sobie wyobrazić, do czego byłyby jej potrzebne ogromne hipermarkety. Małe sklepy osiedlowe Carrefour Express też raczej nie miałyby większego sensu w państwowych rękach, bo tam kupuje się głównie przekąski, piwo i hot dogi, a nie owoce czy warzywa.

Pewne korzyści mogłoby przynieść przejęcie supermarketów działających pod nazwą Carrefour Market, na bazie których powstałaby nowa państwowa sieć. Kłopot w tym, że potrzeba nie tylko dużych pieniędzy na ich zakup, ale także na dalszy rozwój. Pełne finansowe ryzyko takiego przedsięwzięcia zostałoby przerzucone na nas wszystkich – podatników. A strat nie dałoby się uniknąć.

Nawet gdyby Krajowa Grupa Spożywcza kupiła wszystkie działające dziś sklepy, które należą do Francuzów, nie stałaby się dzięki temu potentatem na rynku. Udział Carrefoura w detalicznej sprzedaży żywności w Polsce szacuje się bowiem na zaledwie 3 proc. To najlepszy dowód na to, jak niewiele dzisiaj znaczy u nas sieć, która jako jedna z pierwszych budowała w Polsce nowoczesny handel.

Ucieczka Carrefoura z naszego kraju nie jest przypadkowa, w 2020 r. podobny plan ogłosiło przecież brytyjskie Tesco. Ono również zostało rozczłonkowane, chociaż większość punktów (ok. 300) trafiła do duńskiej sieci dyskontowej Netto. Nowy właściciel musiał wydać ogromne środki na przebudowę sklepów i w wielu przypadkach zmniejszenie ich powierzchni. Co prawda Netto ma dzisiaj dzięki tej operacji ponad 650 punktów, ale wyniki finansowe Duńczyków nie są imponujące. Część firmy prowadząca sklepy po Tesco przynosi straty, a choć reszta notuje zyski, to są one skromne.

Polski rynek opanowały dzisiaj tak naprawdę cztery potężne sieci: Biedronka, Lidl i Dino oraz Żabka wśród małych sklepów. Biedronka ma niemal 3,9 tys. sklepów i ponad 106 mld zł rocznych przychodów. Lidl zbliża się dopiero do tysiąca punktów, ale twardo rywalizuje z Biedronką, a ich wojna cenowa, prowadzona głównie na użytek medialny, zapewniła obu sieciom ogromną rozpoznawalność. Nieco w tle pozostaje Dino (kontrolowane przez Tomasza Biernackiego, uchodzącego za najbogatszego Polaka), które nie angażuje się w kosztowne kampanie marketingowe i nie bierze udziału w przepychankach między Lidlem i Biedronką, ale robi swoje. Ma już ponad 3 tys. placówek, coraz śmielej wchodzi także do dużych miast, ale pozostaje potentatem przede wszystkim w mniejszych miejscowościach.

Biedronka, Lidl, Dino i Żabka nie tylko szybko rosną, ale też przynoszą imponujące zyski. Na tym tle wyniki finansowe takich sieci jak Auchan, Stokrotka, Netto, Intermarché czy Kaufland wypadają blado. Rywalizacja jest coraz bardziej nierówna, bo im większe zyski notuje wielka czwórka, tym więcej ma środków na dalszą ekspansję i uzyskanie jeszcze większej przewagi nad konkurentami.

Tego argumentu używają właśnie zwolennicy budowy państwowej sieci handlowej. Ich zdaniem to ostatni moment, aby rzucić wyzwanie liderom rynku i zapewnić godziwe warunki polskim rolnikom. Ciężko jednak sobie wyobrazić, by sieć zarządzana przez polityków odniosła sukces na tak trudnym rynku, skoro nie radzi sobie na nim nawet wiele firm kierowanych przez profesjonalnych menedżerów. – *Politycy powinni się skupić nie na kupowaniu sklepów, ale na tym, żeby producenci byli uczciwie traktowani przez handlowców. Trzeba np. poprawić ustawę o przeciwdziałaniu nieuczciwemu wykorzystywaniu przewagi kontraktowej, bo nie obejmuje ona sojuszy zakupowych wielkich sieci handlowych, które są tworzone poza Polską i Unią Europejską* – mówi Andrzej Gantner, dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności. I wskazuje na przykłady Włoch czy Szwajcarii, gdzie skutecznie działają sieci spółdzielcze wzmacniające pozycję rolników. Jednak nie należą one do państwa i nie są zarządzane przez polityków.

Dalsze losy polskiego oddziału Carrefoura niepokoją pracowników, których jest niemal 9 tys. i ciągle słyszą o kolejnych zwolnieniach. Nie mają żadnego wpływu na proces sprzedaży i pozostaje im tylko czekać na wiadomości od właściciela. – *Krajowa Grupa Spożywcza jako nowy właściciel to byłoby dobre rozwiązanie dla pracowników. Oczywiście pod warunkiem że siecią zarządzaliby fachowcy, a nie politycy. Na razie cały czas walczymy o podwyżki, bo wynagrodzenia oscylują wokół stawek minimalnych. Pod względem wysokości pensji nie możemy porównywać się do czołowych sieci dyskontowych. Poza tym właściciel optymalizuje wszystkie koszty, szukając chętnych na zakup* – opowiada Paweł Skowron, przewodniczący Solidarności w sieci Carrefour, która w ubiegłym roku protestowała nawet przed ambasadą francuską w Warszawie.

Pomysły nacjonalizacji francuskiej sieci to typowa reakcja polityków na protesty. Zamiast określić warunki gry, które sprzyjałyby konkurencji, ale też gwarantowały uczciwe relacje między dostawcami i handlowcami, serio rozważają wydawanie publicznych pieniędzy na resztki po chylącej się ku upadkowi sieci. Tymczasem polski rynek handlowy jest dzisiaj bezwzględny i nie wybacza błędów. Korzystają na tym na razie klienci, ale jeśli wielka czwórka będzie się pozbywać kolejnych rywali, stracimy na tym wszyscy. Przykładów nie trzeba szukać daleko. W sąsiednich Niemczech jeszcze niedawno konkurencja na rynku była zacięta, a teraz prawie 90 proc. handlu kontrolują cztery grupy: Edeka, Aldi, Rewe oraz grupa Schwarz (Lidl i Kaufland). Klienci narzekają na coraz wyższe ceny, zmowy gigantów, a politycy głowią się, jak zaradzić tej nadmiernej koncentracji. Idziemy niemiecką drogą.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl e94e67b4f3



Przed zakładem karnym EL Rodeo niedaleko Caracas czuwają rodziny więźniów politycznych z nadzieją na ich uwolnienie

© PEDRO MATTEY/AFP/EAST NEWS

Tutaj będzie Portoryko?

Kogo naprawdę trzeba odsunąć od władzy w Wenezueli i dlaczego Donald Trump tego nie zrobił? Rozmowa z **Borisem Muñozem**, Wenezuelczykiem, publicystą „New York Timesa" i „El País".

ARTUR DOMOSŁAWSKI: **– Dlaczego Caracas po amerykańskiej interwencji nie tańczy?**

BORIS MUÑOZ: – Bo chaviści [obóz polityczny porwanego przez USA Nicolása Maduro i jego żony Cilii Flores – red.] nadal sprawują władzę. A ich rządy opierają się na inwigilacji i represji. Maduro pozostawił „cukierek z cyjankiem" – dekret o stanie wyjątkowym z powodu zagrożenia zewnętrznego, który pozwala urzędnikom, przede wszystkim Delcy Rodríguez [tymczasowej prezydentce] i Diosdado Cabello, szefowi MSW i aparatu bezpieczeństwa, robić praktycznie wszystko. Oznacza to, że nie obowiązują konstytucyjne gwarancje praw obywatelskich. Jeśli masz pecha i zatrzyma cię policja lub któraś z formacji bezpieczeństwa – a jest ich kilka – różne rzeczy mogą się przydarzyć. Zwolnieniom więźniów politycznych towarzyszy głęboko tkwiący w ludziach lęk.

To mówią ci, z którymi ma pan kontakt?

Tak. Wychodząc z domu, ludzie albo zostawiają telefon, albo kasują zawartość swoich mediów społecznościowych. Jeśli zatrzymują cię na ulicy, sprawdzają twoje konta i gdy znajdą wypowiedź przeciw rządowi, mogą cię zatrzymać i oskarżyć o rozpowszechnianie „mowy nienawiści". To tworzy aurę strachu, która nie zniknie, dopóki nie zostanie odsunięty Cabello ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ i nie zdemontuje się formacji bezpieczeństwa i uzbrojonych kolektywów chavistowskich. Nie widać, żeby miało to nastąpić.

Wyjaśnijmy, dlaczego nie jest pan w Caracas.

Wyjechałem z Wenezueli w 2009 r. na prestiżowe stypendium dziennikarskie na Uniwersytecie Harvarda. Byłem przekonany, że chavizm przekształca się w reżim oparty na sile, a Hugo Chávez [ówczesny prezydent i założyciel obozu politycznego, zm. w 2013 r.] skręca w stronę autorytarną.

Był pan w Wenezueli od tamtej pory?

Do 2016 r. przyjeżdżałem regularnie jako reporter zagraniczny – uznałem, że to bezpieczniejsze. Po zwycięstwie opozycji w wyborach do Zgromadzenia Narodowego nastąpiła brutalna kontrofensywa chavistów. Nastała dyktatura, która w ostatnich trzech–czterech latach przekształciła się w tyranię o cechach totalitarnych. Zostałem w USA, dołączyłem do redakcji publicystyki „New York Timesa". Uprawianie dziennikarstwa w Wenezueli to niemal akt heroizmu.

W oficjalnej prasie można wyrazić choć minimalny krytycyzm?

Prasa oficjalna to część aparatu propagandy. Istnieją media niezależne, ale działają z ogromną ostrożnością. W ostatnich 15 latach zduszono różnymi metodami – prawnymi, ekonomicznymi, prześladowaniami – wiele redakcji. Właśnie zwolniono 19 z 24 uwięzionych dziennikarzy. Ci, którzy publikują np. reportaże śledcze, nie podpisują tekstów w obawie przed represjami.

Te reportaże są zamieszczane w internecie?

Najważniejszym medium śledczym jest dziś portal armando.info. To redakcja, która bada korupcję reżimu, ujawniając m.in. kradzieże w sektorze naftowym, interesy urzędników i wojskowych. Wszyscy założyciele portalu wyemigrowali, pracują z nielicznymi dziennikarzami, którzy pozostali w kraju. Portal jest zablokowany, można do niego dotrzeć, używając VPN, narzędzia omijania cenzury.

Ilu dziennikarzy przebywa na wygnaniu?

Około setki. Zjawisko to rozszerza się w całej Ameryce Łacińskiej – jest nas już ponad 300. Oprócz Wenezuelczyków dziennikarze m.in. z redakcji „El Faro" z Salwadoru czy „Confidencial" z Nikaragui.

Interwencja USA była dla was zaskoczeniem?

Nie dla mnie. Na pewno nie od sierpnia, kiedy marynarka wojenna USA rozmieściła na Karaibach 20 proc. swojej floty, największy lotniskowiec świata i ponad 10 tys. żołnierzy. Było oczywiste, że dni Maduro jako dyktatora są policzone.

Interwencja była uprawniona?

Kwestia legalności jest dyskusyjna, a istnieje też problem z wiarygodnością argumentów użytych dla jej uzasadnienia. Maduro ma stanąć przed sądem w Nowym Jorku pod zarzutem handlu narkotykami i spisku terrorystycznego. Oskarżano go też, że jest szefem Kartelu Słońc, rzekomego kartelu narkotykowego wojskowych. Ten lipny zarzut już usunięto z aktu oskarżenia. Jednocześnie od dawna było jasne, że Wenezuelczycy nie odzyskają wolności politycznej bez pomocy z zewnątrz. Problem polega na tym, że USA postawiły warunki „zapłaty" za pomoc. Wiemy już, że są zainteresowane przede wszystkim kontrolą wenezuelskich złóż ropy, a kwestie kluczowe, takie jak demokratyczna transformacja, zeszły na dalszy plan. W USA toczy się debata w Kongresie o legalności akcji w Wenezueli. Pojawiła się rezolucja mająca zablokować ponowny atak.

To dość osobliwa kombinacja Realpolitik z domieszką interwencjonizmu – bez uzasadnień w rodzaju obrony praw człowieka czy demokracji. „Może (chaviści) to sukinsyny, ale (od teraz) nasze sukinsyny".

Dokładnie. To moment hegemonii USA realizowanej bez ozdobników; nagie użycie siły i powrót do doktryny Monroego bez sprzeciwu tych, którzy tego doświadczają. Mam na myśli nie tylko Wenezuelę, gdzie rząd Delcy Rodríguez otwarcie współpracuje z Donaldem Trumpem, lecz także kraje sąsiednie. Jedynym, który konsekwentnie protestował, był Gustavo Petro, prezydent Kolumbii. Wydaje się jednak, że i on porozumiał się z Trumpem, by uniknąć kłopotów [wcześniej Trump groził, że Petro podzieli los Maduro].

Połączenie polityki „wielkiego kija" z dążeniem do geopolitycznej kontroli, uzasadnianym rywalizacją z Chinami, okazało się – przynajmniej krótkoterminowo – skuteczne. Kraje Ameryki Łacińskiej potulnie pogodziły się z sytuacją. To pokazuje słabość regionu, polityczną niezdolność do wywierania realnego wpływu. W 2024 r. Ameryka Łacińska nie była w stanie doprowadzić do zmiany reżimu w Wenezueli, kiedy Maduro sfałszował wybory, które – przypomnę – Edmundo González Urrutia wygrał z wynikiem 67 proc. głosów. To był punkt zwrotny. Bo kraje, które mogły wpłynąć na sytuację – Meksyk, Kolumbia, Brazylia i USA – pozostały z założonymi rękami.

Brazylia i Kolumbia – Meksyk mniej – proponowały mediację między opozycją a Maduro, ale ten nie chciał słuchać rad.

Brazylia, Meksyk i Kolumbia były najbardziej przychylne chavizmowi. Nie tylko ideologicznie, lecz także ze względu na osobiste i historyczne relacje między ich przywódcami a Chávezem i Maduro. Joe Biden też nie stanął na wysokości zadania i pozostawił pole dla tego, co dzieje się dziś – wejścia USA do Ameryki Łacińskiej w skali niewidzianej od inwazji na Panamę w 1989 r., kiedy usunięto prezydenta Manuela Noriegę. Dziś jesteśmy świadkami kolejnego rozdziału długiej historii interwencjonizmu, neokolonializmu i imperializmu, która ma już prawie 200 lat.

Naszkicujmy mapę obozu władzy. Jakie tam są nurty, postacie, interesy?

Jeszcze kilkanaście dni temu mówiono o „pięciu palcach jednej ręki". Pierwszy – rodzeństwo Rodríguez: Delcy i Jorge; cywile, ideologicznie bliscy Maduro, wywodzący się z Ligi Socjalistycznej, którą zakładał ojciec Rodríguezów [zamęczony w więzieniu w 1976 r. przez ówczesny reżim]. W Lidze działał młody Maduro. Nigdy nie był ich mentorem, ale dzieli z nimi korzenie polityczne. Rodríguezowie są na szczycie obozu władzy: Delcy jest tymczasową prezydentką, a Jorge – przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego.

Drugą grupą jest aparat wojskowy, na którego czele stoi minister obrony Vladimir Padrino. Mówi się, że ma koneksje z Rosją, choć człowiek ten to „czarna skrzynka", trudno powiedzieć coś o nim na pewno. Sprawuje kontrolę nad wojskiem od 14 lat; wyeliminował oficerów uważanych za nielojalnych i przeprowadził głęboką indoktrynację sił zbrojnych.

Boris Muñoz (ur. 1969 r.), wenezuelski reporter i publicysta, autor książek o życiu w państwie chavistowskim, od 2009 r. pracuje w USA. Na Uniwersytecie Rutgersa obronił doktorat z literatury latynoskiej.



eprasa.pl e94e67b4f3



Tymczasowa prezydentka Delcy Rodríguez przemawia w parlamencie przed portretem Nicolása Maduro i jego żony Cilii Flores uprowadzonych do USA

Trzecią grupą kieruje Diosdado Cabello. Ma silne powiązania z kręgami biznesu, tzw. *enchufados* (podłączonymi), którzy poprzez podstawione osoby zarządzają częścią pieniędzy reżimu. Cabello kontroluje aparat bezpieczeństwa i paramilitarne bandy stworzone jeszcze przez Cháveza ponad 20 lat temu. Grupy te dysponują bronią i pewną autonomią wobec władzy wykonawczej, a faktycznie podlegają Cabello. To „silny człowiek" chavizmu, numer dwa w hierarchii.

Figurami czwartą i piątą byli Maduro i jego żona Cilia Flores. Po ich zatrzymaniu na scenie pozostały trzy ośrodki władzy. Do zmiany nie dojdzie, jeśli nie zostanie odsunięty Cabello, a następnie Padrino. Ale kluczowe jest usunięcie Cabello.

Podstawowy podział polityczny to chavizm kontra antychavizm. Jednak antychavizm jest zróżnicowany. Henrique Capriles był przeciw interwencji USA; María Corina Machado, pokojowa noblistka, była jej zwolenniczką. Różnią się też ideowo: Machado mówi, że jest thatcherystką, Capriles to raczej socjaldemokrata.

W skrócie można to tak ująć. María Corina wywodzi się z konserwatywno-neoliberalnej tradycji. Popiera kapitalizm, wolny rynek, ale i prawa obywatelskie. Wewnątrz opozycji uchodzi za radykałkę – i jest niekwestionowaną liderką. Inne środowiska są osłabione. Capriles nie wszedł nawet do parlamentu, funkcjonuje jako moralny głos części opozycji, która nie ma większego poparcia. Uosabia tych, którzy zdecydowaliby się na kohabitację z reżimem, wychodząc z założenia, że zmiana władzy będzie procesem. Choć Capriles znajduje się dziś na granicy politycznej nieistotności, to w polityce nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Widać wyraźnie, że głównymi aktorami opozycji nie są partie, lecz wyraziste jednostki.

W Polsce doszło do transformacji dzięki negocjacjom przy Okrągłym Stole. Spotkali się przy nim nasz „Diosdado Cabello" (czyli gen. Czesław Kiszczak) i jego wieloletni więźniowie, i noblista Wałęsa. Wynegocjowali zmianę systemu bez rozlewu krwi. Czy Wenezuela ma szansę na transformację bez rozliczeń i odwetu?

Teoretycznie tak, choć dziś wydaje się to niemal nie do pomyślenia. Swój ostatni tekst dla „El País" „Kuratela czy transformacja" zamykam obrazem potencjalnej rozmowy między Delcy Rodríguez a Marią Corina Machado. Być może to scenariusz konieczny, jeśli chcemy uniknąć dalszej przemocy. Trzeba uczciwie przyznać, że Trump stworzył sytuację, jakiej wcześniej nie było. Zadaniem wenezuelskich przywódców jest teraz tak manewrować, by los kraju nie był rozstrzygany wyłącznie przez niego.

Być może – podobnie jak w Polsce – potrzebujemy porozumienia, które postawi dobro kraju ponad interesami politycznymi, ideologicznymi podziałami, za punkt wyjścia przyjmując, że zmiana władzy i przejście do demokracji są nieuniknione. Dla mnie, Wenezuelczyka, jest to jednak problem, bo skala przestępstw popełnionych przez chavistów jest ogromna. Nie chodzi tylko o represje, także o niemal bilion dolarów zagrabionych z państwowych zasobów. Gdzie są te pieniądze? Jak mielibyśmy je odzyskać? Czy ktoś byłby gotów je zwrócić?

Gdyby się udało – może przy mediacji USA – wypracować pakt także w tych sprawach, może ludzie by to przełknęli; amnestia byłaby ceną pokoju. W społeczeństwie narosło ogromne poczucie krzywdy, silne jest oczekiwanie elementarnej sprawiedliwości. Z drugiej strony Wenezuelczycy potrafią się adaptować i być może zwyciężyłaby logika „grubej kreski" – zamknąć przeszłość i zacząć od nowa.

Możliwy jest bunt chavistów?

Możliwy, ale z niewielkim poparciem. Co nie znaczy, że nie dokonałby zniszczeń i nie zginęliby ludzie.

Pisze pan, że inicjatywę powinna przejąć opozycja.

Opozycja pozostała poza grą, co było wielkim zaskoczeniem. Machado i González zostali marginalizowani, a nawet więcej niż zmarginalizowani. Donald Trump powiedział, że María Corina nie ma poparcia i szacunku, a to przecież jest nieprawda. Pierwszym krokiem powinno być więc odzyskanie przez opozycję znaczenia, pokazanie, że ma społeczną legitymację. Krok drugi – to przekonać Trumpa, by uznał, że transformacja demokratyczna jest nieodzowna. A po trzecie – odzyskanie suwerenności przez Wenezuelę. Ta ostatnia kwestia jest szczególnie trudna, ▶

© MP, ARIANA CUBILLOS/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl e94e67b4f3

Zemsta za zemstę

▶ ponieważ Trump przeprowadził operację zbrojną nie po to, by przywrócić demokrację – chciał przejąć kontrolę nad głównym bogactwem kraju. Trzeba go przekonać, że Wenezuela może być wiarygodnym partnerem zdolnym do podejmowania decyzji; inaczej staniemy się terytorium zależnym w rodzaju Portoryko. Mówię to żartobliwie, ale ten ciężki żart jest wyrazem niepokoju o niezależność, która teraz jest zawieszona, a w przyszłości może być zagrożona.

Jak interwencja w Wenezueli zmienia panoramę polityczną w regionie? Dojdzie do podobnych akcji na Kubie, w Meksyku?

To różne przypadki. Nie sądzę, żeby Trump interweniował w Meksyku, nawet jeśli podejmie zbrojne ataki na kartele narkotykowe, laboratoria produkujące fentanyl – to nie to samo, co zmiana rządu. Na Kubie natomiast Amerykanie mogą rozważać obalenie reżimu. Z pewnością to marzenie Marco Rubio [syna emigrantów z Kuby]. Obalenie reżimu z Hawany byłoby jego trampoliną do prezydentury USA. Jeśli Trump ustabilizuje Wenezuelę i doprowadzi do zmiany reżimu jeszcze w tym roku, sądzę, że Kuba będzie następna. Trzeba jednak pamiętać, że rządy Castro i castrystów trwają 67 lat. Przetrwały wszystko.

Czy region podporządkuje się woli Trumpa?

Na razie tak, okoliczności mu sprzyjają. W Ameryce Łacińskiej obserwujemy zwrot w prawo. Z wyjątkiem Kolumbii, Wenezueli, Brazylii i Meksyku wszystkie kraje idą na prawo. Ostatnio Chile, wcześniej Argentyna i Ekwador. Salwador, Honduras, Kostaryka, Panama też.

Można spojrzeć inaczej: dwiema największymi gospodarkami – Brazylią i Meksykiem – zarządzają liderzy lewicy. Kolumbia to kolejny duży kraj, gdzie rządzi ta formacja.

Owszem, ale mówię o tendencji. Wiatr wieje dziś w żagle prawicy.

Nie martwi pana ten zwrot?

Bardzo. Lewica pokpiła sprawę. Pozwoliła, by rząd taki jak Maduro trwał dłużej, niż to było konieczne. Trzeba było zatrzymać to wiele lat temu. Brazylia powinna była dać przykład Meksykowi, ale tego nie zrobiła. Rządy Luli były udane, pomogły ludziom osiągnąć pewien dobrobyt, wyciągnęły wiele osób z ubóstwa, utrzymały autentyczną demokrację. A tymczasem w Chile Gabriel Boric stworzył przyzwoity rząd, ale jego efekty są mizerne. Dlatego José Antonio Kast, zwolennik Pinocheta, wygrał wybory [w grudniu 2025 r.]. Po raz pierwszy od 36 lat wygrał ktoś, kto otwarcie przyznaje się do podziwu dla Pinocheta. Coś tu nie gra.

Ameryka Łacińska płaci dziś za obojętność, lenistwo lub brak działania wobec krajów takich jak Wenezuela i Kuba. A prawicy w to graj. Systematycznie zniekształca prawdę, przepisuje historię na nowo, sprzedaje fałszywy obraz, np. mówiąc o „komunizmie Maduro", chociaż w Wenezueli nigdy nie było komunizmu ani socjalizmu. Jednak komuś takiemu jak Javier Milei [prezydent Argentyny] łatwo sprzedać ideę, że lewica to najgorsza rzecz, jaka istnieje we wszechświecie.

Że lewica to Maduro, Maduro to lewica?

Tak, wojny kulturowe mają moc, a prawica jest w ich prowadzeniu zręczna. Na czele z USA, gdzie realizuje się właśnie prawicowy projekt plutokratyczny, mający silne podteksty rasistowskie i stanowiący zagrożenie dla kraju imigrantów, tak zróżnicowanego etnicznie i rasowo. Przywódcy tacy jak Trump dążą do absolutnej koncentracji władzy, co ma niewiele wspólnego z demokracją. I to ma, niestety, w Ameryce Łacińskiej wielu naśladowców.

ROZMAWIAŁ ARTUR DOMOSŁAWSKI



eprasa.pl e94e67b4f3

Irański reżim znów zaszokował przemocą na ulicach. I liczy na to, że opozycja odpowie tym samym. Tylko niekończąca się zemsta jest w stanie utrzymać ajatollahów u władzy.



W wielu miastach Iranu mieszkańcy szturmowali kostnice, by odzyskać ciała bliskich. Na zdjęciu: **jedna z kostnic w Teheranie.**

© AKASBASHI/SIPA/SIPA/EAST NEWS

ŁUKASZ WÓJCIK

Vahid słyszy zgrzyt protezy i rozpoznaje swojego kata. Kilka lat wcześniej przyłączył się do strajku, po tym jak długo nie otrzymywał wypłaty. Został złapany przez policję i zamknięty w owianym złą sławą teherańskim więzieniu Evin. Tam spotkał Eghbala, rosłego oficera śledczego z nożną protezą, który przez wiele dni zadawał mu wyszukany ból. Teraz Eghbal leży związany w dostawczaku Vahida, który planuje zemstę – swojego oprawcę, który zniszczył mu zdrowie i złamał życie, chce wywieźć na pustynię i tam zakopać żywcem.

Tak zaczyna się nagrodzony w zeszłym roku Złotą Palmą film „To był zwykły przypadek" Jafara Panahiego, irańskiego reżysera, który sam dwukrotnie siedział w Evin. Ta tylko z pozoru tragikomedia, która wkrótce trafi do polskich kin, to opowieść o spirali przemocy – o „irańskiej krwi, która nigdy nie zasycha", jak mówi jeden z bohaterów filmu. O łatwości zemsty, szczególnie w sytuacji, gdy twój prześladowca – nie tyle oficer Eghbal, ile po prostu irański reżim – niszczy ci życie. Tu nie ma przypadku. Panahi opowiada o dramacie Iranu, który w ostatnich dniach znów dał o sobie znać.

Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, antyrządowe protesty przygasały. Tak przynajmniej wynikało ze szczątkowych przekazów płynących z kraju odciętego przez władze od świata – bez internetu, z utrudnioną komunikacją telefoniczną, za to z nielicznymi i nielegalnymi Starlinkami. Nie sposób sporządzić dokładnego bilansu ostatnich trzech tygodni, ale niezależne źródła podają, że w wyniku starć z siłami rządowymi – tymi umundurowanymi i opłacanymi bojówkami – zginęło co najmniej 2,5 tys. demonstrantów, według niektórych ponad 10 tys.

Zaczęło się w ostatnich dnia grudnia, gdy swoje kramy pozamykali drobni kupcy na teherańskim Wielkim Bazarze. Nie byli już w stanie prowadzić interesów z powodu astronomicznej inflacji. Do protestu dołączały się kolejne biznesy. W końcu na ulicę wyszli młodzi, wykształceni i nadali sytuacji ulicznej wymiar polityczny. Szybko stało się jasne, że nie chodzi tu tylko o kryzys ekonomiczny, który pogłębił się po przywróceniu amerykańskich sankcji w 2018 r. – *W Iranie każdy bunt jest polityczny, bo wszystko zależy od władzy* – twierdzi historyk irańskiego pochodzenia Ali Ansari.

W szczytowym momencie, 12–13 stycznia, demonstrowały praktycznie wszystkie większe miasta Iranu. I wszystkie znaczące branże, w tym naftowa, od której finansowo zależy los reżimu. Zdaniem Ansariego irańskie władze mają jednak duże doświadczenie w rozbijaniu podobnych protestów, które w Iranie wybuchają w zasadzie co trzy, cztery lata; działają zgodnie z zasadą, że tylko szok nieograniczonej przemocy może powstrzymać niezadowolonych.

Wygląda na to, że tę rzeźnię powstrzymał prezydent Donald Trump. Opromieniony sukcesem w Wenezueli pogroził ajatollahom, że jeśli nie przestaną zabijać, będzie interweniował. I w połowie ubiegłego tygodnia wiele wskazywało na to, że rzeczywiście Amerykanie uderzą. Wycofali większość swojego personelu z państw zagrożonych odwetem Iranu, linie lotnicze w regionie odwoływały loty. W co uderzą i w jakim celu, to zapewne było do ustalenia później. ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶Najwyraźniej zadziałało, bo już 15 stycznia prezydent USA stwierdził, że irańskie władze „przestały zabijać", i napięcie w regionie wyraźnie zaczęło spadać (co, oczywiście, w przypadku Trumpa jeszcze niczego nie przesądza). Tylko w samym Iranie sprężyna przemocy naprężyła się jeszcze bardziej.

2 Władza rządzących od 1979 r. ajatollahów to już widmo, cień samej siebie. Z tej ostatniej, stojącej na nogach „nowożytnej" rewolucji (może poza kubańską) pozostało państwo oparte na przemocy i klientelizmie. Rewolucja islamska, która miała przynieść zbawienie, odniosła przeciwny efekt – Irańczycy to jedno z najbardziej zeświecczonych społeczeństw na świecie.

Podobnie jak Związek Radziecki w latach 80., Republika Islamska w dużej mierze utraciła swoje przekonania. Tylko niewielki odsetek członków elity pozostaje wiernymi wyznawcami; większość kieruje się bogactwem i przywilejami. Pewien teherański profesor politologii, z którym rozmawialiśmy, ujął to tak: – *Na początku rewolucji reżim składał się w 80 proc. z ideologów i w 20 proc. z koniunkturalistów. Dziś jest odwrotnie.* Ajatollahowie już nawet nie próbują egzekwować symbolu swojej władzy – czyli chust na głowach Iranek. Ich reżim wciąż woła o „śmierć dla Izraela", a nie potrafi zapewnić dostaw wody i prądu dla własnych obywateli.

Jak napisał zaprzyjaźniony irański dziennikarz, „to, co przetrwało, to widmowy reżim, który niczym zjawa w nawiedzonym domu skazany jest na trwanie w obliczu własnego upadku". Problem w tym, że duchy nie potrzebują takich rzeczy jak woda w kranie czy prąd w gniazdku, a ludzie już tak. Zwłaszcza ci, którzy rozglądają się po krajach takich jak Turcja, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabia Saudyjska i widzą dobrobyt, rosnący poziom życia i po prostu normalność.

A co dostają? „W Iranie śmierć stała się odwetem nawet po śmierci", pisze irańska noblistka Narges Mohammadi, w grudniu kolejny raz uwięziona przez reżim. W drugim tygodniu protestów media obiegły nagrania z teherańskich kostnic, do których włamywały się zrozpaczone rodziny w poszukiwaniu swoich dzieci. A władze, zgodnie z zasadami pacyfikacji poprzez zastraszanie, zamiast ukrywać swoje zbrodnie, rozpowszechniały je. Nagrania z kostnic przez kilka dni emitowały największe telewizje.

Władze już po pierwszych starciach z demonstrantami zarządziły całkowitą blokadę wydawania ciał. Oficjalny powód był prokuratorski – trzeba było sprawdzić niby niejasną przyczynę zgonu. Nieoficjalny: większość ciał miała wyraźne rany postrzałowe. Ale była też zemsta. Nasza irańska rozmówczyni opowiada o tym, że powtarzał się pewien schemat: okaleczanie ciał już zabitych, zwłaszcza twarzy. A nawet dziwna praktyka powtarzająca się w kostnicach – ewidentna rana po postrzale w głowę i rozpruty brzuch, co może sugerować nie tylko bestialstwo, lecz również próby pobrania organów do przeszczepów.

I na koniec okup. Natychmiast po rozpoczęciu protestów pojawiły się nieoficjalne cenniki wydawania ciał z kostnic, różne w zależności od miasta. Na dodatek stawki rosły z dnia na dzień. Pod koniec ubiegłego tygodnia za ciało zabitego w Teheranie przez rządowe bojówki demonstranta reżim pobierał opłatę 8 mld riali (inflacja), czyli ponad 30 tys. zł. Przy czym, jak twierdzi nasza rozmówczyni, nie chodzi tylko o upokorzenie rodziny zabitego, ale też o budżet.



Protesty początkowo były wywołane fatalną sytuacją gospodarczą Iranu. Szybko jednak przekształciły się w sprzeciw polityczny.

3 Tu musimy wrócić do początku protestów, bo wiele on mówi o naturze irańskiego problemu. Pod koniec grudnia zbiegło się kilka ekonomicznych katastrof. W Teheranie upadł mało znany Ajandeh Bank. Zadłużony na ponad 5 mld dol. został natychmiast przejęty przez państwo. Ale to nie zatrzymało paniki finansowej, bo w niemal identycznej sytuacji jest wiele innych prywatnych banków w Iranie.

Jak to działa? Kapitału w kraju brakuje od dawna, jego resztki uciekły za granicę w ostatnich dniach (swoją drogą, również władze prawdopodobnie wywoziły swój majątek samolotami do Moskwy). Państwo, aby utrzymać jaką taką aktywność gospodarczą, nieformalnie wzięło więc na siebie finansowanie komercyjnych banków, pożyczając im na potęgę świeżo dodrukowywane riale. Te banki mają jednak również drugą funkcję – redystrybuują bogactwo od państwa do uprzywilejowanych obywateli – tych zatrudnionych w olbrzymim aparacie państwowym, w ministerstwach siłowych, armii, słowem: wszystkich tych, od których zależy los reżimu.

Bardzo tanie pożyczki bez poręczenia – w zasadzie niezwracane – dla tych wybrańców były jedną z ostatnich metod wynagradzania ich za lojalność przez zbankrutowane państwo. A pieniądze zawsze można wydrukować. Drugą metodą był dostęp do regulowanych przez państwo kursów wymiany walut, szczególnie dolarów, nawet dziesięciokrotnie korzystniejszych niż te na wolnym rynku. Państwo wybierało sobie np. w ten sposób uprzywilejowanych importerów, którym z ogromną stratą „sprzedawało" dolary na zakup towarów za granicą.

Pod koniec grudnia nastąpiła kumulacja. By ratować Ajandeh i kilka innych banków, państwo drukowało już pieniądze pełną parą, co nakręciło inflację. Ostateczne bankructwo Ajandeh wywołało panikę finansową i dalszą ucieczkę kapitału z kraju, oznaczało to potężną wymianę riali na dolary, co jeszcze bardziej przyspieszyło inflację. Państwo musiało się ratować cięciem licznych subsydiów na żywność i paliwo, a w końcu też skasowaniem korzystnych kursów wymiany dla swoich ulubionych

© GETTY IMAGES

eprasa.pl e94e67b4f3

importerów. Skutkiem było gwałtowne wstrzymanie importu wielu podstawowych produktów – inflacja eksplodowała.

W takich warunkach doszło do społecznego kombo. Handlarze, przez dekady finansowy kręgosłup państwa, przerażeni inflacją, która w praktyce uniemożliwiała im handel, zaczęli zamykać swoje sklepy. Efekt? Jeszcze wyższa inflacja. Ale te zamknięte drzwi sklepów, potem kawiarni, restauracji, w końcu większych firm, fabryk, rafinerii, szybko stały się wyrazem sprzeciwu wobec polityki państwa, które potrafi się troszczyć tylko o „swoich", czyli – jak szacuje Ray Takeyh, iranista z amerykańskiej Council on Foreign Relations – o kilka milionów lojalistów plus ich rodziny.

Reżim (i jego ludzie) się wyżywi. A reszta? 80-procentowa inflacja pod koniec roku, w 2025 r. ceny żywności podskoczyły o 72 proc. Warunki finansowe gospodarstw domowych niegdyś uważanych za zamożną klasę średnią gwałtownie się pogorszyły. Wielu nie stać już nawet na całego kurczaka i zamiast tego kupują najtańsze, często prawie niejadalne części. Jeden z naszych rozmówców kilka dni temu widział mężczyznę w supermarkecie, który oderwał skrzydła kurczaka, po czym wybiegł ze sklepu. Cały kurczak stał się jednym z graficznych symboli ostatnich demonstracji.

4 Innym symbolem tych protestów stało się hasło „Niech żyje szach!". To pewien skrót myślowy, bo oczywiście ostatni szach Iranu nie żyje od 45 lat. Ale te trzy skandowane słowa były wyrazem pewnej nostalgii za obaloną w 1979 r. przez Ruhollaha Chomejniego monarchią, wobec załamania się projektu politycznego, który miał uleczyć Iran z despocji Pahlawich. Zdaniem wspomnianego Takeyha chodziło bardziej o odrzucenie rzeczywistości niż powrót do przeszłości. Ale chwyciło.

W tych okolicznościach na symbolicznego lidera buntu wyrósł Reza Pahlawi, 65-letni syn ostatniego szacha Iranu. Rewolucja zastała go w USA, gdzie szkolił się na pilota wojskowego. Potem zmieniał kraje wraz z wygnaną z ojczyzny rodziną, aby wrócić do Stanów Zjednoczonych, gdzie pod Waszyngtonem mieszka do dziś.

Przez wiele lat Irańczycy naigrawali się z niego i oburzali na przemian, gdy Reza zgłaszał chęć powrotu na pawi tron. Rewolucja 1979 r. nie wybuchła przypadkiem, ale była odpowiedzią na tępy absolutyzm szacha ubrany w mit (przymusowej) modernizacji. A wszystko to było okraszone bezczelną ostentacją bogactwa rodziny Pahlawich w sytuacji, gdy miliony Irańczyków żyły na granicy egzystencji. Na dodatek po rewolucji Pahlawim udało się wywieźć z kraju (ukraść) część tego bogactwa, dzięki któremu Reza nigdy nie musiał pracować.

I ktoś taki miałby stanowić alternatywę dla ajatollahów? Oczywiście ich reżim okazał się jeszcze bardziej krwawy i tępy. Doszło jednak do sprzężenia kilku czynników. Opozycja, ta o zabarwieniu bardziej demokratycznym, nie zbudowała dotąd rozpoznawalnej struktury, brakuje jej liderów. Wynika to również z obawy, że przywódców władze mogłyby szybko wyłapać. Ale minusem takiego rozwiązania jest próżnia, w którą chętnie wszedł Reza Pahlawi. Tym bardziej że stoi za nim potężny aparat piarowski sponsorowany przez bogatą irańską diasporę.

Świetnie ubrany, mówiący językami, z kontaktami w Waszyngtonie. I obiecuje Irańczykom świecką demokrację, którą Iran stanie się zaraz po obaleniu władzy ajatollahów i po przeprowadzeniu stosownego referendum. A w międzyczasie on sam, Reza Pahlawi, oferuje się w swojej skromnej osobie jako patron „transformacji". Ojciec opatrznościowy, który poprowadzi Iran ku lepszej przyszłości.

W tych okolicznościach doszło do niewypowiedzianego sojuszu ajatollahów z obaloną przez nich monarchią. Przez ostatnie dni Irańczycy zostali poddani eksperymentowi socjologicznemu przypominającemu zabawy z oknem Overtona. W praktyce chodziło o takie zmanipulowanie rzeczywistości, by odbiorca skupił się na sztucznie ograniczonych alternatywach – żeby miał poczucie, że nie ma innego wyjścia.

Ajatollahom pasuje takie ustawienie politycznego ringu, na którym są tylko oni i Reza Pahlawi. Rewolucja albo kontrrewolucja. I nie ma żadnej demokratycznej trzeciej drogi. Irańskie władze zdają się mówić: albo jesteście z nami, albo wszystko stracicie, gdy wróci monarchia. Z kolei do tych, którzy mają niewiele do stracenia, dociera ostrzeżenie, że gdy wróci Pahlawi, nie będzie żadnej demokracji, tylko despocja. Nie ma innej opcji. Jest tylko polaryzacja i groźba jeszcze większej przemocy.

5 Kiedy to się skończy? Pomijając amerykańską interwencję, której przecież wciąż nie można wykluczyć, jest pewien rewolucyjny schemat. Autorytarne reżimy rządzące za pomocą siły upadają, gdy ludzie z bronią zdecydują, że już najwyższy czas. Społeczeństwo może protestować, nadawać zmianom demokratyczną legitymację, ale decydującą rolę odegrają siły bezpieczeństwa, wojsko. A reżim upadnie wtedy, gdy ludzie z bronią uznają, że jego trwanie jest dla nich bardziej niebezpieczne niż zmiana władzy. Tyle teoria, reszta – czyli ideologia, ekonomia – wszystko to są niuanse.

Tak jak w przypadku Wenezueli zewnętrzne naciski nie są tu bez znaczenia. W Caracas najwyraźniej część aparatu siłowego uznała, że oferta Amerykanów (zachowanie reżimu, tyle że bez głowy) przeważyła szalę. W Iranie sytuacja jest bardziej skomplikowana, bo przemocą mogą się legalnie posługiwać dwie instytucje, które nie mają tożsamych interesów. Jedną z nich jest Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej, ideologiczne jądro reżimu, głęboko splecione z gospodarką i odpowiedzialne za obronę rewolucji jako projektu. Drugą jest armia narodowa, starsza niż Republika Islamska i zakorzeniona nie tyle w ideologii, ile w tradycyjnym etosie obrony państwa.

Przez dziesięciolecia obowiązywał układ, w którym armia, czyli Artesz, unika polityki, a Strażnicy mają wyłączność na tzw. problemy wewnętrzne. Dopóki ta umowa obowiązuje, kolejne bunty Irańczyków nie mają szans. Ale gdyby armia ogłosiła „neutralność", tak jak to zrobiła w 1979 r., albo gdyby stanęła po stronie demonstrantów, reżim znalazłby się na krawędzi. Alternatywą więc nie jest liberalna demokracja, ale jakiś inny autorytaryzm. Jak mówią Irańczycy, „inne siodło, ten sam osioł".

Pytanie tylko, czy można to załatwić bez rozlewu krwi, bez „okna" na zemstę? Czy irańska sprężyna przemocy nie jest już za mocno nakręcona?

Vahid z filmu Panahiego już na pustyni zaczyna mieć wątpliwości, czy człowiek, którego ma właśnie zakopać, to rzeczywiście jego oprawca. A jeśli zabije niewinnego? Odnajduje więc jednego ze współwięźniów, również torturowanego przez Eghbala. Ten również nie jest pewien, ale błaga Vahida, aby mimo wszystko wypuścił człowieka. Mówi: „Przecież jeśli go zabijesz, to się nigdy nie skończy". Zemsta za zemstę, za zemstę...

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl e94e67b4f3



Od lewej: **Jens-Frederik Nielsen, szefowa rządu Danii Mette Frederiksen i były premier Grenlandii Múte Bourup Egede na okręcie u brzegów Nuuk**

Trybun lodowy

34-letni premier Grenlandii Jens-Frederik Nielsen znalazł się w samym centrum geopolitycznego huraganu. Twardo powtarza, że ani on, ani wyspa nie są na sprzedaż, taką ma naturę.

KATARZYNA TUBYLEWICZ

Na głośnej konferencji 13 stycznia wystąpił razem z premier Danii Mette Frederiksen, z którą wyraźnie się lubią. Ubrany w niebieski anorak, unowocześnioną wersję tradycyjnego grenlandzkiego stroju męskiego, prezentował się swojsko. Spokojnie tłumaczył, że Stany Zjednoczone nie mają żadnych praw do Grenlandii. Frederiksen potakiwała mu głową.

Premier Nielsen mówił zdecydowanie: „Grenlandia nie będzie własnością USA, nie będzie zarządzana przez USA i nie stanie się częścią USA. Wybieramy Danię, wybieramy NATO, wybieramy Unię Europejską". Jest dobrym mówcą i nazywa rzeczy po imieniu. Donalda Trumpa, który od 2019 r. uparcie powraca do idei zakupu, a nawet przejęcia siłą Grenlandii, oskarżył niedawno o elementarny brak szacunku dla ludzi. Riposta Trumpa miała go unieważnić: „Nie wiem, kim on jest. Nic o nim nie wiem". Prawda jest jednak taka, że hałas wokół Grenlandii w szybkim tempie czyni z premiera z Nuuk polityka, którym interesuje się cały świat.

U siebie na wyspie jest bardzo popularny. Stoi na czele rządu od kwietnia 2025 r. Jest przewodniczącym probiznesowej partii Demokraci. Do wyborów szedł z postulatem reformy rybołówstwa (to najważniejsza gałąź gospodarki, 94 proc. eksportu Grenlandii) i stopniowego budowania samodzielności ekonomicznej, która z czasem może pozwolić na oderwanie się od Danii.

Dziś licząca 55 tys. mieszkańców i siedem razy większa od Polski Grenlandia otrzymuje od Danii coroczną dotację wynoszącą ponad 4 mld duńskich koron (ok. 2,5 mld zł), co stanowi dużą część budżetu kraju, który nie jest jeszcze w stanie funkcjonować samodzielnie. Dlatego choć wśród grenlandzkich partii panuje zgoda, że należy dążyć do samostanowienia, to spór dotyczy tego, na jakich warunkach i kiedy. Premier Nielsen tonuje te nastroje. Tłumaczy, że bez rozbudowy infrastruktury i wzmocnienia gospodarki nie ma się co spieszyć z opuszczaniem niegdyś kolonialnych, ale dziś opiekuńczych i przepraszających za niedobrą przeszłość duńskich objęć.

Nie są to zresztą objęcia zbyt duszące. Od 2009 r. będąca częścią Królestwa Danii Grenlandia cieszy się rozszerzoną autonomią i ma prawo do ogłoszenia niepodległości po stosownym referendum. W najnowszym wywiadzie dla grenlandzkiego dziennika „Sermitsiaq" Nielsen wypowiedział się jednak w tej sprawie jednoznacznie: „To nie jest czas na rozmowy o niepodległości, kiedy inne państwo mówi o przejęciu nas. Nie oznacza to, że nie mamy takich planów". Jednocześnie podkreślił, że wiele problemów duńsko-grenlandzkich nadal czeka na rozwiązanie.

W zeszłym tygodniu Nielsen dziękował przywódcom Francji, Niemiec, Włoch, Polski, Hiszpanii, Danii i Wielkiej Brytanii, którzy wydali oświadczenie w sprawie integralności terytorium Grenlandii. Tekst opublikował w języku kalaallisut i po duńsku. Oba są używane w stolicy kraju Nuuk, a dla premiera przechodzenie z jednego na drugi jest tym prostsze, że jest synem Grenlandki i Duńczyka.

© TOM LITTLE/REUTERS/FORUM

eprasa.pl e94e67b4f3

Był nawet z tego powodu mobbowany w podstawówce, bo Grenlandczycy za Duńczykami nie przepadają. Mają do nich żal o lata polityki „danizacji" i inne protekcjonalne, a czasem wręcz łamiące prawa człowieka działania, np. przymusowe zakładanie spirali antykoncepcyjnych młodym Grenlandkom – to proceder, który trwał latami i za który niedawno Dania przeprosiła.

Nielsen ma rodzinę w Danii i pomieszkiwał tam na różnych etapach edukacji, ale podobno zawsze bardzo tęsknił za wyspą. W wywiadach mówi, że jako Grenlandczyk ma poczucie więzi z Danią, ale jednocześnie podkreśla różnice kulturowe. „Jesteśmy bardzo, bardzo różni od Duńczyków w sposobie bycia i stylu życia, choć potrafimy też świetnie funkcjonować razem" – tłumaczył w jednym z podkastów.

W tej samej rozmowie opowiadał też o pracach grenlandzkiego parlamentu, w którym zasiada tylko 31 posłów, a obrady nie trwają przez cały rok. Odbywają się w trakcie dwóch, trzech intensywnych sesji, żeby parlamentarzyści nie musieli przeprowadzać się na stałe do stolicy. Grenlandczycy są silnie związani ze swoimi lokalnymi społecznościami, a posłowie pochodzą z całego kraju, który jest największą wyspą świata i właściwie nie ma tam dróg: „U nas nie da się po prostu przejechać samochodem z miasta do miasta, więc relacje ludzkie są lokalne, koncentrują się w obrębie własnej miejscowości. To ogromna i bardzo ważna część życia Grenlandczyków" – opowiada Nielsen.

Być może tamtejszy parlament będzie musiał wydłużyć sesje, kiedy agresywne wypowiedzi Trumpa sprawiają, że cały świat spogląda z niepokojem na Grenlandię. Prezydent USA wciąż mówi o strategicznym znaczeniu Grenlandii: „Mamy tam dużo żołnierzy, ale potrzebujemy więcej. Potrzebujemy własności. Naprawdę potrzebujemy tej ziemi".

Wtóruje mu Departament Stanu USA, który przekonuje, że nie chodzi tu tylko o podziemne skarby Grenlandii, ale może jeszcze bardziej o jej położenie. Kontrola nad wyspą zapewniłaby Amerykanom dostęp do Arktyki, gdzie ma się rozegrać kolejny akt rywalizacji z Rosją i Chinami. A w bliższej pespektywie Grenlandia będzie dla Stanów Zjednoczonych – obok północnych wybrzeży Szkocji, Wysp Owczych i Islandii – kluczowym elementem łańcucha umocnień od wschodu broniących dostępu na północny Atlantyk i dalej – ku wschodnim wybrzeżom USA.

Kiedy rozmawiam o tym z Piotrem Szymańskim, głównym specjalistą Zespołu Bezpieczeństwa i Obronności Ośrodka Studiów Wschodnich, ten sugeruje, że Trump – jak na agenta nieruchomości przystało – próbuje oddziaływać psychologicznie na drugą stronę i chyba nadal nie do końca rozumie, że czasy kolonialne się skończyły i Grenlandii nie da się kupić.

– *Dania, która odpowiada za politykę obronną Grenlandii, była zawsze niezwykle otwarta na współpracę z USA. Od 1951 r. na wyspie działa amerykańska baza wojskowa. Wciąż ma kluczowe znaczenie dla amerykańskiego systemu wczesnego ostrzegania. W czasach rywalizacji z ZSRR Ameryka rozmieściła na wyspie nawet broń nuklearną* – podkreśla Szymański. Jego zdaniem Amerykanie nie mają więc podstaw, żeby zarzucać Danii brak współpracy: – *Sami Grenlandczycy także byli zawsze otwarci na dialog z Ameryką, ale teraz są głęboko oburzeni tak przedmiotowym potraktowaniem ich przez Waszyngton. Trump nie rozumie, jak głęboki jest na wyspie opór społeczny przeciw jego planom i próbom zastraszania.*

A jeśli chodzi o samego premiera Grenlandii, to w pewnym sensie trafiła kosa na kamień. Nie da się go tak po prostu zastraszyć czy zlekceważyć, choć ma nadal chłopięcą twarz. Ludzie, którzy znają go osobiście lub z nim współpracowali, podkreślają, że jest tytanem pracy, zawsze idealnie przygotowanym wulkanem energii i nigdy się nie poddaje.

Jest dobrze wykształcony, studiował nauki społeczne, świetnie mówi po angielsku. Poza tym ma duszę sportowca, i to spełnionego. Zdobył (wraz z drużyną) cztery mistrzostwa Grenlandii w piłce nożnej, jedno mistrzostwo Grenlandii w piłce ręcznej oraz ponad dziesięć razy tytuł mistrza Grenlandii w badmintonie.

Twierdzi, że na obozach treningowych zawsze wstawał najwcześniej i trenował więcej niż inni. Jego była szefowa Nivi Olsen, która w czasach, gdy kierowała resortem edukacji, uczyniła 23-letniego Nielsena swoim sekretarzem, mówi o nim: „To wyjątkowy człowiek. Ostrzegano mnie, że nie powinnam go zatrudniać, bo jest za młody, a on był wzorem lojalności. Powiedział do mnie raz: »Jeśli ktoś chciałby cię zastrzelić, zasłonię cię sobą«".

Piotr Szymański z OSW podkreśla, że Grenlandczycy poza wsparciem finansowym mogą liczyć na pomoc strukturalną Danii. Kiedy ostatnio leciał do Nuuk, w samolocie poza turystami siedzieli głównie duńscy nauczyciele i lekarze. W szpitalu w Nuuk jest niewielu specjalistów, pacjenci wymagający skomplikowanych terapii są wysyłani do Kopenhagi i leczeni tam bezpłatnie. – *Paradoksalnie w niektórych obszarach dążący do większej niezależności Grenlandczycy domagają się nadal od Kopenhagi, by wypełniała zobowiązania rządu centralnego. Są to np. inspekcje sanitarne czy kontrole weterynaryjne, które Nuuk mogłoby od Kopenhagi przejąć, ale brakuje mu środków i personelu* – dodaje Szymański.

Premier Nielsen twierdzi, że nadal zbyt niski jest poziom edukacji na wyspie. Jako były minister górnictwa żałuje też tego, że poprzednie rządy zrezygnowały z prób wydobywania ropy. Grenlandia jest bogata w surowce naturalne, np. metale rzadkie, ale w 80 proc. pozostaje skuta lodem. Działają tu tylko dwie kopalnie – i nie mogą pracować przez cały rok.

Nielsen chciałby to zmienić, ale na razie ma inny problem – stara się przygotować wyspę na wypadek obcej inwazji, zachęca Kopenhagę do przysłania większej liczby żołnierzy. Nie oznacza to, że nie chce rozmawiać z USA. Niedawno odbyły się na wyspie manewry NATO z udziałem amerykańskich jednostek.

W wywiadach Nielsen mówi, że sytuacja jest trudna. Podkreśla jednak, że Grenlandczyków i całą Europę powinna uspokajać wiara w sojusze i w prawo międzynarodowe. Paradoksalnie arogancja Trumpa wykreowała pierwszego grenlandzkiego polityka rozpoznawalnego wszędzie. Ale do rozwiązania „amerykańskiego" problemu droga daleka.

Dzień po konferencji Nielsena i Frederiksen w Waszyngtonie spotkali się szefowie amerykańskiej, duńskiej i grenlandzkiej dyplomacji. Duńczyk Lars Løkke Rasmussen przyznał, że mimo rozmów trwa „fundamentalny spór" między USA a Grenlandią. Dodał, że spotkanie z wiceprezydentem J.D. Vance'em i sekretarzem stanu Marco Rubio było „szczere", ale Trump nadal nalega na „podbój" Grenlandii, co jest „całkowicie nie do przyjęcia". ■

eprasa.pl e94e67b4f3



Dozwolone od lat 16

To będzie rok globalnego odrywania dzieci od ekranów. Przybywa naśladowców Australii, która w grudniu zakazała najmłodszym dostępu do serwisów społecznościowych.

JĘDRZEJ WINIECKI

„Jeśli dziecko siedzi w bolidzie Formuły 1 i odpala silnik, to ja nie chcę, by wygrało wyścig. Ma wysiąść". Tą metaforą prezydent Emmanuel Macron uzasadnia rychłe podążenie śladami australijskiej prohibicji. We Francji gotowy jest projekt ustawy, która powinna wejść w życie we wrześniu. Do 15. urodzin będzie zabronione korzystanie z serwisów społecznościowych. Dodatkowo już obowiązujący zakaz używania telefonów komórkowych w podstawówkach i gimnazjach zostanie rozszerzony na wszystkie szkoły średnie i uczniów do 18. roku życia.

Macron utrzymuje, że decyzja Australii „kształtuje konsens" o tym, że kontakt z serwisami społecznościowymi destrukcyjnie wpływa na dziecięce zdrowie psychiczne i osiągnięcia edukacyjne. Z tym poglądem zgadzają się rządy Danii, Norwegii, Indonezji, Malezji i Polski, które prowadzą prace nad własnymi zakazami. Rzecz rozpoznają władze Korei Płd. Zaawansowane dyskusje toczą się w wielu państwach europejskich, a także w Indiach i RPA.

Restrykcje – w tym obowiązkową zgodę rodzica na założenie konta przez dziecko, wyznaczanie limitu czasu spędzanego na platformach lub hamowanie lawiny nadchodzących powiadomień – wprowadzają poszczególne stany w USA. Nie ma bowiem mowy o regulacji na poziomie federalnym.

Taki jest skutek lobbingu właścicieli serwisów w Kongresie. Wydają na ten cel dziesiątki milionów dolarów rocznie, lamentują o zamachu na wolność słowa i walczą w sądach z przepisami wprowadzanymi przez stany. Swojej sprawiedliwości w Sądzie Najwyższym Australii dochodzi Reddit, jeden z dziesięciu serwisów objętych tamtejszym zakazem. Powołuje się na tłumienie prawa do swobodnej wymiany myśli.

Pozostali z dziesiątki, czyli Facebook, Instagram, Kik, Threads, TikTok, Twitch, Snapchat, YouTube i X, się na to nie zdecydowali, przynajmniej na razie. A znaleźli się na liście, bo składają się na standardowy internetowy ekosystem, w którym nastolatki z całego świata – w tym do grudnia ich australijscy rówieśnicy – funkcjonują przez wiele godzin na dobę.

Na antypodach właściciele platform muszą blokować konta używane przez osoby poniżej 16. roku życia. Jeśli tego nie zrobią, grozi im grzywna w wysokości 49,5 mln dol. australijskich (ok. 120 mln zł). Przy zakładaniu kont nie wystarczą błahe zabezpieczenia, pozwalające np. wpisywać lipny wiek. Sposobem weryfikacji są m.in. zdjęcia użytkowników, dorośli też muszą je sobie robić.

Miejscami system przypomina durszlak. Nastolatki powszechnie chwalą się sforsowaniem blokad. Niektóre miny trochę postarzają. Odpowiednim grymasem lub makijażem da się twarz 14-latka

© KISELEV ANDREY VALEREVICH/ SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e94e67b4f3

postarzyć o trzy lata. Pod koniec roku w wyszukiwarkach internetowych rekordy popularności biły zapytania o metody kamuflujące pochodzenie urządzenia łączącego się z siecią jakoby spoza Australii. Najmłodsi mieli kilkanaście miesięcy, by się przygotować, i zawczasu zakładali lewe konta. Jeśli nie zdążyli, mogą posługiwać się np. używanym telefonem zarejestrowanym na rodzica.

Zakaz nie jest zupełny. W przyszłości lista ma być wydłużana, ale na razie dostępne pozostają serwisy, które nie wymagają logowania. Młodzi Australijczycy mogą dalej oglądać filmy z zakazanego w teorii YouTube'a. Wiele popularnych platform nie znalazło się na liście, dotyczy to choćby gier w rodzaju Minecrafta. Właściciele serwisów alarmują, że dzieci ruszą na poszukiwania i w mrocznych odmętach niedoregulowanego internetu znajdą groźne substytuty.

Owszem, młodzi twórcy internetowi, którzy zbudowali biznes zarabiający na odtworzeniach w sieci, potracili dostęp do interesów. A osoby z mniejszości, zwłaszcza te bez oparcia w najbliższych, utraciły kontakt z siecią wsparcia. Niemniej australijscy badacze społeczni twierdzą, że kilka tygodni zakazu to wciąż zbyt krótko, by ocenić efekty. Inni są z kolei podekscytowani, że mogą bezpośrednio przyglądać się eksperymentowi, w którym grupa kontrolna obejmuje kilka milionów nastolatków.

Australia z wprowadzeniem zakazu uwinęła się raptem w rok. A zaczęło się od prawniczki Annabel West, prywatnie matki czwórki dzieci i żony Petera Malinauskasa, socjaldemokratycznego premiera stanu Australia Płd.

West przeczytała wydaną w marcu 2024 r. książkę „Niespokojne pokolenie", jej autorem jest amerykański psycholog społeczny Jonathan Haidt. Pisał, że prowadzone od lat 70. XX w. badania kondycji psychicznej amerykańskiej młodzieży pokazywały, że poziom depresji czy niepokoju utrzymywał się przez dekady na dość stabilnym podobnym poziomie. Natomiast po 2010 r. wykresy wystrzeliły. Równolegle zwiększyła się liczba samookaleczeń wśród młodzieży.

Także w połowie tamtej dekady Haidt, wykładowca akademicki z długim stażem, zauważył, że nowi studenci wyraźnie różnią się od poprzednich roczników. Było w nich więcej lęku i agresji, gorzej znosili krytykę, nie mieli ochoty ponosić ryzyka i brać odpowiedzialności. Te same obserwacje napływały z Kanady i Wielkiej Brytanii.

Odpowiedź Haidta była taka: generacja Z, urodzeni po 1995 r., została ukształtowana w toksycznym koktajlu nadopiekuńczości w realnym życiu i panującego w sieci technologicznego bezhołowia. W rezultacie już na etapie dorosłości pracują na „socjologiczną apokalipsę" – może mniej piją, ale są do przesady ostrożni i wylęknieni, nie mają żyłki przedsiębiorczości, nie chcą mieć dzieci i pogrążają się w samotności.

Przerażona lekturą West podsunęła książkę Malinauskasowi, a ten do pomysłu zakazu przekonał m.in. federalnego premiera Anthony'ego Albanesego. Również on zaczął opowiadać, że serwisy to „plaga". I pora już, by dzieci, zamiast siedzieć z nosami w ekranach, poszły grać na boiska. Wpływ na debatę miał również list pogrążonej w żałobie matki 12-latki, która odebrała sobie życie z powodu nękania w szkole. W sondażach poparcie dla zakazu w ciągu kilku miesięcy wzrosło z 61 do 77 proc.

I choć Malinauskas zapowiadał, że zakaz będzie bardziej jak „szwajcarski scyzoryk niż maczeta", to australijscy eksperci przyznają, że wprowadzono go bez subtelności i naukowej rzetelności. Dowodzą, że „Niespokojne pokolenie" ma wartość bardziej publicystyczną, bo nie zawiera twardych danych. Psychika młodzieży to skomplikowana sprawa, trudno przypisać odpowiedzialność za jej kryzys pojedynczemu czynnikowi. Same socjale działają co prawda od 20 lat, ale to wciąż względnie nowe zjawisko. Może być i tak, że zrzucając winę na serwisy, pomija się inne elementy.

Politycy – tak w Australii, jak i w krajach naśladowcach – nie zawracają sobie głowy eksperckim dzieleniem włosa na czworo. Sam Haidt przyznaje dziś, że ruch na rzecz szkół bez telefonów jest obecnie najszybciej wprowadzaną ogólnoświatową reformą. Wspomina wręcz o atmosferze sprzyjającej zjawisku „techlashu", odwrotu od technologii. Kiedyś ludyści rozbijali maszyny włókiennicze, a teraz pora na technologiczny detoks.

Odgórne regulacje mają być potrzebne, bo w tej materii też widać rażące nierówności. W lepiej uposażonych gospodarstwach domowych rzadziej pozwala się dzieciom tonąć w sieci, zabrania się m.in. nianiom pokazywać ekrany swoich telefonów. Mniej zamożnym jeszcze dwie, trzy dekady temu charytatywnie rozdawano komputery, choć i tu brak dowodów, że komputery lądujące na dziecięcych biurkach jakkolwiek pomogły w edukacji.

Teraz to dzieci z rodzin niezamożnych są w pierwszej kolejności wystawione na niebezpieczeństwa w sieci. Coś do myślenia powinno dać to, że gwiazdy Doliny Krzemowej posyłają własne dzieci do szkół, gdzie nie wolno mieć telefonów i gdzie komputery są wykorzystywane głównie do nauki programowania.

Politykom takie szybkie, zdecydowane posunięcie się podoba. Może z wyjątkiem autokratów, turboliberałów i przywódców, którzy nie chcą drażnić władz Stanów Zjednoczonych, zawzięcie broniących swoich big techów. Ale nikt tych gigantów technologicznych nie lubi i nie będzie ich żałował. Jakoś wcześniej nie kiwnęły palcem, by blokować dostęp nawet kilkuletnim dzieciom. No i trudno sobie wyobrazić – podpowiada Haidt – regulacje odwrotne. Choćby nakaz suwania kciukiem po ekranie w ramach obowiązkowej trzygodzinnej sesji na TikToku.

Książki wpływają na bieg zdarzeń, gdy spektakularnie piętnują oczywiste patologie. „Chata wuja Toma" wzmocniła przeciwników amerykańskiego niewolnictwa. „Oliver Twist" skutecznie upomniał się o los pracujących dzieci. „Milcząca wiosna" przyczyniła się do wyeliminowania toksycznych pestycydów i stała się inspiracją dla „Niebezpiecznych przy każdej prędkości" (Unsafe at Any Speed), książki poświęconej wadom konstrukcyjnym amerykańskich samochodów – w niecały rok od jej publikacji Kongres wprowadził obowiązek wyposażenia aut m.in. w pasy bezpieczeństwa.

Także „Niespokojne pokolenie" ruszyło domino, robiąc z Jonathana Haidta ideologa antyserwisowego zwrotu, mającego prowadzić do zwycięskiej walki o zdrowsze dzieciństwo. Jego czteropunktowe credo obejmuje: zakaz serwisów do 16. roku życia, dzieci bez smartfonów, szkoły bez telefonów, no i koniec nadopiekuńczości w realnym życiu. Postulowana przez Haidta zmiana sprowadza się do ograniczenia bodźców w imię większego skupienia, kontaktu z niewirtualną rzeczywistością i rozwoju w rytmie, do którego przygotowało nas kilka milionów lat ewolucji gatunku. Miejmy nadzieję, że to się tak szybko nie zmieni. ■

eprasa.pl e94e67b4f3

Taki mózg, że głowa mała

Wydawało się, że wiemy, jaki był kierunek ewolucji człowieka: coraz większy mózg, coraz większa inteligencja. Dziś wygląda na to, że ta opowieść jest dużo bardziej skomplikowana.



© JOE MCNALLY/GETTY IMAGES

eprasa.pl e94e67b4f3

MARCIN RYSZKIEWICZ

W drugiej połowie XIX w., gdy wiara w ewolucję w nauce się ugruntowała, a pokolenie jej przeciwników w szybkim tempie wymierało, pojawiło się zapotrzebowanie na posiadanie szacownych praw przyrody. Bo jakże to – mają je fizycy, chemicy czy astronomowie, a ewolucjonizm, powoli wysuwający się na czoło wszelkich nauk, wciąż ma być tylko dziedziną opisową, jak – nie przymierzając – filatelistyka?

Życie, które od miliardów lat rozwijało się na Ziemi, nie mogło zdawać się tylko na działanie przypadku. Powinno było wypełniać jakiś plan i podlegać nieubłaganym prawom przyrody. Takich regularności pod koniec XIX i w początkach XX w. dopatrzono się bez liku i wydawało się, że są one równie niewzruszone jak trajektorie planet czy zasady kierujące zachowaniem atomów. Wymieńmy trzy najważniejsze z nich, by zobaczyć, na czym polegały i jak zniosły próbę czasu.

1. Prawo biogenetyczne, zwane też prawem Haeckla. Głosiło ono, że w rozwoju osobniczym każdego organizmu powtarzane są etapy, jakie dany gatunek przeszedł w toku swojej ewolucji. Wybitny niemiecki ewolucjonista Ernst Haeckel wpłynął na rzesze biologów, a może bardziej nawet laików, serią niezwykle wyrazistych rysunków, na których widać, jak rozwijający się od stadium zapłodnionego jaja zarodek człowieka przybiera kolejno kształty jamochłona, lancetnika, ryby, wczesnego czworonoga i na końcu prymata.

2. Prawo nieodwracalności ewolucji, zwane też prawem Dollo. Belgijski paleontolog Louis Dollo twierdził w nim, że zrodzone w toku ewolucji złożone cechy nie mogą powstać więcej niż raz lub że – wedle innej wersji – wymarłe gatunki nie mogą pojawić się ponownie na Ziemi. Każdy gatunek (i każdy element jego budowy) jest wyjątkowy, bo stoi za nim licząca miliony lat, ze swej natury niepowtarzalna historia.

3. Prawo Cope'a, nazwane imieniem wybitnego badacza dinozaurów i ssaków kopalnych, amerykańskiego paleontologa Edwarda Drinkera Cope'a, który głosił, że w poszczególnych liniach ewolucyjnych rozmiary ciała osobników zwiększały się w czasie, co w większości przypadków, zwłaszcza ssaków kenozoicznych, znajdowało pokrycie w danych paleontologicznych. Wszyscy miłośnicy skamieniałości znają przykłady maleńkich, pięciopalczastych przodków koni, które wyewoluowały w rosłe wierzchowce, czy drobnych przodków naczelnych, z których powstały po milionach lat ogromne gigantopiteki czy goryle.

Wszystkie te „prawa", choć opierały się na autentycznych tendencjach ewolucyjnych, okazały się z czasem jedynie uogólnieniami, które pomijały ogromną liczbę wyjątków i w końcu poległy za sprawą nagromadzenia niepasujących do ogółu odstępstw. A prawdziwe reguły nie uznają wyjątków – albo nie są regułami.

Kto ma wysokie EQ

Jest jednak jeszcze jedno „prawo", nigdy zresztą tak nienazwane, bo wydawało się zupełnie oczywiste, wedle którego w toku naszej ewolucji stale rosła wielkość mózgu naszych kolejnych przodków, aż do osiągnięcia obecnej wartości. Pewien rodzaj formalizacji przybrało w 1973 r., gdy amerykański psycholog i badacz inteligencji zwierząt Harry Jerison wprowadził pojęcie współczynnika encefalizacji EQ – odpowiednik IQ mierzącego inteligencję wśród ludzi. O ile IQ odnosi się do poszczególnych osobników, podając wartość liczbową ich inteligencji odbiegającej – w górę lub w dół – od średniej dla całej populacji, o tyle EQ przypisane jest całym gatunkom, żyjącym lub kopalnym, których domniemana inteligencja ma wynikać ze względnej wielkości ich mózgów w stosunku do masy ciała.

Bezwzględna wielkość mózgu nie jest dobrym wskaźnikiem inteligencji, bo każdy dodatkowy kilogram ciała to również dodatkowe neurony kontrolujące jego funkcjonowanie. Wzrost wielkości mózgu wraz ze wzrostem masy ciała nie jest procesem liniowym – dwa razy większe ciała nie wymagają dwa razy więcej neuronów, bo pewne podstawowe funkcje życiowe są takie same u wszystkich gatunków w obrębie danej grupy. Jeśli ułożymy wszystkie gatunki ssaków na linii oznaczającej wielkość ciała – od myszy do słonia – to zobaczymy, że mózg również rośnie, ale wyraźnie wolniej. Jeśli za miarę „inteligencji gatunkowej" przyjmiemy stosunek masy mózgu do masy ciała, który eliminuje wpływ samych rozmiarów, otrzymamy znacznie lepsze – choć wciąż niedoskonałe – przybliżenie ilościowe tego zagadnienia.

Tutaj pozycja człowieka wyraźnie wykazuje odstępstwo od normy – wśród wszystkich ssaków tylko kilka gatunków (np. małpka sajmiri) może poszczycić się lepszym od naszego wynikiem. Jerison pokazał jednak, że ten wynik trzeba przemnożyć przez pewien współczynnik (Q w nazwie EQ), który pozwoli stwierdzić, czy gatunek wykazuje średnie, oczekiwane wartości, czy też je przekracza w górę lub w dół. Wartość oczekiwana tego EQ to liczba jeden, wszystko co powyżej oznacza ponadnormatywną wielkość mózgu (i w domyśle – inteligencji), wartość niższa wystawia gatunkowej bystrości kiepską notę. I w tej najbardziej obiektywnej punktacji pozycja *Homo sapiens* jest niezagrożona. Z EQ rzędu 7,5 przewyższamy, i to znacznie, wszystkie inne gatunki ssaków: np. butlonos – 4, orka – 3, szympans – 2,3, słoń – 2, pies – 1,2, kot – 1, hipopotam – 0,4.

Mądrość z puszki

Jak w tym rankingu wyglądają przodkowie *Homo sapiens*? Odkrycia kopalnych homininów zaczęły się późno, pierwszy wymarły gatunek *Homo* (neandertalczyk) został opisany w 1864 r., a więc kilka lat po opublikowaniu „O powstawaniu gatunków" Darwina (1859). Neandertalczyk okazał się mieć dużą puszkę mózgową w granicach właściwych dla naszego gatunku – do tego jeszcze wrócimy, bo tu kryje się znaczenie późniejszych sensacji. Równie duży mózg, i też w granicach właściwych dla naszego gatunku, miał kolejny, znaleziony w 1869 r. tzw. kromaniończyk z południa Francji, nazwany oryginalnie *Homo sapiens fossillis*. To do dziś jeden z najstarszych Europejczyków w postneandertalskiej Europie.

Kolejno odkrywane gatunki ukazywały oczekiwaną prawidłowość: po pierwsze, były coraz starsze, po drugie miały coraz mniejsze mózgi. I tak pod koniec XIX w. odkryto na indonezyjskiej Jawie szczątki tzw. pitekantropa (dziś *Homo erectus*), znacznie starsze od neandertalczyka i kromaniończyka o pojemności puszki mózgowej ok. 900 cm sześc. Kolejny kopalny gatunek to odkopana w 1924 r. w jednej z jaskiń na południu Afryki czaszka młodocianego osobnika, tzw. dziecka z Taung, tym razem ▶

eprasa.pl e94e67b4f3



z zachowanym naturalnym odlewem mózgu. Objętość tego organu można było więc określić z wielką precyzją – gatunek ten, nazwany *Australopithecus africanus*, żył znacznie wcześniej od pitekantropa (ok. 2,8 mln lat temu) i miał też dużo mniejszy mózg, oceniany na ok. 500 cm sześc. Znajdowane później jeszcze starsze homininy wciąż potwierdzały wykrytą tendencję – im były starsze, tym mniejsze miały mózgi. I tak odkryta w latach 70. XX w. Lucy, opisana jaka *Australopithecus aferensis*, miała wielkość mózgu ok. 450 cm sześc. W owym czasie był to najstarszy ze wszystkich znalezionych homininów (ok. 3,2 mln lat) – i wydawało się, że jesteśmy już na początku naszej linii rodowej, a Lucy i jej krewni to formy wyjściowe dla wszystkich późniejszych homininów. Stąd określenie „pramatka całej ludzkości". Wkrótce jednak się okazało, że i ona miała swych homininowych przodków. Dwóch z nich miało na tyle dobrze zachowane czaszki, że udało się ocenić wielkość ich mózgów.

W 1994 r. odkryto w skałach nad rzeką Auasz w Etiopii świetnie zachowany szkielet sprzed 4,4 mln lat osobnika nazwanego Ardi (*Ardipitecus ramidus*), który wykazywał cechy wskazujące na nadrzewność, np. odwiedziony duży palec stopy. Mózg był bardzo mały – określa się go na zaledwie 350 cm sześc., a więc w granicach właściwych dla współczesnych szympansów. To ważne, bo – jak się zdaje – szympansy nie zwiększyły mózgów w toku swej ewolucji ani o jotę, podobnie zresztą jak inne wielkie małpy, goryle i orangutany.

Ostatnim chronologicznie i najstarszym wiekowo kopalnym homininem był odkryty w 2001 r. w Czadzie sahelantrop, znany głównie z pięknie zachowanej czaszki. Wiek tego znaleziska jest niezwykły – 7 mln lat, a pojemność mózgu, podobnie jak młodszej o 3 mln lat Ardi, bardzo mała – ok. 350 cm sześc. Zważywszy, że osobnik ten żył w czasie, gdy nastąpiło rozejście się linii człowieka i szympansa, można uznać, że nasz wspólny przodek miał taką właśnie wielkość mózgu i że ten wzrastał potem tylko w naszej, ale nie szympansiej, linii rodowej.

Nieludzcy praludzie

Przełom er przyniósł nie tylko odkrycie najstarszego hominina (sahelantropa), ale też nagłe, dramatyczne i zupełnie nieoczekiwane załamanie wiary w stały proces umózgowienia w naszej linii rodowej. Wtedy to bowiem odkryto nie tylko najstarszego, ale i najmłodszego hominina, który żył na Ziemi wraz z naszym gatunkiem. Tzw. hobbit z wyspy Flores to dziś już prawdziwa gwiazda paleoantropologii, ale w 2003 r. – gdy został odkryty – wywołał szok i konsternację nawet wśród najbardziej otwartych na nowinki antropologów. Był to bowiem niemal kompletny szkielet osobnika żywo przypominającego – wzrostem i wielkością mózgu – starszą o 3,5 mln lat Lucy, choć wiek jego określono początkowo na 12 tys. lat, a więc epokę, gdy „my" zaczęliśmy już budować pierwsze miasta! Co prawda potem ten wiek przesunięto na ok. 50 tys. lat, ale to wciąż czasy niemal współczesne. Na Flores ewolucja jak gdyby cofnęła się o ponad 3 mln lat.

A to był dopiero początek. Ostatnie dwie dekady przyniosły całą serię odkryć, których wspólnym mianownikiem były zaskakująco małe – jak na ich wiek – rozmiary mózgów tych nowo odkrywanych homininów. Pierwszym zaskoczeniem był tzw. człowiek gruziński, który okazał się najstarszym homininem, jaki opuścił Afrykę i zapuścił korzenie w Starym Świecie. Wszystko w nim było przedziwne: że szczątki wielu osobników znaleziono wysoko w górach Kaukazu; że wśród pięciu znalezionych tam czaszek każda była inna od pozostałych, jakby na jednym małym stanowisku żyło pięć różnych gatunków; i wreszcie, że odkrycia dokonano w podziemiach średniowiecznej warowni, gdzie naturalna byłaby obecność archeologów, ale nie ewolucjonistów.

Jednak najdziwniejszy okazał się mózg tych homininów – choć czaszki były tak różne, to ich zawartość we wszystkich przypadkach była zbliżona i bardzo niewielka – ok. 600–650 cm sześc., czyli dużo mniej od czaszek gatunku *Homo erectus*, do którego w końcu człowieka gruzińskiego przypisano. To o tyle zaskakujące, że panowało wśród antropologów powszechne przekonanie, iż pierwsi ludzie, którzy ruszyli z Afryki na podbój nowych lądów, musieli być rośli, ekspansywni i – oczywiście – inteligentni, a więc w domyśle wielkogłowi.

I jeszcze jeden przykład, tym razem ze znacznie młodszych czasów. W 2015 r. w jaskini Rising Star w RPA dokonano sensacyjnego odkrycia: w głęboko położonej komorze, o bardzo utrudnionym dostępie, znaleziono ogromne cmentarzysko leżących wprost na osadzie kości praludzkich należących do kilkunastu osobników. Poza jakością zachowania i ilością tych szczątków intrygujący był szczególnie jeden fakt – pośród tysięcy kości i ich fragmentów wszystkie należały do homininów i ani jeden nie należał do innych ssaków (poza nietoperzami). Stąd interpretacja – ludzie musieli tam zostać pochowani czy może pośmiertnie zrzuceni w miejscu dla innych niedostępnym. Takie zachowanie, świadome pozbywanie się zwłok, czyli coś, co przypomina pochówek, pojawiło się w toku naszej ewolucji późno, ok. 50 tys. lat temu, i jest świadectwem psychologicznego zaawansowania, właściwego naszemu gatunkowi lub późnym etapom rozwoju neandertalczyków. Wydawało się więc oczywiste, że oto trafiliśmy na jakąś nieznaną populację praludzi, którzy bardzo wcześnie zaczęli grzebać swoich zmarłych.

I tu nowa sensacja – znaleziona tam czaszka pozwoliła oszacować wielkość tkwiącego w niej mózgu, a ten był zaskakująco mały – ok. 550 cm sześc. To mniej nawet od i tak wyjątkowo „zapóźnionego" człowieka gruzińskiego sprzed 2 mln lat. Jak to wyjaśnić? Wiek szczątków z Rising Star był początkowo nieznany, więc sami odkrywcy tego nowego gatunku – nazwano go *Homo naledi* – byli skrajnie podzieleni w ocenach. Wedle jednych miał mieć, na podstawie wielkości mózgu, ponad 2 mln lat, drudzy dowodzili, że intencjonalny pochówek wskazuje na nie więcej niż kilkadziesiąt tysięcy lat.

Rozstrzygnięcie nadeszło po kilku latach, gdy dzięki zaawansowanym technikom badawczym udało się ustalić chronologię kości *Homo naledi* na ok. 250 tys. lat. To kończyło zażarte spory, ale tylko potęgowało zamieszanie – jak osobniki o tak małych mózgach mogły wykazywać tak zaawansowane zachowania i żyć w dodatku pośród innych, znacznie bardziej wielkogłowych ludzi?

© PUWADOL JATURAWUTTHICHAI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e94e67b4f3



neanderthalensis (1200–1700) *Homo erectus* (900) *Australopithecus africanus* (500) *Sahelanthropus tchadensis* (350)

W tym miejscu warto postawić jedno fundamentalne pytanie: dlaczego tak długo dominowało przekonanie, że nasze mózgi i inteligencja musiały rosnąć w toku ewolucji homininów? Już fakt, że EQ wielkich małp nawet nie drgnęło przez kilka milionów lat ich ewolucji, powinien skłaniać do ostrożności.

Na co tyle energii?

Jest jeszcze jeden powód do frustracji: mózg to najbardziej energożerna z tkanek ssaków, a ewolucja, jak buchalter, dba przede wszystkim o cięcie niepotrzebnych kosztów. Jeśli tylko jeden gatunek ssaków osiągnął tak wysokie EQ, a wszystkie inne dawały sobie świetnie radę ze znacznie niższym, to znaczy, że tylko wyjątkowe okoliczności pozwoliły doborowi naturalnemu promować tak wielką energetyczną rozrzutność, a gdy tylko ten nacisk słabł, mózg wracał do skromniejszych rozmiarów.

Problem, jak widać, można więc odwrócić i pytać, dlaczego mózg w naszej linii rodowej rósł, zamiast pozostawać na bardziej normalnym i znacznie bezpieczniejszym poziomie. I tak dochodzimy do zaskoczenia z ostatnich lat. Oto się okazuje, że tendencja do wzrostu mózgu, mimo odkrywanych ostatnio wyjątków, nie zatrzymała się wcale wśród bliskich nam krewnych, ale – w innych liniach – trwała dalej i doprowadziła nawet do przebicia dokonań *Homo sapiens*. Czyżbyśmy mieli utracić palmę pierwszeństwa wśród najinteligentniejszych form na Ziemi? Cóż, wydaje się, że tak właśnie się stało.

Wszystkie z tych najnowszych odkryć „wielkogłowców" pochodzą z Chin, a ich liczba jest imponująca. Pierwsze z nich przyszło w 2021 r. – to pięknie zachowana czaszka z Harbinu. Jest niezwykle masywna i ma bardzo archaiczne cechy, ale mieściła też w sobie wyjątkowo duży mózg, którego pojemność oceniono na ok. 1450 cm sześc., a więc więcej niż średnio u ludzi współczesnych, choć jej wiek szacuje się na ok. 150 tys. lat.

To jednak nie koniec zaskoczeń. Dziesięć lat wcześniej odkryto w Jaskini Denisowej na Ałtaju paliczek i ząb jakiegoś hominina, z których udało się wyekstrahować duże ilości kopalnego DNA niepasującego do żadnego ze znanych wówczas organizmów. Po raz pierwszy nieznany gatunek został opisany na podstawie samych tylko genów, bez (prawie) żadnych szczątków kostnych. Znając więc niemal kompletny genom, nie mieliśmy zarazem pojęcia o wyglądzie, w tym – w szczególności – głowy. W następnych latach odkryto kilka skamieniałych kości tych tzw. denisowian i ustalono, że krzyżowali się zarówno z nami, jak i z neandertalczykami. Jednak ich wygląd – z braku szczątków czaszki – wciąż pozostawał w sferze domysłów. Dzięki tajemniczemu człowiekowi z Harbinu mogliśmy nagle stanąć z nimi twarzą w twarz, bo – jak się okazało – w jego tkance kostnej znaleziono białka pasujące do tych, które kodowane były przez geny denisowian.

Człowiek z Harbinu to był dopiero początek. W 2024 r. badacze opisali jeszcze jeden gatunek – *Homo juluensis*, który już w nazwie („wielkogłowcy") odwołuje się do nadzwyczaj pokaźnych rozmiarów czaszek. Znaleziono je na dwóch stanowiskach chińskich – Xujiayao i Xuchang. Te nowe homininy miały cechy nawiązujące do neandertalczyków, człowieka z Harbinu, a także wczesnych *Homo sapiens* w Europie, ale ze względu na ogromną pojemność puszki mózgowej we wszystkich znalezionych tam czaszkach (ocenionej średnio na 1700 cm sześc., a w przypadku Xuchang nawet na rekordowe 1800 cm sześc.) uznano, że warto stworzyć dla nich nowy gatunek.

Globalny mózg

Historia badań wzlotów i upadków EQ naszych pobratymców dopiero się rozkręca i warto śledzić jej przyszłe losy, bo z pewnością dużo się będzie działo. Paradoksalnie bardziej problematyczne i trudniejsze jest wyjaśnienie tendencji do wzrostu mózgu – ze względu na wysiłek energetyczny konieczny do utrzymania tego organu i fakt, że nasz mózg zaczął się kurczyć dokładnie w czasie, gdy zaczęliśmy się wznosić ponad wszelkie dokonania świata zwierzęcego.

Zarówno czaszki neandertalczyka, jak i kromaniończyka, choć mieściły się w ramach właściwych dla ludzi współczesnych, były wyraźnie większe od średnich – ostatnie kilkadziesiąt tysięcy lat to proces stałego kurczenia się naszych mózgów. Język, sztuka, religia, nauka – to wszystko zdarzyło się więc w czasie, gdy nasze EQ (a może i IQ?) dość radykalnie się zmniejszyło. Prawdopodobnie wyjaśnienie można wiązać z faktem, że te nasze sukcesy ostatnich 40 tys. lat wynikały z przeniesienia kompetencji intelektualnych z pojedynczych osobników na całe zbiorowości, a więc procesem tworzenia się globalnego mózgu, który na naszych oczach staje się faktem. Już nie musimy, każdy z osobna, na nowo „wymyślać koła", bo to już dawno się dokonało i tę wiedzę udało się utrwalić i przekazywać pozagenowo z pokolenia na pokolenie.

* * *

Po śmierci Alberta Einsteina amerykański neurolog Thomas Harvey postanowił zbadać dokładnie jego mózg, z nadzieją, że tam tkwi sekret jego geniuszu. Szybko przyszło rozczarowanie: jego wielkość, 1230 cm sześc., okazała się nie tylko nieco mniejsza od średniej dla *Homo sapiens*, ale też sporo mniejsza niż u neandertalczyków, kromaniończyków, nie mówiąc już o „wielkogłowcach" z Xuchang. Co nie znaczy, że neandertalczycy czy denisowianie byli mądrzejsi od Einsteina, lecz że ich mądrość nie miała przełożenia na ich globalny mózg. Pojedynczo każdy z nich mógł być – i pewnie był – prawdziwym geniuszem.

MARCIN RYSZKIEWICZ

eprasa.pl e94e67b4f3



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Zakręty postępu

Elektryczność, nawozy azotowe i silniki spalinowe zmieniły świat bardziej niż smartfony i internet – przekonuje Václav Smil, jeden z najważniejszych krytycznych analityków postępu technologicznego.

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Skąd się biorą innowacje? Z czystej konieczności czy też stoi za nimi nasz wrodzony pęd ku postępowi?**

VÁCLAV SMIL: – Obawiam się, że romantyczny wizerunek szlachetnego wynalazcy albo domorosłego innowatora jest od dawna nieaktualny. Innowacje dziś to drogi, wyspecjalizowany przemysł. Jego siłą napędową są kosztowne badania, prowadzone i finansowane przez biznes bądź państwo, często za pośrednictwem uniwersytetów.

Cała otaczająca nas kultura oraz media przekonują, że żyjemy w czasach nieposkromionej wynalazczości i postępu. Pan uważa inaczej.

Wyobraźmy sobie, że żyjemy w świecie bez elektryczności, żarówek, silników, samochodów, cementu, nawozów azotowych czy antybiotyków. Wszystko, co stanowi tworzywo oraz napęd otaczającej nas cywilizacji, powstało w okresie między 1860 a 1940 r., który śmiało można nazwać złotą erą wynalazczości. Bez tego tkwilibyśmy na poziomie cywilizacyjnym z końca epoki napoleońskiej – jeżdżąc dorożkami, pływając żaglowcami i umierając na suchoty. A teraz proszę wyobrazić sobie życie bez internetu i smartfonów, czyli dokonań ostatnich 30 lat. Która epoka była bardziej innowacyjna i miała większy wpływ na poziom życia? Umyślnie spłycam cały problem, żeby uwydatnić różnicę między cywilizacyjnymi wynalazkami, zapewniającymi skokowy postęp w poziomie życia, a drobnymi innowacjami albo modelami biznesowymi, które sprzedają fałszywe obietnice.

Przecież w ostatnich dekadach dokonał się rewolucyjny postęp – zarówno jeśli chodzi o moc obliczeniową komputerów, jak i produkcję oraz miniaturyzację elementów półprzewodnikowych.

Wszystko zależy od tego, co rozumiemy jako „rewolucyjny postęp". Oczywiście komputeryzacja po 1960 r. miała głęboki wpływ na koszty, rentowność i dostępność wszelkich dóbr, ale ostatnio ujawniły się aż nazbyt oczywiste wady tego procesu: rosnący poziom funkcjonalnego analfabetyzmu, uzależnienie od sieci czy systemowa inwigilacja.

Chyba nic tak nie wypaczyło naszego myślenia o tempie wynalazczości i zakresie innowacji jak wykładniczy postęp w dziedzinie półprzewodników. W latach 60. XX w. Gordon Moore, współzałożyciel firmy Intel, zauważył, że liczba tranzystorów w procesorach podwaja się co ok. 18 miesięcy. Prawo jego imienia mówi, że moc obliczeniowa komputerów i urządzeń elektronicznych będzie rosła w tempie wykładniczym. Przez dłuższy czas tak to wyglądało, ale ów wzrost szybko wyhamowuje. Fizyczna granica upakowania w mikroczipie coraz większej liczby coraz cieńszych tranzystorów jest wyraźnie widoczna.

Co więcej, szybki wykładniczy wzrost postępu nie zaznaczył się w żadnej z tych dziedzin gospodarki, od których zależy stan naszej cywilizacji: od wysokości plonów po efektywność wykorzystania energii, od prędkości transportu po zdolność projektowania i realizacji dużych przedsięwzięć inżynieryjnych. Nie uwidocznił się również w tempie odkrywania nowych leków.

Żyjemy w epoce stagnacji?

Wszystko ma swoje granice, także wynalazczość i innowacyjność. Rozwój elektroniki jest oczywiście pomocny i cenny, zwłaszcza z punktu widzenia wzrostu PKB, ale z całą pewnością nie odgrywa pierwszoplanowej roli, jeśli chodzi o stopę życia. Fundamenty naszego świata – wysokowydajne rolnictwo, silniki, turbiny, masowa produkcja stali, nawozów azotowych czy tworzyw sztucznych – zaistniały długo przed pojawieniem się elektroniki półprzewodnikowej pod koniec XX w.

Czy w historii cywilizacji dostrzega pan dowody na poparcie tezy, że postęp dokonuje się w przewidywalny sposób, np. przejawia tendencję do cykliczności?

eprasa.pl e94e67b4f3

Znów wszystko zależy od tego, jak zdefiniujemy postęp. Z pewnością między bajki należy włożyć tezę o innowacjach rosnących w stałym, liniowym tempie. Najbliższy prawdzie graficzny obraz innowacyjności zawiera się raczej w krzywej w kształcie S. To sinusoida, która na zmianę przyspiesza i opada.

Pomówmy o sztucznej inteligencji. Optymiści upatrują w niej przełomową technologię, która zrewolucjonizuje gospodarkę i zmieni nasze życie. Słusznie?

Takie stwierdzenia to bardziej obliczona na zysk mantra niż realistyczna ocena. Obecnie znajdujemy się – jak to często bywa w przypadku nowych wynalazków – na etapie fascynacji. Przypominają mi się lata 80. XX w., kiedy na rynek wchodziły komputery osobiste. Wtedy też wielu „kupiło" narrację, że jeśli każde dziecko dostanie komputer, zapanuje era powszechnej edukacji i równego dostępu do wiedzy.

Projektantom sieci neuronowych udało się dotąd tylko jedno: zastosować dość proste techniki analityczne w celu wychwytywania, zapamiętywania i wykorzystywania wzorców, których ludzki mózg nie jest w stanie wychwycić. Na razie to kwestia ilościowa: chodzi o zaprzęgnięcie do pracy wielkiej mocy obliczeniowej komputerów z szybkością nieosiągalną dla ludzi. Wszystko, co trafia do worka z etykietką AI, to niezwykle złożony, wieloaspektowy proces, którego postęp należy mierzyć w dekadach i pokoleniach.

W książce „Wynalazek i innowacja. Krótka historia sukcesu i porażki" opisuje pan porażki wynalazków, które uchodziły za przełomowe. Czy AI może podzielić np. los zeppelinów?

Nie sądzę. Zeppeliny były prostymi maszynami o bardzo ograniczonych możliwościach. Ich klęska wiązała się z problemem czysto projektowym – pogodzeniem wewnętrznej siły nośnej wynikającej z naturalnego wyporu lekkich gazów z zewnętrzną siłą nośną zapewnianą przez silniki, co rodziło problemy ze sterownością. AI to niezwykle wszechstronne narzędzie mające wzmocnić ludzkie moce obliczeniowe. Tych wynalazków nie da się porównać.

Co w takim razie decyduje o sukcesie bądź porażce wynalazku?

Innowacyjność chadza krętymi ścieżkami. Wiele świetnych wynalazków zostało zapomnianych, a potem odkrytych na nowo. Techniczne przełomy są przeoczane, a patenty zapominane. A jeśli zatarte ścieżki są naprawdę wartościowe, ktoś z czasem znów je przeciera metodą prób i błędów. Weźmy teorię fal elektromagnetycznych Maxwella. Stała się ona podstawą całej elektroniki bezprzewodowej, od telewizji po internet i GPS. James Clerk Maxwell opublikował swoje pisma w latach 60. i 70. XIX w., ale przeobrażenie jego teorii w produkt rynkowy wymagało wielu lat rozwoju teorii i postępu w badaniach materiałowych. Inne wynalazki nie rozwinęły się zgodnie z przewidywaniami – albo powoli traciły znaczenie, albo trafiły do koszyka z etykietą „niespełnione obietnice".

Co się do nich zalicza?

Rozszczepienie jądrowe i energetyka atomowa. To dla mnie sztandarowy przykład „udanej porażki". Zdaję sobie sprawę, że gdy na gwałt szukamy sposobów uniezależnienia się od węgla i ropy, ten pogląd może wydawać się kontrowersyjny. Choć oparta na rozszczepieniu technologia została wdrożona komercyjnie, a obecnie na świecie działa ponad 400 reaktorów, to jej udział w wytwarzaniu energii jest niski w stosunku do oczekiwań z połowy XX w. W obecnej dekadzie udział energetyki jądrowej w całej komercyjnej produkcji elektryczności wynosi ok. 10 proc. A na początku lat 50. niektórzy eksperci głosili, iż prąd wytwarzany w elektrowniach jądrowych będzie na tyle tani, że nie będzie sensu mierzyć jego zużycia!

Problemy ujawniły się z czasem. Przede wszystkim ogromne koszty: nie tylko budowy, bezpieczeństwa, lecz także wycofania reaktora z eksploatacji i składowania radioaktywnych odpadów. Projekt reaktora powielającego, z którym wiązano wielkie nadzieje, zakończył się klęską, głównie z powodu problemów technicznych i niebotycznych kosztów. Ostatnio wiele mówi się o małych reaktorach modułowych, ale jedynym rozsądnym wyjściem jest przesiewać obietnice przez gęste sito i czekać na konkretne wyniki.



Václav Smil (ur. 1943 r.), czesko-kanadyjski naukowiec, jeden z najwybitniejszych analityków procesów produkcji i zużycia energii, ewolucji technologii oraz długofalowych przemian cywilizacyjnych, znany z bezkompromisowego, opartego na danych podejścia do granic wzrostu.

Ale czy w kapitalizmie nie przesądza o wszystkim czynnik rynkowy?

Wiele nieskomplikowanych innowacji, np. rzepy, sprowadza się do atrakcyjnego, a przy okazji bardzo dochodowego gadżetu. Są też wynalazki oparte na latach badań podstawowych, zwłaszcza w medycynie. Te z kolei są bardzo drogie i wymagają czasu. To dwa zupełnie różne światy, ale zarówno jedne, jak i drugie okazują się potrzebne. Nie wystarczy zatem zaspokoić rynkowej niszy, by osiągnąć komercyjny sukces.

A jakich wynalazków naprawdę potrzebujemy?

Powszechnie się uważa, że zbawi nas elektronika: autonomiczne samochody, samoloty bez pilotów albo możliwość przeniesienia swojego mózgu do chmury, żebyśmy „żyli wiecznie". Wszystko to bzdury. Dużo bardziej pożytecznym podejściem jest ulepszenie tego, co już mamy. Gdyby np. podstawowe zboża, jak pszenica, kukurydza czy ryż, zachowywały się jak rośliny strączkowe i zaspokajały większość swojego zapotrzebowania na azot poprzez symbiozę z bakteriami, bez konieczności stosowania dużych dawek nawozów sztucznych, zwiększylibyśmy plony, oszczędzając ogromne ilości energii i zmniejszając zanieczyszczenie środowiska.

Badania nad wiązaniem azotu prowadzone są od dawna, niektóre firmy wdrażają je nawet komercyjnie, choć na małą skalę. Z dekady na dekadę jesteśmy coraz bliżej celu, ale niestety to „bliżej" wciąż wymyka się nam z rąk. Musimy się pogodzić z faktem, że nie wszystkie nasze ambicje i wymarzone technologie się zmaterializują. Droga postępu usiana jest porażkami i połowicznymi sukcesami. Czasami nawet jeśli udaje się osiągnąć sukces, to jego skutek bywa inny, niż zamierzaliśmy.

Czy sposobem na przezwyciężenie technologicznej stagnacji nie jest inwestowanie w badania podstawowe?

Każdy mądry rząd powinien wiedzieć, że to fundament wiedzy, postępu i długofalowego rozwoju. Niestety są one coraz droższe, coraz bardziej skomplikowane, a ich rezultaty – niepewne. Innej drogi jednak nie ma. Wynalazki i innowacje zawsze wymagały wysiłku okupionego dużym ryzykiem. ■

© MICHAL CIZEK/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl e94e67b4f3



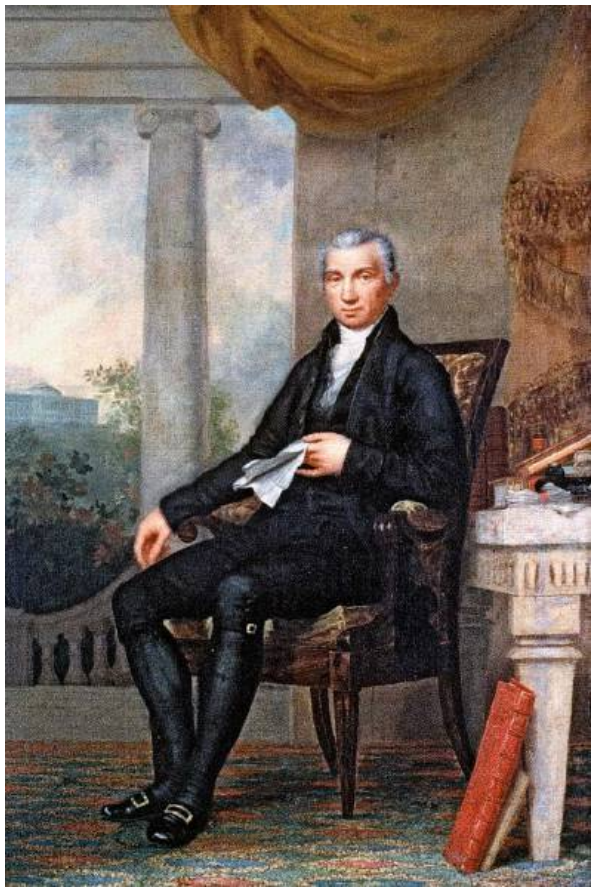

Od lewej: **karykatura Stanów Zjednoczonych postępujących według doktryny Jamesa Monroego i portret pomysłodawcy tej doktryny, piątego prezydenta USA.**

Wielkie podwórko

MATEUSZ MAZZINI

Donald Trump odsłonił karty – chce, by jego Ameryka dominowała nad półkulą zachodnią, nie północną.

Komentarze po opublikowaniu nowej amerykańskiej Narodowej Strategii Bezpieczeństwa (ang. *The US National Security Strategy*, NSS) niemal jednogłośnie porównują ją do XIX-wiecznej doktryny Monroego, czyli waszyngtońskich ambicji zapanowania nad Ameryką Łacińską. Szokujące jest to, jak niewielu analityków wyłapało różnice między tymi dwoma projektami. Mało tego, w pierwszych dniach 2026 r. sam amerykański prezydent, przemawiając ze swojej posiadłości w Mar-a-Lago po aresztowaniu i wywiezieniu do USA wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro, przechrzcił ową doktrynę na „Donroe". Udowodnił tym samym, że chciałby cofnąć geopolityczny, ekonomiczny i społeczny zegar o niemal dwa stulecia (doktryna została oficjalnie ogłoszona w 1823 r.). Umknął mu fakt, że świat, a przede wszystkim układ sił na nim, wygląda zupełnie inaczej. Inni gracze nie mają ochoty rezygnować ze zdobyczy ostatnich 200 lat, co byłoby konieczne, żeby serce całej półkuli rzeczywiście biło w Białym Domu.

Kiedy James Monroe, raptem piąty prezydent Stanów Zjednoczonych, ogłaszał plan dominacji nad kontynentami amerykańskimi, ich polityczna mapa wyglądała zupełnie inaczej. Większość krajów Ameryki Łacińskiej była zaledwie

© BE&W (2)

eprasa.pl e94e67b4f3

kilkuletnimi republikami. Latynoameryka przypominała rzekę lawy, gorącej od politycznych i militarnych wybuchów, daleką od zastygnięcia. W miarę uregulowane granice miały Argentyna, Chile i Meksyk, choć to nie uchroniło ich od wojen w następnych dekadach. Dzisiejsze Peru i Boliwia pozostawały jeszcze hiszpańskimi koloniami, tak samo Kuba. Brazylia dopiero co wyzwoliła się spod portugalskiego panowania, Haiti po uzyskaniu niepodległości w 1804 r. zmagało się z nieustającymi rebeliami. Kraje Ameryki Centralnej stanowiły jednolity organizm państwowy funkcjonujący w formie federacji. Żył jeszcze Simón Bolívar, dzisiaj zawłaszczony jako patron marksistowskiej rewolucji w Wenezueli, wówczas prawdopodobnie najbardziej popularny człowiek na kontynencie. Zmarł siedem lat po ogłoszeniu doktryny Monroego, ale w chwili jej publikowania nadal wierzył w swój centralistyczny, utopijny sen stworzenia jednego potężnego państwa latynoamerykańskiego, zajmującego większość kontynentu i stanowiącego przeciwwagę dla mocarstw europejskich i rosnącej siły USA.

Same Stany Zjednoczone były zupełnie inne niż teraz. Nie można było ich jeszcze nazwać mocarstwem dwóch oceanów, bo dostęp do Pacyfiku Biały Dom uzyskał kilka lat wcześniej, na północnym zachodzie, gdzie dziś znajdują się stany Waszyngton i Oregon. Zachodnie połacie kraju były w zdecydowanej większości niezamieszkane i ogarnięte bezprawiem. Przede wszystkim jednak, co niedawno przypomniał prof. Daniel Drezner z bostońskiej Fletcher School of International Affairs na Tufts University, Amerykanie posiadali bardzo ograniczone zasoby morskie. Nikt wtedy nie rozpatrywał Stanów Zjednoczonych nawet w roli pretendenta do światowego mocarstwa.

Dziennikarz stacji CNN Fareed Zakaria zwrócił uwagę, że w czasie prezydentury Monroego Stany Zjednoczone odpowiadały za nieco ponad 2,4 proc. światowego PKB – w porównaniu z dzisiejszymi 26 proc. według Banku Światowego. Gdyby Monroe chciał naprawdę wyegzekwować postanowienia swojej doktryny, nie byłby w stanie tego zrobić, bo nie miałby czym odstraszać Europejczyków. Co więcej, w ustanowieniu porządku hemisferycznego kluczowa była wzajemna percepcja. Dzisiaj, po kilku dekadach brutalnych interwencji, wspierania dyktatur i obalania demokratycznie wybranych progresywnych rządów na kontynencie latynoamerykańskim istnieje spora grupa wyborców otwarcie niechętnych wobec Amerykanów pozostających symbolem imperializmu i neokolonializmu. Wówczas Waszyngton nie miał jeszcze takiej łatki i mógł naprawdę marzyć o tym, że Europejczyków odstraszy, a nowe narody Ameryki Łacińskiej sobie zjedna.

To właśnie o odstraszanie wtedy chodziło. Półkula zachodnia była polityczną ziemią niczyją. Już nie europejską, jeszcze nie własną ani nie zdominowaną przez Stany Zjednoczone. Jej los pozostawał kwestią otwartą – i o to Amerykanom chodziło. Doktryna zakładała, że Europa ma przestać mieszać się w sprawy obu Ameryk, a w zamian za to Stany Zjednoczone nie będą się angażować w konflikty na Starym Kontynencie. To już pierwszy punkt, który odróżnia Monroego od Trumpa. NSS jednoznacznie bowiem pokazuje, że obecnej administracji na Europie zależy bardzo mocno. Mieszać się zamierzają jak najbardziej, choć nie w wojny, lecz w wybory. Bez względu na to, czy realne motywacje są ideologiczne, kulturowe czy strategiczne, Europa ma być suwerenna, silna, zdolna do walki, ale nie niezależna, tylko zbudowana na amerykańskie podobieństwo. Oraz realizująca wszystkie, nawet strategicznie mało sensowne zachcianki Trumpa, jak przejęcie Grenlandii – politycznie europejskiej, terytorialnie bliższej Stanom Zjednoczonym, ze sporą częścią społeczeństwa marzącą o całkowitej suwerenności.

Paradoksalnie można więc powiedzieć, że Ameryka Łacińska i Europa przez 200 lat zamieniły się miejscami w strategicznym myśleniu Białego Domu. W czasach Monroego Waszyngton próbował wmówić reszcie półkuli, że ma z nią silny wspólny mianownik, czyli niechęć do europejskiego kolonializmu. Dlatego Meksyk, Kolumbia czy później Peru i Mezoameryka miałyby się stać strefą wpływów USA jako odpowiedź na stary, umierający porządek kolonialnych imperiów. Tak samo Trump i jego ludzie zachowują się dziś wobec Europy, ich zdaniem będącej reliktem czasów minionych.

A co z Ameryką Łacińską? Teoretycznie sprawa jest jasna, Biały Dom chce ją mieć pod kontrolą. Jeśli bowiem wczytać się dokładnie w 33-stronicowy dokument strategiczny – złożony bardziej z publicystycznych tez niż realnych celów twardej polityki – można zauważyć, że bezpieczeństwo jest postrzegane nie tyle w kategoriach militarnych, co gospodarczych, migracyjnych i kulturowych. Trump uważa na przykład, że Europa nie jest w stanie bronić się sama przed zewnętrzną agresją, bo wpuściła na swoje terytorium zbyt wielu nielegalnych migrantów, pozwalając przy tym na rozpasanie społeczne i poluzowanie norm. Z tego też powodu ogarnęła ją stagnacja gospodarcza. Tekst NSS brzmi, jakby amerykańska administracja chciała przed takim losem uchronić swój kraj, ale też całą półkulę, dlatego zamierza zdominować Latynoamerykę także gospodarczo, technologicznie, handlowo i migracyjnie.

To też wycieczka do przeszłości, bo w czasach Jamesa Monroego nie było przecież prawa międzynarodowego, organizacji międzynarodowych zrzeszających państwa z całego świata. Stosunki międzypaństwowe, jak opisał to niedawno Robert Kagan, znany neokonserwatywny publicysta, były w tamtych czasach „normalne" – w takim znaczeniu, że podlegały nieustannym rewizjom. Nie istniały długotrwałe, zinstytucjonalizowane sojusze, partnerów zmieniało się z roku na rok, w zależności od interesów i układu sił, które też ulegały fluktuacjom. Trump już w dużym stopniu do takiego stanu rzeczy wrócił, próbując wysadzić w powietrze NATO i mówiąc dziennikarzom „New York Timesa", że „prawo międzynarodowe jest mu niepotrzebne". Niespecjalnie zresztą przejmuje się legitymizacją demokratyczną, bo wygrażał również przywódcom Meksyku i Kolumbii wybranym, bądź co bądź, w powszechnych i uczciwych wyborach.

Co to oznacza w praktyce? Trump nawiązuje bardziej do Theodore'a Roosevelta niż do Monroego, bo to Roosevelt dodał do doktryny z 1823 r. zapis o prawie Stanów Zjednoczonych do interwencji militarnej w regionie w przypadku zagrożenia interesów Waszyngtonu. Podobnie jak Trump dzisiaj, wówczas prezydent USA groził nie tylko sąsiadom z południa, ale też tym z północy. Znana historyczka prof. Margaret MacMillan, z pochodzenia Kanadyjka, właśnie zachowanie Roosevelta, zagrażającego kanadyjskiej suwerenności na początku XX w., ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ przywołuje jako ostatni – przed Trumpem – moment w historii, kiedy Kanada musiała mierzyć się z ryzykiem natury egzystencjalnej.

Roosevelt dawał sobie pełne prawo do egzekwowania wpływów również militarnie, zwłaszcza w Ameryce Centralnej i w basenie Morza Karaibskiego. Czyli dokładnie tam, gdzie teraz Trump utrzymuje mniej więcej 10 proc. siły rażenia amerykańskiej marynarki, próbując eliminować rzekome kutry przemytników narkotyków za pomocą myśliwców, fregat, a nawet lotniskowca USS „Gerald Ford". Nie jest wcale powiedziane, że ten odsetek się nie zwiększy, bo amerykańska administracja wobec Wenezueli zachowuje się, jak gdyby nie miała żadnego planu na rozwój sytuacji. Sam prezydent przyznał, że „zarządzać" krajem może trzeba będzie przez długie lata, a jeśli ustanowiona w roli namiestnika prezydent Delcy Rodriguez zerwie się z łańcucha, możliwe, że do Wenezueli trafią amerykańscy żołnierze. I będzie jak w XIX w., a nawet jak wiele razy w XX w.

Przekaz płynący zarówno z samej NSS, jak i ruchów Trumpa w polityce zagranicznej wobec tego regionu jest jasny: ideologicznych sprzymierzeńców czekają nagrody. A ci, którzy stoją po drugiej stronie barykady, będą systematycznie karani. Oczywiście tak długo, jak prezydent USA będzie nimi zainteresowany. Wystarczy bowiem przeanalizować przykłady. Z jednej strony – tuż przed częściowymi wyborami do argentyńskiego parlamentu Trump wsparł tamtejszego prezydenta Javiera Mileia kroplówką finansową 20 mld dol., żeby rynki finansowe przychylniej patrzyły na jego reformy gospodarcze. Z drugiej – wysyłał poważne groźby pod adresem brazylijskiego wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza słynnego sędziego Alexandre de Moraesa, który w pierwszej połowie 2025 r. stawiał Jaira Bolsonaro, sojusznika Trumpa, na ławie oskarżonych za próbę zamachu stanu. Pogróżkom nie było końca: cofnięcie wizy, ingerencja w wybory, cła na brazylijskie produkty spożywcze (choć z Brazylijczykami Amerykanie mają akurat nadwyżkę handlową). Tymczasem Bolsonaro siedzi w areszcie prewencyjnym, a jego obrońców z MAGA ani widu, ani słychu. Zamilkł Marco Rubio, zamilkł Elon Musk, nawet sam Trump, który dodatkowo zdjął cła dosłownie dzień przed zamknięciem Bolsonaro, żeby ulżyć coraz bardziej zubożałym własnym wyborcom.

Zestawienie tych dwóch historii najlepiej ilustruje tezę, że obecnie w amerykańskiej polityce dominuje doktryna Trumpa, którą można zredukować do jednego zdania: amerykańska dyplomacja robi dzisiaj to, co Trump uznaje za słuszne. A to może być naprawdę wszystko.

Amerykański prezydent będzie regularnie wchodził w rolę pałkarza, wypisując w mediach społecznościowych, kogo lubi, a kogo nienawidzi. W tej drugiej grupie prym wiedzie dziś prezydent Kolumbii Gustavo Petro, pierwszy lewicowiec na tym stanowisku w historii kraju, przez Biały Dom pozbawiony wizy i prawa wstępu na terytorium USA. Petro jest jednym z najbardziej propalestyńskich polityków na świecie, uważa, że Trump wspiera izraelskie ludobójstwo w Gazie, nie mówiąc o jego krytyce taktyki wobec Wenezueli.

Kolumbia była pierwszym krajem, który w drugiej kadencji Trumpa został obłożony nowymi cłami. Dzisiaj na nikim nie robi to wrażenia, w lutym 2025 r. było relatywną nowością i wywołało falę krytycznych komentarzy. Co jest kolejnym dowodem na to, jak szybko i łatwo wszyscy normalizujemy zmiany dziejące się właśnie w stosunkach międzynarodowych. Będą więc Amerykanie raz na jakiś czas wytykać palcem a to Petro, a to Lulę w Brazylii, a to grozić meksykańskiej prezydent Claudii Sheinbaum interwencją militarną. Nie zawsze będzie się to przekładało na równie nienawistne działania w praktyce. Głównie dlatego, że zarówno sama NSS, jak i ogólna polityka zagraniczna Trumpa to bardziej myślenie życzeniowe niż realny opis rzeczywistości. A sprawczość USA, zwłaszcza na półkuli zachodniej, jest znacznie mniejsza niż kiedyś. I znacznie mniejsza niż wydaje się Trumpowi.

Gustavo Petro może czuć się relatywnie bezpieczny, bo w tym roku i tak czekają go wybory, które zapewne przegra, a na jego miejscu pojawi się prawicowy przywódca, chętny do współpracy z Białym Domem. Sheinbaum jest w gorszej sytuacji, gdyż w oczach Trumpa radzi sobie gorzej z kartelami i przemytem narkotyków. Nikt jednak nie wydaje się bliższy stania się kolejną ofiarą neoimperializmu niż Kuba, kraj walący się od środka gospodarczo i pozostający symbolicznie wciąż ważnym tematem dla sporej części republikańskiego elektoratu. Obalenie komunizmu na wyspie, co się nie udało ani Kennedy'emu, ani Reaganowi, ani Bushom, byłoby dla Trumpa triumfem epokowym.

W tym kontynentalnym równaniu przez ostatnie kilkanaście lat pojawiła się jednak zmienna, której wcześniej tu nie było. Chodzi o dominację Chin w handlu bilateralnym z krajami Ameryki Łacińskiej. Już teraz, jak wynika z analiz australijskiego think tanku Lowy Institute, Chiny są dominującym partnerem handlowym dla prawie całego kontynentu (USA utrzymują prymat w Meksyku, Kolumbii, Paragwaju i Gujanie). Jeszcze ćwierć wieku temu nie było w tej części świata ani jednego państwa, które handlowałoby z Chinami bardziej intensywnie niż ze Stanami Zjednoczonymi. Według danych przytoczonych przez magazyn „Americas Quarterly" wartość handlu z Pekinem już teraz wynosi 518 mld dol. rocznie, a do 2030 r. osiągnie poziom 700 mld dol. Liczby te rosną sukcesywnie rok do roku od 2001 r., kiedy to Chiny zostały wpuszczone do Światowej Organizacji Handlu.

Narodowa Strategia Bezpieczeństwa USA mówi o „zwalczaniu nadmiernej dominacji zewnętrznych sił" na całym świecie. Przy odrobinie dobrej woli można założyć, że pod tym enigmatycznym stwierdzeniem kryje się chęć walki również z chińską ekspansją handlową. Nie wiadomo, jak Biały Dom chciałby to zrobić. Nigdzie nie została przedstawiona recepta na odzyskanie rynków na półkuli zachodniej. Sama presja celna na pewno do tego nie wystarczy, poza tym Chińczycy weszli już głęboko w strukturę tych gospodarek i społeczeństw, budując i zarządzając infrastrukturą, a nawet częścią sektora usług. Tymczasem Waszyngton niewiele swoim latynoskim partnerom oferuje, zamiast tego chaotycznie wymachuje w ich kierunku kijem i grozi interwencjami militarnymi w starym stylu.

Przyczyny takiego stanu rzeczy mogą być różne, ale najważniejsza jest widoczna gołym okiem. Jak trafnie zauważył na niedawnej konferencji fundacji ERSTE Banku w Wiedniu politolog Iwan Krastew, nikt nie wie, jaka jest polityka Trumpa wobec Chin. Co za tym idzie, nie wiadomo, jaka jest jego polityka wobec jakiegokolwiek innego państwa na świecie. Także wobec Ameryki Łacińskiej. I to jest prawdziwa doktryna Donroe.

MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl e94e67b4f3

20 stycznia minęło 200 lat od śmierci Stanisława Staszica. Czy posłowie, wybierając go na patrona 2026 r., wiedzieli, kogo chcą wspominać? Księdza czy antyklerykała? Demokratę czy antysemitę?

Cienie oświeconego

MARCIN WODZIŃSKI



Stanisław Staszic w domu, grafika Antoniego Pawlikowskiego

© POLONA

Stanisława Staszica zwykle pokazuje się jako wybitnego publicystę, naukowca, filantropa i męża stanu. W opinii publicznej stał się uosobieniem polskiego oświecenia, dość bezrefleksyjnie wielbionym jako ojciec założyciel polskiej geologii i przemysłu włókienniczego, fundator Towarzystwa Przyjaciół Nauk, autor najważniejszych prac politycznych upadającej Rzeczpospolitej, wielki edukator i reformator marzący o powszechnej równości. To wszystko prawda, ale Staszic miał też drugie oblicze, które wstydliwie się przemilcza. Niezbyt piękne i niepasujące do pomnika.

Ksiądz antyklerykał

Urodzony w 1755 r. jako syn burmistrza Piły, w stanowym państwie polsko-litewskim miał ograniczone ścieżki awansu. Posłuszny woli matki wybrał instytucję, która przed mieszczańskim synem otwierała stosunkowo najszersze możliwości kariery. Po ukończeniu seminarium duchownego w Poznaniu przyjął święcenia i został księdzem. Wkrótce wystarał się też o dochody z kolegiaty szamotulskiej, co dawało mu skromną samodzielność finansową.

Nie planował jednak poświęcić się kapłaństwu i wkrótce je porzucił. Na decyzję mógł mieć wpływ jego radykalny antyklerykalizm. Inspirowany poglądami Davida Hume'a, jako źródło niesprawiedliwości społecznej wskazywał spisek wojowników i kleru, rzucając ciężkie oskarżenia na funkcjonariuszy oficjalnych religii. Konsekwentnie optował też za odebraniem Kościołowi przywilejów finansowych, wpływu na instytucje edukacyjne i wychowanie młodzieży. To prowadziło do konfliktów z hierarchią kościelną.

Antyklerykalizm nie oznaczał jednak wrogości wobec religii. Staszic wypowiadał się pozytywnie o roli religii i pozostał katolikiem, choć niewykluczone, że pod pojęciem tym rozumiał raczej organizację społeczną niż metafizyczną wiarę. I choć współcześni mu pisali o nim jako księdzu „prawie renegacie", to do końca życia chadzał w wytartej sutannie, a do trumny wysłannicy biskupa ubrali go w żałobny ornat.

Znacznie bardziej niż sukienka duchowna interesowała go kariera świecka. W 1779 r. udało mu się wyjechać na dwa lata do Paryża i podjąć studia na Collège de France, w centrum ówczesnego życia naukowego i myśli oświeceniowej. Poznał m.in. najwybitniejszych encyklopedystów, a zdobyte tam doświadczenia ukształtowały go na resztę życia. Późniejsze wyprawy w Karpaty i fundamentalne dla polskiej geologii odkrycia były praktycznym zastosowaniem tego, czego nauczył się od wybitnego przyrodnika i encyklopedysty Georges'a Buffona, spędzając z nim dziesiątki godzin na rozmowach, a potem tłumacząc na polski jego „Epoki natury".

Kochanek i oszust?

Po powrocie do Polski Staszic szybko ujawnił jeden ze swych licznych talentów. Jak pisano, umiał i lubił podobać się kobietom, w ten sposób zjednując sobie ich względy. Jedną z oczarowanych była Konstancja Zamoyska z Czartoryskich, żona sławnego, ale dużo od niej starszego ekskanclerza Andrzeja Zamoyskiego i matka trojga dzieci, do których edukowania zatrudniła Staszica. Jedno z dzieci sugerowało, że Staszic był nie tylko ich nauczycielem, ale i kochankiem matki, i że w ten sposób osiągnął despotyczny wpływ na cały ich dom. Wydaje się to o tyle ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ prawdopodobne, że Staszic nie krył się ze swoim upodobaniem do płci przeciwnej.

Kiedyś zganiony za to, że zbyt frywolnie poczyna sobie z kobietami, odrzekł, że jako ksiądz ślubował przecież celibat, ale nie wstrzemięźliwość. W późniejszych latach śledzący go agenci carskiej policji wyśmiewali się z jego przebrania – peruki i dziwacznych bokobrodów – które nie maskowały jego tożsamości w czasie regularnych wypraw do domów publicznych. A jako urzędnik ministerstwa edukacji szczególnie interesował się egzaminami młodych – koniecznie urodziwych – aktoreczek.

Niestety, zamiłowaniu do kobiet nie dorównywały talenty edukacyjne. Młodzi Zamoyscy wspominali Staszica jako nauczyciela apodyktycznego, porywczego, grubiańskiego, który nie potrafił przekazywać wiedzy, za to z lubością bił i poniżał. Niechęć do nauczyciela zaowocowała w późniejszych latach podejrzliwością, a ostatecznie – już po śmierci matki – oskarżeniem o próbę oszustwa.

Sprawa poszła o kwit wystawiony Staszicowi, na którym cyfra 4 została przerobiona na 6. Staszic twierdził, że zrobiła to sama pani Zamoyska, kiedy do kwoty 4 tysięcy dopożyczyła kolejne 2 tysiące. Wychowankowie podejrzewali go jednak o fałszerstwo, a liczne finansowe machinacje Staszica, wielkie kwoty wyproszone u Zamoyskiej i jego legendarna wręcz zapobiegliwość uprawdopodobniały to podejrzenie. Staszic nie miał na swą obronę nic poza przysięgą.

Sprawa została ostatecznie załagodzona, gdy teść najmłodszego z Zamoyskich wymusił wycofanie oskarżenia. Jak mówił, jeśli przegrają, proces okryje ich hańbą. A jeśli wygrają, co ludzie będą mówili o wychowankach oszusta?

Przestrogi dla Polski

Będąc w domu Zamoyskich, Staszic odniósł jednak również swoje największe sukcesy. W 1787 r. wydał żywo dyskutowane „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego", a trzy lata później, już w czasie Sejmu Czteroletniego, „Przestrogi dla Polski", które stały się bodaj najważniejszym projektem reformy Rzeczpospolitej i w dużej mierze ukształtowały postawy polityczne polskiego oświecenia. Pozbawiony zdolności dydaktycznych i krasomówczych, Staszic okazał się genialnym pisarzem.

Systematycznie wyłożył w „Przestrogach" zgubny wpływ przywilejów szlacheckich, konieczność wyzwolenia mieszczaństwa i chłopów, zniesienia ograniczeń feudalnych i wprowadzenia silnych instytucji nowoczesnego państwa. Program wyprowadzony z fundamentalnego dla oświecenia założenia o prawach naturalnych był w kolejnych dekadach uznawany za pierwszy antyfeudalny projekt emancypacyjny i akt fundacyjny polskiej myśli demokratycznej.

Staszic był rzeczywiście konsekwentnym obrońcą grup nieuprzywilejowanych i ważną inspiracją dla kolejnych pokoleń. A program emancypacji mieszczaństwa i chłopów nie tylko głosił w pismach programowych, ale też wcielał w życie. Słynne stało się utworzone staraniem Staszica Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie, które na jego ziemi powołało fundację nadającą chłopom prawo do zajmowanych gruntów. Podobnie działał też później jako wysoki urzędnik Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego.

Konsekwentne przenoszenie oświeceniowych pryncypiów do polskiej debaty politycznej, w tym przede wszystkim program emancypacji, to chyba najważniejsza spuścizna Staszica.

Oświeceniowa emancypacja w wydaniu Staszica była jednak pełna paradoksów. Ze wspomnianym już stosunkiem do kobiet dobrze koresponduje jego dość bezwzględne podejście do ich praw reprodukcyjnych. Jak wykładał, kobieta powinna być pozbawiona prawa wyjazdu z kraju „dopokąd nie wyda dobrych obywatelów swojej Ojczyźnie, dopokąd się edukacja jej dzieci nie skończy".

Wyrażała się w tym jego ogólniejsza i dość typowa dla oświecenia troska o prawa społeczności jako całości, ale nie poszczególnych jego jednostek. Bo ludzi chyba nie lubił. Jego bliski przyjaciel Kajetan Koźmian twierdził wręcz, że „mało było ludzi, których zdań i czynów z podejrzliwością nie badał i o osobiste widoki nie posądzał". Z lubością doprowadził do ruiny rodzinę strażnika, który obił go za chodzenie po zakazanych ścieżkach. Jak sam przyznał, nie mógł znieść myśli, że prosty strażnik ubliżył godności wysokiego urzędnika państwowego. Nie miał też litości dla przygodnie uwięzionych dzieci, które kilka dni głodził, by je później wywieźć do lasu i kazać wyżywić się w dziczy samodzielnie. Eksperyment miał potwierdzić jego założenia co do natury ludzi pierwotnych.



© POLONA

Szkoła Akademiczno-Górnicza w Pałacu Biskupów Krakowskich w Kielcach założona z inicjatywy Staszica

Jednocześnie jednak stosunek do kobiet pokazuje, jak bardzo poglądy Staszica wymykają się jednoznacznym klasyfikacjom. Jako jeden z pierwszych polskich autorów pisał o konieczności systematycznej ich edukacji oraz o dokonującym się „gwałcie praw natury" na ich wolności. Jak twierdził, historycznie „najpierwszym niewolnikiem była żona", pozbawiona wolności osobistych i praw do własnego majątku, a ta niesprawiedliwość była początkiem wszelkiego dalszego wyzysku. Trudno nie dopatrzyć się w tych słowach jasnej krytyki patriarchatu. A co ważniejsze, Staszic nie tylko opisywał historyczny fenomen, krytykując pozbawienie kobiet prawa do dziedziczenia, ale też wyciągał z tego konkretne wnioski: gdy trafił do ministerstwa, zabiegał o ustawę, która miała to zmienić.

Zwolennik getta

Podobnie paradoksalne były poglądy Staszica na tzw. kwestię żydowską. Już za życia opowiadano piękne historie o jego pomocy okazywanej żydowskim kupcom w Hrubieszowie czy o wsparciu wybitnego konstruktora Abrahama Sterna. Staszic

eprasa.pl e94e67b4f3

uważał się za człowieka pozbawionego przesądów, bezstronnego i nieskazitelnie sprawiedliwego. Jednocześnie jednak pisał o Żydach jako „zarazie" i „letniej i zimowej szarańczy", a wśród trzech największych wskazanych przez niego problemów Polski, tj. elekcyjnego tronu, słabej armii i napływu Żydów, tych ostatnich uważał za nieszczęście największe. Twierdził wręcz, że od upadku Rzeczpospolitej w 1795 r. trwa walka z Żydami o to, „czy się ostatecznie Żydzi przemienią w Polaków, czy Polacy w Żydów". Ciekawe, czyje zwycięstwo ogłosiłby dwieście lat później, w Roku Staszicowskim.

Zapobiec żydowskiemu zagrożeniu miało utworzenie w każdym polskim mieście getta. Uwięzieni w nich Żydzi, odizolowani od Polaków, mieliby się polonizować, a zamiast pasożytniczego handlu zająć użytecznym rzemiosłem i rolą. Proponował również ograniczanie ich rozwoju demograficznego. Jak pisał, Żydzi „mają doskonalsze urządzenie familii", co jest przyczyną wysokiej dzietności. A skoro Polacy nie mogą Żydów doścignąć w tych cnotach, należy doprowadzić do tego, by i Żydzi się tych zalet wyzbyli.

Również w tej materii poglądy Staszica okazały się prekursorskie. Antyżydowskie obsesje demograficzne i plany eliminacyjne żyły w polskiej myśli politycznej następnych pokoleń, często z bezpośrednim odwołaniem do publikacji Staszica.

Co zostało?

Zasadnicze pytanie brzmi, czy i w jakiej mierze jesteśmy dziećmi polskiego oświecenia, tak jak je ukształtował jego najwybitniejszy przedstawiciel. Co – dobrego i złego – uznać możemy za spadek po Staszicu? Zdołał przełamać ograniczenia mieszczańskiego pochodzenia, osiągnąć najwyższe godności państwowe i pozycję jednego z najważniejszych ideologów polskiego oświecenia. Pozostawił po sobie przełomową publicystykę polityczną, ważne prace geologiczne, projekty rozwoju przemysłu i górnictwa, prekursorskie inicjatywy spółdzielcze i edukacyjne, w tym Szkołę Akademiczno-Górniczą w Kielcach. Staszic był niewątpliwie wybitnym myślicielem i politykiem, ale dość przykrym człowiekiem.

Wybaczano mu słabości: próżność i samouwielbienie, chorobliwe skąpstwo czy przysłowiowe wręcz nudziarstwo. Śmiano się z tego, że jako urzędnik dwóch ministerstw najpierw pisał z ministerstwa edukacji podanie do siebie samego w ministerstwie spraw wewnętrznych, a potem w tej drugiej roli oficjalnie podanie odrzucał. Ale czy była to tylko słabostka? Czy nie przemilczano w ten sposób jego obsesji oświeconego państwa totalnego?

Przy okazji przemilczano też coś jeszcze. Paradoksy mizoginicznych czy antysemickich fantazmatów to nie margines, a sedno polskiej myśli oświeceniowej, której Staszic był najwybitniejszym, ale nie wyjątkowym przedstawicielem. Bezwarunkowe wsparcie dla idei emancypacyjnych, wiara w prawa naturalne i równość ludzi godziły się z dyskryminacyjną ksenofobią, intelektualnym eskapizmem czy obsesyjnymi lękami społecznymi. A one karmiły w następnych pokoleniach tych, którzy na fobiach budowali i do dziś budują swoje polityczne kariery.

Być może więc, myśląc o dziedzictwie Staszica, uznać należy, że „my z niego wszyscy". Na Staszica powołują się zarówno ideologie emancypacyjne, liberalne i demokratyczne, jak i nacjonalistyczne, autorytarne czy rusofilskie i panslawistyczne. I wszyscy mają rację.

MARCIN WODZIŃSKI

REKLAMA



Za książki o najnowszej historii Polski wydane w 2025 roku

• prace naukowe
• popularnonaukowe
• źródła • pamiętniki
• debiuty w pracach naukowych i popularnonaukowych

Zapraszamy wydawnictwa, instytucje naukowe i autorów do zgłaszania książek na adres: **nh@polityka.pl**

Prosimy o przesyłanie po 2 egzemplarze każdej zgłoszonej pozycji na adres redakcji:
Tygodnik POLITYKA, ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa,
z dopiskiem Nagrody Historyczne Polityki.

Regulamin na **www.polityka.pl/nagrodyhistoryczne**

Na zgłoszenia czekamy
do 30 stycznia 2026 r.

Mecenas Nagród Historycznych POLITYKI:

Dantex

zaks
sprzyjamy wyobraźni

ABUR
Systemy automatyki

eprasa.pl e94e67b4f3

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)



film

W potokach łez 5/6

Hamnet, reż. Chloé Zhao, prod. Wielka Brytania, 125 min, w kinach od 23 stycznia

Nawet wytrawni szekspirolodzy mogą się poczuć zaskoczeni ścieżką interpretacyjną zaproponowaną w „Hamnecie". Uznawany za jednego z oscarowych faworytów, niezwykły film Chloé Zhao jest oparty na głośnej książce Maggie O'Farrell opublikowanej na Zachodzie pięć lat temu. Najsubtelniej jak tylko się da, wywołując potoki łez, śledzi dzieje niezwykłej miłości Willa Shakespeare'a (**Paul Mescal**) i jego późniejszej żony Agnes (**Jessie Buckley**), którzy tracą jedynego syna Hamneta. Oprócz tego, że Hamnet i jego siostra bliźniaczka Judith urodzili się w 1585 r., i że chłopiec został pochowany 11 lat później, historycy nic więcej o jego losach nie wiedzą. Tymczasem w ujęciu reżyserki śmierć dziecka to moment największego małżeńskiego kryzysu, który stanie się impulsem do napisania arcydzieła – najsłynniejszego dramatu Szekspira o duńskim księciu dokonującym krwawej zemsty na mordercy ojca (więcej o tym w tekście na s. 76). „Hamnet" dowodzi, że ta zemsta to tylko zasłona, teatralny kostium, pod którym kryje się głęboka rana, osobista tragedia, bardzo intymny portret żałoby przeżywanej przez nieszczęśliwą parę opłakującą stratę. Siłą filmu jest sposób, w jaki autorzy pokazują, że ten sam ból może być zupełnie inaczej wyrażany. Istotne jest tu przesunięcie perspektywy. Szekspir wydaje się na ekranie figurą prawie nieobecną, niemal drugoplanową. Serce filmu bije po stronie matki Hamneta, kobiety doświadczającej rzeczywistości bardziej bezpośrednio niż jej mąż poeta. Agnes widzi rzeczy, których inni nie widzą. Odziedziczyła ten dar po swojej matce, leśnej czarownicy. Ich związek pęka, bo straumatyzowani tragedią, chociaż się kochają, nie potrafią się porozumieć. Film jest powolny, precyzyjny, kontemplacyjny i nie przekracza granicy oczywistości. Zhao ogranicza dialog do niezbędnego minimum, ważniejsza jest obserwacja delikatnych reakcji, budowanie poetyckich, przemawiających nastrojem, pełnych symboli obrazów, genialnie uchwyconych i sfilmowanych przez Łukasza Żala. Omija rafy epickiego biopiku i bajkowego pocieszania. Efekt to przejmująco wrażliwy, głęboko poruszający wizualny spektakl o tym, jak prywatny ból staje się publicznym dyskursem, o przechodzeniu żałoby, o narodzinach sztuki powstającej z tego, czego nie da się wypowiedzieć.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Brudna forsa 3/6

Łup, reż. Joe Carnahan, prod. USA, 112 min, Netflix

Grupa policjantów jedzie do domu na przedmieściach Miami, by sprawdzić donos o przechowywanej tam gotówce, która prawdopodobnie należy do kartelu narkotykowego. Spodziewają się może 300 tys. dol., znajdują 20 mln. Taka ilość pieniędzy potrafi sprawić, że znikają moralne opory, a włącza się chciwość. Na dodatek gliniarze nie będą raczej jedynymi zainteresowanymi podziałem fortuny. Przez kilkanaście lat Joe Carnahan był obiecującym reżyserem, który potrafił nadać sztampowemu kinu akcji trochę autorskiego charakteru („Na tropie zła", „Przetrwanie"). Od tamtej pory zmienił się w jednego z wielu hollywoodzkich wyrobników, którzy nieźle opanowali reguły gry, lecz ich produkcje nie wyrastają ponad przeciętność. „Łup" nie jest tu wyjątkiem: podobne filmy (z dość przewidywalnymi zwrotami akcji obowiązkowo wpisanymi w scenariusz oraz bohaterami balansującymi na granicy dobra i zła) krążą na obrzeżach gatunkowego kina przynajmniej od lat 80. Ten przynajmniej ma doborową obsadę: Matt Damon, **Ben Affleck**, Teyana Taylor (niedawno nagrodzona Złotym Globem za rolę w „Jednej bitwie po drugiej") i Steven Yeun sprawiają, że seans nie musi okazać się całkowitą stratą czasu. Brakuje mu jednak finezji, oddechu i dystansu, by zapamiętać go na dłużej.

JAKUB DEMIAŃCZUK



© AGATA GRZYBOWSKA/FOCUS FEATURES LLC, CLAIRE FOLGER/NETFLIX, ŁUKASZ BĄK, PRIME VIDEO, NATALIA KABANOW

eprasa.pl e94e67b4f3



film

Wielka przegrana 3/6

Wielka Warszawska, reż. Bartłomiej Ignaciuk, prod. Polska, 105 min, w kinach od 23 stycznia

W tej historyjce retro o mądrym i szlachetnym dżokeju z Sopotu (**Tomasz Ziętek**), który mimo przestrogi ojca kusi los i decyduje się na ryzykowną przeprawę ze stołeczną mafią ustawiającą wyścigi na torze służewieckim, wszystko toczy się zgodnie z przewidywaniami. Dwudziestolatek pracujący w padoku i marzący o ściganiu od razu zostaje mistrzem. Groźnie wyglądający gangsterzy okazują się podwórkowymi łobuzami. Skorumpowany układ daje się ograć w dziecinnie łatwy sposób. Nawet opierające się na przewidywalnych numerach komedie familijne czasami łamią stereotypy, by zaciekawiać intrygą, chociaż i tak z góry wiadomo, jak to musi się skończyć. Zapewne scenariusz „Wielkiej Warszawskiej" autorstwa Jana Purzyckiego, napisany jeszcze w innej epoce jako zwieńczenie jego „szulerskiej trylogii" („Wielki Szu", „Piłkarski poker"), takie odstępstwa od reguł zawierał. Jednak na skutek niefortunnych zmian fabularnych, łącznie z przesunięciem czasowym akcji z końca stanu wojennego we wczesne lata 90., zamiast przybliżać tę gatunkową zabawę do wrażliwości współczesnego widza, mało wciągające widowisko ląduje w krainie dawno już opowiedzianych bajek. JW

serial

Dekadę później 4/6

Nocny recepcjonista 2, twórca serii: David Farr, 6 odc., Prime Video

Powrót „Nocnego recepcjonisty", dekadę temu świetnie przyjętej ekranizacji powieści Johna le Carré, mógłby się z powodzeniem wpisać w zalewający media społecznościowe trend „2016 challenge" (więcej na s. 95). Pierwszy odcinek poprzedza streszczenie wydarzeń z poprzedniego sezonu: aktorzy, z **Tomem Hiddlestonem** i Hugh Lauriem na czele, młodsi, przystojni, luksusowe wnętrza i widoki, bondowski sznyt, happy end. Dekadę później grany przez Hiddlestone'a Jonathan Pine ma nową tożsamość, pracę na nocnej zmianie w oddziale MI6 do zdalnej inwigilacji (w hotelach) potencjalnych terrorystów oraz znękaną twarz, nerwowe tiki i koszmary senne. Witamy w roku 2026. Po przydługim wstępie akcja wkracza na właściwe tory: Pine łapie trop nowego-starego handlu bronią, rusza w pościg, znów zmienia tożsamość, manipuluje, ryzykuje życie, wokół giną ludzie. Akcja – to znak firmowy serii – często toczy się w hotelach. Poprzednio głównie w Kairze i na Bliskim Wschodzie, tym razem scenerią jest Kolumbia (duże role grają Diego Calva i **Camila Morrone**), a stawką jest kontrola nad jej bogactwami naturalnymi. Brytyjczycy zachowują się tu tak, jak gdyby czasy kolonizatorów nie były ponurą przeszłością. Niedawny rajd Trumpa na Wenezuelę dodał serialowi aktualności i ciężaru. Nowy rok zapowiada się na powrót wielu demonów sprzed lat. Trzeci sezon „Nocnego recepcjonisty" już został zamówiony.

ANETA KYZIOŁ



scena

Pod własnym ciężarem 3/6

Dorota Masłowska, **Magiczna rana**, reż. Radosław B. Maciąg, Studio teatrgaleria w Warszawie

To drugie wystawienie tomu opowiadań Doroty Masłowskiej „Magiczna rana". W krakowskim Teatrze im. Słowackiego Paweł Świątek, autor cenionych przez samą Masłowską inscenizacji: porywającego „Pawia królowej" i mniej oryginalnej „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną", postawił na opowieść kameralną, rozgrywaną w scenografii widmowego hotelu. Zdesperowane kobiety tworzyły sobie w niej ratunkowe fikcje rozpadające się pod ciężarem własnym i rzeczywistości. Reżyser warszawskiej premiery Radosław B. Maciąg dał się poznać jako autor i inscenizator realistycznego „Tęsknię za domem", zrealizowanego w Teatrze Powszechnym w Radomiu i nagrodzonego m.in. Gdyńską Nagrodą Dramaturgiczną. „Magiczna rana" w jego wydaniu łączy realizm z horrorem podkręcanym wizualizacjami tworzonymi z użyciem sztucznej inteligencji. To, co u Masłowskiej jest niedopowiedziane, balansujące na granicy znaczeń i światów, smutku i śmieszności, w Studio staje się dosłowne i wtłoczone w ramy dobrze skrojonej sztuki. Z aktorskiego zespołu z migotliwymi narracjami Masłowskiej najlepiej poradzili sobie **Maja Pankiewicz** w najbardziej poruszającej historii Gabi, która, w przeciwieństwie do innych postaci, nie chce wiele: tylko chwili spokoju, powtarzalnego rytmu, pensji pozwalającej opłacić dach nad głową, a i tak na końcu zostają jej, jak wszystkim, tylko słowa. Oraz Daniel Dobosz w opowieści barmana z przeszłością, o której bardzo chciałby zapomnieć. AK



eprasa.pl e94e67b4f3

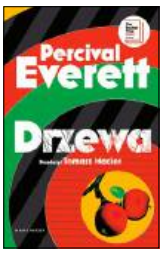

O Panie... 5/6

Percival Everett, **Drzewa**, przeł. Tomasz Macios, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026, s. 368

W niewielkim Money w stanie Missisipi dochodzi do serii makabrycznych morderstw. Miejsce zbrodni zaaranżowane jest zawsze podobnie: biały mężczyzna ma zmasakrowaną twarz, drut kolczasty na szyi, spuszczone spodnie. I nie ma jąder. Dzierży je w dłoniach czarny mężczyzna usadowiony tuż obok i równie zmasakrowany. „O Panie…" – kwitują funkcjonariusze z szeryfem na czele. Czarny, ewidentnie martwy, jakimś cudem wymyka się policji i pojawia znów w kolejnym miejscu zbrodni. Po okolicy niesie się fama o duchu i „czarnym aniele". Jakkolwiek brutalnie i surrealistycznie to wszystko brzmi, naczelny ironista Percival Everett tworzy dla wydarzeń lekkostrawną, komiczną otoczkę. Jednak humor stanowi tylko opakowanie, bo to przede wszystkim brawurowa opowieść o linczach



dokonywanych przez białych na czarnych, o niedobitkach z Ku Klux Klanu, odwecie i rasizmie, który nadal dławi Amerykę. Żeby było „śmieszniej", do sprawy w Money oddelegowano dwóch czarnych detektywów stanowych. „Mamy dwudziesty pierwszy wiek" – oznajmia jeden z nich. „Tak, cóż, powiedz to tym zjebom w czapkach Trumpa" – puentuje drugi. „Pełno tam tępych białych wieśniaków, którzy utknęli w epoce sprzed wojny secesyjnej i są żywym dowodem na to, że chów wsobny nie prowadzi do wyginięcia" – podsumowują mieszkańców Money i podobnych miejsc rozsianych po USA (czy tylko USA?). Powieść twórcy „Jamesa", świetnie przetłumaczona, opiera się na takich pełnokrwistych dialogach i gagach. Autor jakby przeczuwał, że lepiej dotrzeć z przesłaniem dosadnie niż wcale.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



W labiryncie znaczeń 5/6

Adam Wiśniewski-Snerg, **Robot**, Art Rage, Warszawa 2026, s. 432

Nie sposób nazwać Wiśniewskiego-Snerga zapomnianym klasykiem polskiej fantastyki: obok Stanisława Lema i Janusza Zajdla był najważniejszym twórcą tego nurtu w minionej epoce. Z pewnością jednak nie doczekał się należnego uznania wśród współczesnych odbiorców literatury głównego nurtu, którzy jeśli o Snergu w ogóle słyszeli, to raczej w kontekście plagiatu jego dzieł, jakiego miały dopuścić się rzekomo siostry Wachowskie, kręcąc „Matrixa". Tymczasem „Robot", debiut pisarza, wydany w 1973 r. (i wtedy był to tytuł powszechnie chwalony i komentowany, choć np. Lem podobno próbował zablokować publikację), to rzecz ze wszech miar warta przypomnienia. Z jednej strony bardzo lemowska w łączeniu elementów science fiction z rozbudowaną filozofią, z drugiej – fascynująca kinematograficznym rozmachem i wizją miasta „uprowadzonego" z Ziemi przez istoty pozaziemskie. Eksploratorem niezbadanego terytorium jest automat, który nie ma pewności, kim jest (i czy rzeczywiście jest robotem); błądzi w tajemniczych labiryntach, przyjmując kolejne role. Czytelnicy mogą czuć się równie skonfundowani, co bohater powieści, lecz gdy już proza Snerga „zaskoczy", to wdziera się w umysł na całego. „Debiut totalny" – pisał przed laty Jacek Dukaj na łamach „Nowej Fantastyki" (nowe wydanie opatrzył posłowiem); książka prowokacyjna, wywrotowa i niepowtarzalna.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Życie na miarę fikcji 4/6

Catherine Lacey, **Biografia X**, przeł. Katarzyna Makaruk, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 552

Od debiutu w 2018 r. powieścią „Nobody is Ever Missing" Amerykanka Catherine Lacey opublikowała siedem książek. Łączy je śmiałość eksperymentowania z formą. „Biografia X", pierwsza dostępna po polsku, to wciągająca, przewrotna narracja o konstruowaniu tożsamości, biograficznych tropach i poszlakach oraz związkach sztuki i życia. Tytułowa X jest wpływową artystką, performerką i nade wszystko mistrzynią kamuflażu. Jej historia opowiedziana jest z perspektywy wdowy po artystce. C.M. Lucca w geście niezgody na opublikowaną biografię X postanawia napisać wersję, „która będzie korektą". Choć X nie chciała, żeby „wtłaczano ją w ramy biografii", powodowana pragnieniem ułożenia niełatwej relacji ze zmarłą żoną narratorka wciąga nas w nurtujące ją, obsesyjne wręcz pytanie: gdzie w historii życia X „przebiega granica między faktami a fikcją?". Jest to pytanie ironiczne, bo „Biografia X" dokumentuje życie osoby, która nigdy nie istniała. Lacey z lekkością i humorem tworzy iluzję autentyczności: artystyczne kręgi Nowego Jorku wydają się realne, przypisy odsyłają do fikcyjnych źródeł, w orbicie wpływu X pojawiają się prawdziwe postaci, takie jak Susan Sontag, David Bowie, Kathy Acker, a wrażenie wiarygodności potęgują fotografie. Ważnym wątkiem jest też obraz „alternatywnej" Ameryki. Próba rekonstrukcji tajemniczego życia X przenosi nas z hiperprogresywnej Północy do ultrakonserwatywnego, pogrążonego w teokratycznym reżimie Terytorium Południowego. Momentami narracja nie może się zdecydować, czy chce być polityczną alegorią, czy satyrą. Mimo to przyjemność lektury płynie ze sposobu, w jaki autorka zaciera granice tego, co prywatne/polityczne, prawdziwe/fikcyjne.

ALEKSANDRA MAJAK

© DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES, MUZEUM ETNOGRAFICZNE W WARSZAWIE, APPLE TV+, JAN MAKS BURBICKI, MP (5)

eprasa.pl e94e67b4f3

Od Nikifora po Warhola 5/6

Formy obecności. Sztuka Łemków/ Rusinów Karpackich, Muzeum Etnograficzne w Warszawie, do 30 czerwca

Co łączy legendarny portret Marilyn Monroe autorstwa Andy'ego Warhola, powstałą w XVI w. monumentalną wizję Sądu Ostatecznego i pejzaże z cerkiewkami Jerzego Nowosielskiego? Fakt, że wszystkie one stworzone zostały przez artystów wywodzących się ze społeczności łemkowskiej. Zatem nie mogło też zabraknąć w tym gronie Nikifora Krynickiego, bodaj najbardziej znanego w Polsce twórcy o rusińskich korzeniach, którego unikatowe prace, powstałe jeszcze w latach 30. i 40. XX w., włączono do ekspozycji. Ideą wystawy jest bowiem zaprezentowanie jak najszerszej panoramy twórców, w których żyłach płynęła lub płynie łemkowska krew. Stosownie do nazwy muzeum jest tu oczywiście nieco folkloru: ciekawych przykładów sztuki ludowej, ubiorów, historycznych fotografii oraz przedmiotów codziennego użytku. Jednak przeważa sztuka profesjonalna, w której możemy doszukiwać się silniejszych lub słabszych wpływów etnicznej tradycji i tożsamości. Z wisienką na torcie, czyli czterema



Dawid Zdobylak, „Czariwnycia, Bosorka", 2025 r.

pracami wspomnianego już Warhola, mistrza pop-artu. Jakiejś wspólnej osi przewodniej trudno się w tej różnorodności doszukać, ale dużym atutem wystawy jest staranność i profesjonalizm kuratorski, które sprawiły, że ów słabo przecież znany świat kultury materialno-duchowej ujmuje bogactwem i zaskakującymi niekiedy walorami artystycznymi dzieł twórców nie tylko rodzimych, ale wyszperanych w Słowacji, Ukrainie, Mołdawii i innych zakątkach Europy Środkowej.

PIOTR SARZYŃSKI

Karate mistrz 4/6

Dominik Strycharski / Akademia Pana Korzyńskiego, **Korzyński Ultimate**, GAD Records



To jest w dużej mierze akademia na cześć, ale przygotowana z przekonaniem, ze smakiem i bardzo potrzebna. Zmarły w 2022 r. Andrzej Korzyński, o którym wielokrotnie pisaliśmy, był postacią wielowymiarową i nie dość docenioną za życia. Laureat Paszportu POLITYKI Dominik Strycharski wraz z zespołem świetnych młodych muzyków stworzył kilkanaście miesięcy temu program złożony z utworów z różnych pól działań Korzyńskiego: od wczesnych piosenek pisanych dla Piotra Szczepanika, przez filmowe utwory dla innych Andrzejów – Żuławskiego i Wajdy – aż po Franka Kimono i „Akademię Pana Kleksa". Najtrudniej poradzić sobie z tym ostatnim repertuarem – czar songów śpiewanych kiedyś przez Zdzisławę Sośnicką czy Małgorzatę Ostrowską trudno przebić. Typowo studyjny, archaiczny materiał Franka Kimono też niełatwo było odkurzyć żywiołowemu kolektywowi, jaki tu się zebrał. Z psychodelią i szaleństwem „Diabła" Strycharski poradził sobie za to genialnie, dobrze wyszły też przeboje Szczepanika w niepokojących, rozciągniętych wersjach – trochę jakbyśmy w latach 60. mieli nie tylko grzeczny bigbit, ale i polskie Vanilla Fudge.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Porwanie 2 (Hijack 2), 8 odc., Apple TV

W pierwszym, świetnym sezonie porwany został samolot lecący z Dubaju do Londynu, w drugim akcja toczy się w i wokół uprowadzonego pociągu berlińskiego metra. Wśród dwóch setek pasażerów jest też znany nam Sam Nelson (**Idris Elba**), tu poddany jeszcze większej presji. Nowy sezon kontynuuje wątki z poprzedniego, akcja pędzi (dosłownie), napięcie rośnie. A całość otwiera... „Plus i minus" Kalibra 44. AK

Hańba!, Hiob Dylan, **Za kim idziesz**, Antena Krzyku

Kolejny cios w psychę polskiej prawicy – chciałoby się powiedzieć. Cóż, artystycznie lewacki bunt działa ciągle lepiej niż narodowe pieśni. Udowadnia to znów krakowska Hańba!, która swój podwórkowy punk łączy z pasującą do nich dobrze estetyką Hioba Dylana. Podejmują ryzyko wyjścia z historycznej konwencji – i wygrywają, także dzięki brawurze tekstów. Choć refren „Hau hau hau, nie pozdrawiam dzisiaj pał" wyjdzie daleko poza lewicowe środowisko. BCH



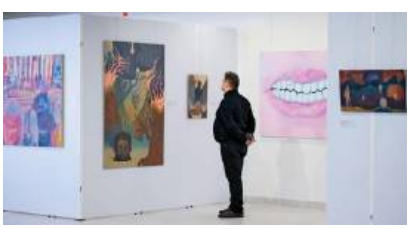

Nowa Fala. Malarstwo – wystawa zbiorowa, Galeria Seka Art, Warszawa, od 5 lutego do 21 marca

Nowa stołeczna galeria otworzyła się w nieoczywistej lokalizacji (robotnicze Szmulki), za to z przytupem. Ogłoszono bowiem konkurs dla młodych malarzy, na który zgłosiło się aż 1,3 tys. osób, bez wątpienia skuszonych wysokimi nagrodami o łącznej wartości 150 tys. zł. Na wystawie zaś można będzie oglądać prace najlepszej piętnastki artystów. W tej grupie kilka zaskakujących odkryć, które powinny szybko zainteresować miłośników sztuki, kolekcjonerów i kuratorów wystaw. P.SA

eprasa.pl e94e67b4f3



Jessie Buckley jako żona barda ze Stratfordu. W filmie występuje pod imieniem Agnes.

Wspólny Szekspir, wspólny ból

JAKUB DEMIAŃCZUK

Czy Szekspir cierpiał po stracie syna? Jak wyglądała jego żałoba? I jak powstawał nagradzany film „Hamnet”? Opowiadają o tym Chloé Zhao, reżyserka, i Jessie Buckley, odtwórczyni jednej z głównych ról.

eprasa.pl e94e67b4f3

Nowy film Chloé Zhao, niedawno nagrodzony Złotym Globem w kategorii najlepszy dramat, jest uważany za jednego z faworytów tegorocznych Oscarów. Reżyserka, aktorzy grający główne role – Jessie Buckley i Paul Mescal – oraz autor fenomenalnych zdjęć Łukasz Żal wydają się pewniakami przy nominacjach do Nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej (zostaną ogłoszone w czwartek 22 stycznia). Jednak niezależnie od wyróżnień i nominacji „Hamnet" to wydarzenie: jeden z najpiękniejszych i czułych filmów ostatnich lat; inspirowana powieścią północnoirlandzkiej pisarki Maggie O'Farrell historia związku Williama Szekspira i Agnes Hathaway, wystawionego na ciężką próbę po śmierci ich 11-letniego syna Hamneta.

To więcej niż film o żałobie po stracie dziecka. O'Farrell, która we współpracy z Chloé Zhao przerobiła własną książkę na scenariusz, wiernie odtwarzała realia epoki, lecz opowieść o rodzinie Szekspira, choć ma oparcie w faktach, jest w znacznej mierze fikcyjna, pozszywana z porozrzucanych fragmentów i biograficznych ścinków. „To rezultat moich bezpodstawnych spekulacji" – pisze w posłowiu. Jednak w „Hamnecie" ważniejsze od wierności historycznej prawdzie – dziś przecież niemożliwej do bezspornego ustalenia – są uczucia. Głos oddany nie tylko cierpiącemu ojcu, lecz przede wszystkim matce i Hamnetowi.

Wiadro sceptycyzmu

– *Pisząc książkę, Maggie zrobiła dogłębny research. W biografiach żona Szekspira jest nazywana imieniem Anne, lecz testament jej ojca określa ją jako „Agnes" i prawdopodobnie tego imienia używała częściej* – mówi POLITYCE Chloé Zhao. – *Maggie uważa, że historycy nie tylko zniekształcili jej osobowość i relacje rodzinne, lecz nawet przeinaczyli jej imię. Na historię trzeba patrzeć zawsze z odrobiną sceptycyzmu. Jednak jeśli mowa o kobietach, to trzeba tego sceptycyzmu całe wiadro, bo ich historia zawsze była pisana z męskiej perspektywy. To, co tak pięknie zrobiła Maggie w swojej książce i co chcieliśmy oddać także na ekranie, to połączenie faktów z poezją* – dodaje reżyserka. Bo wprawdzie nie wiemy wszystkiego o tamtych wydarzeniach, ale w tym przypadku, jak mówi Zhao, poezja niesie ze sobą więcej prawdy o ludziach niż historyczne fakty.

– *Szykując się do roli Agnes, kupiłam książkę „How to be a Tudor"* (popularyzatorska książka Ruth Goodman o życiu w czasach Tudorów – przyp. red.), *ale po przeczytaniu kilku stron ją odrzuciłam* – wspomina Jessie Buckley. – *Nie mogła mi pomóc w zrozumieniu mojej bohaterki, musiałam polegać na własnym instynkcie. Przez kilka miesięcy szukałam elementów, które wydawały mi się właściwe dla Agnes. Robiłam zdjęcia i notatki, zapisywałam swoje sny, wszystko po to, żebym w chwili, w której wchodzę na plan, mogła spojrzeć w twarze otaczających mnie aktorów i poczuć, że oto dopełnia się historia mojej postaci.* Zapiski Buckley z pracy nad rolą w „Hamnecie", wraz z notatkami Chloé Zhao i zdjęciami z planu autorstwa Agaty Grzybowskiej, zostały pod koniec 2025 r. wydane w książce „Even as a Shadow, Even as a Dream" (Nawet jako cień, nawet jako sen).



Chloé Zhao: „Chcieliśmy połączyć fakty z poezją"

© LANDMARK MEDIA/ALAMY/BE&W, RODIN ECKENROTH/FILMMAGIC/GETTY IMAGES

Poezja ważniejsza niż fakty

O Hamnecie do dziś zachowało się niewiele informacji. Wraz z siostrą bliźniaczką Judith został ochrzczony w lutym 1585 r. Większość czasu spędzał z matką i siostrami (Szekspirowie mieli już wcześniej córkę Susannę): William mieszkał wtedy w Londynie lub wyjeżdżał ze swoją trupą teatralną. Nie ma pewności, czy Hamnet chodził do szkoły, czy przyjaźnił się z rówieśnikami ze Stratfordu, jak spędzał czas wolny od domowych obowiązków. Nie wiadomo, dlaczego zmarł: księga parafialna Kościoła Świętej Trójcy w Stratfordzie odnotowała jego śmierć jedynie lakoniczną notatką w spisie pogrzebów z 11 sierpnia 1596 r.: „Hamnet filius William Shakspere". Powiadomiony przez rodzinę William prawdopodobnie nie zdążył wrócić na pogrzeb chłopca – jego zespół odbywał wówczas tournée po hrabstwie Kent.

Przez lata część biografów była przekonana, że Szekspir nie cierpiał jakoś szczególnie po stracie syna, choćby dlatego, że nie pozostawił w swojej twórczości żadnej bezpośredniej wzmianki o żałobie. Inni analitycy doszukiwali się ukrytych znaczeń w tekstach, które powstały krótko po śmierci Hamneta, z okruchów literackiego geniuszu próbowali odtworzyć portret człowieka złamanego przez żałobę.

„Jednym z powodów napisania tej powieści było poczucie, że Hamnet zawsze był ignorowany. Nie zwracano na niego uwagi, nie oddano mu głosu ani znaczenia. W biografiach wspominano jego chrzest i pogrzeb – mówiła O'Farrell w wywiadzie dla „Entertainment Weekly". – Najczęściej jego śmierć jest opakowana w statystyczną analizę o wysokiej śmiertelności dzieci w XVI w. Tak jakby nie miała żadnych konsekwencji, bo każdy w tamtym czasie tracił dziecko lub spodziewał się, że je straci. To okropny sposób postrzegania świata. Chłopiec miał 11 lat. Jak jego rodzice mogliby go nie opłakiwać?".

Pisarską inspirację czerpała z tekstu Stephena Greenblatta „The Death of Hamnet and the Making of Hamlet" (Śmierć Hamneta i stworzenie Hamleta) zamieszczonego na łamach magazynu „The New York Review of Books" w 2004 r. „W ciągu czterech lat po śmierci Hamneta bard napisał część ze swoich najradośniejszych ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ komedii: »Wesołe kumoszki z Windsoru«, »Wiele hałasu o nic«, »Jak wam się podoba«. Dla niektórych to dowód, że ojcowska żałoba była w najlepszym razie krótka. Jednak sztuki z tamtego okresu nie były wyłącznie radosne, za to często zdawały się świadectwem głębokiego poczucia straty – analizował Greenblatt. – Nie ma żadnego powodu sądzić, że Szekspir po prostu pochował syna i żył dalej niewzruszony. Mógł o tym rozmyślać obsesyjnie nawet wtedy, gdy rozbawiał publiczność zakochanym Falstaffem lub słownymi pojedynkami Beatrice i Benedicka. Nie jest też wykluczone, że potrzeba było lat, aby trauma związana ze śmiercią syna w pełni ujawniła się w jego twórczości".

Spóźnione pożegnanie

Greenblatt nie był pierwszym badaczem twórczości Szekspira, który wskazywał na więzi łączące prywatną żałobę z treścią arcydramatu. Pisząc „Hamleta", bard sięgnął po średniowieczną duńską legendę o księciu Amlethcie przytaczaną w kronikach Saxona Gramaticusa, niewykluczone, że podkradł część pomysłów z cudzego, dziś zaginionego dramatu (prawdopodobnie napisanego przez Thomasa Kyda) – co było w tamtych czasach powszechnie stosowaną praktyką – ale to nie znaczyło, że w polityczno-historycznym tekście nie mógł ukryć, nie po raz pierwszy zresztą, odniesień do własnych emocji i przeżyć. „Śmierć synka jest w scenie śmierci młodego Artura w »Królu Janie«. Czarny książę Hamlet jest Hamnetem Shakespeare" – pisał w „Ulissesie" James Joyce (przekład Macieja Słomczyńskiego).

W powieści O'Farrell, a w ślad za nią w filmie Zhao, „Hamlet" – napisany około czterech lat po śmierci Hamneta – staje się nie tylko spóźnionym pożegnaniem Szekspira z synem, lecz także pełną rozpaczy próbą zadośćuczynienia za nieobecność ojca przy dorastającym chłopcu.

Bohaterowe „Hamneta" są dalecy od pomnikowych wizerunków. W interpretacji Paula Mescala William Szekspir – którego poznajemy jako młodego nauczyciela udzielającego lekcji łaciny, by spłacić zaciągnięte przez ojca długi – bywa nieporadny, zagubiony w relacji ze starszą o kilka lat Agnes. Z biegiem czasu się zmienia, jednak nie potrafi i nie chce zapomnieć o artystycznych ambicjach. Nękany stanami depresyjnymi wyjeżdża do Londynu, by pracować nad kolejnymi dramatami, opiekę nad rodziną powierzając żonie. Agnes, fenomenalnie grana przez Buckley (otrzymała już za tę rolę Złoty Glob i kilka innych znaczących wyróżnień), jest żywiołem natury, żyje w bliskości z przyrodą, hoduje sokoła, woli gęstwinę lasu od bliskości ludzi. Nie umie ukrywać emocji, budzi jednocześnie fascynację i lęk. „Cieszy się ona swoistą złą sławą w tych stronach. Ludzie mówią, że jest dziwna, stuknięta, osobliwa, być może szalona. (...) Powiadają, że jest zbyt dzika dla jakiegokolwiek mężczyzny. Jej matka była Cyganką, a może czarownicą lub leśną nimfą" – pisała Maggie O'Farrell (przekład Justyny Szcześniak).

Tę bliskość z naturą, jej eteryczny, a zarazem sensualny charakter, mistrzowsko podkreślają zdjęcia Łukasza Żala. „Chloé nazywała nasze poszukiwania »capture the presence«, czyli łapaniem właściwego momentu, ulotnego tu i teraz – tego, co się dzieje z przyrodą, z wiatrem, ze światłem, chemią międzyludzkiego spojrzenia, gdzie wszystko ze sobą współgra. Do tego ruch kamery, który w swojej organiczności powoduje, że zapisuje się kawałek prawdy, jak w dokumencie. Nasz pomysł polegał na tym, żeby stworzyć takie środowisko" – wspominał autor zdjęć w niedawnej rozmowie z POLITYKĄ (51–52/25).

„Hamnet" to dzieło międzynarodowej ekipy: Chloé Zhao jest Amerykanką chińskiego pochodzenia, główne role grają aktorzy irlandzcy i brytyjscy, za zdjęcia odpowiadali Polacy (z Żalem pracował m.in. Stanisław Cuske), muzykę skomponował Max Richter, Brytyjczyk urodzony w Niemczech, a jednym z producentów filmu jest Steven Spielberg. Na pytanie, czy dopiero spojrzenie z zewnątrz pozwala dostrzec w Szekspirze żywego człowieka, a nie pomnik, Chloé Zhao odpowiada: – *Szekspir jest obecny wszędzie. Nie tylko w teatrze, lecz także w popkulturze. W filmach, anime, komiksach, modzie. To, co stworzył, ma wymiar międzynarodowy. Nie wybierałam ekipy pod kątem narodowości, lecz przyznaję, że tak zróżnicowana grupa była dla mnie pomocna i ekscytująca. Każdy wniósł do tego filmu swoją wizję Szekspira. To pozwoliło uwolnić nieco jego wizerunek, moim zdaniem zbytnio przez kulturę usztywniony. Chciałam zdjąć z niego nieco ten ciężar.*

– *Chloé oczekiwała od nas przede wszystkim otwartości* – uzupełnia Buckley. – *I to niezależnie od pionu, w którym pracowaliśmy. Język Szekspira jest uniwersalny, przekracza wszelkie granice, nie tylko narodowe. To język człowieczeństwa i serca. Powodzenie filmu wymagało od nas odwagi, by użyć historii Agnes i Williama do zrozumienia czegoś o samych sobie, spojrzenia na własne życie przez pryzmat tej historii. Chcieliśmy, żeby widzowie poczuli to samo.*

Siła ze sztuki

Seans „Hamneta" niesie oczyszczenie. Jest przepełniony smutkiem – niezbyt liczni nieprzychylni krytycy amerykańscy zarzucali Zhao „pornografię żałoby" – lecz to jednocześnie poemat o przebaczeniu, pogodzeniu się z tragicznym losem, sile czerpanej ze sztuki. Książka O'Farrell ukazała się w wyjątkowym momencie: miała premierę pod koniec marca 2020 r., gdy cały świat był zamknięty w pierwszym covidowym lockdownie, a lęk przed chorobą znajdował odbicie także na kartach książki, w oryginale opatrzonej zresztą podtytułem „Powieść o zarazie". „Strach przed stratą jest olbrzymią częścią miłości. Kiedy kogoś kochasz, trudno wyobrazić sobie własne życie bez tej osoby. Uważam, że to ważny składnik naszych uczuć wobec innych ludzi" – mówiła wtedy pisarka.

W jej książce Chloé Zhao i Jessie Buckley odnalazły opowieść o odnajdywaniu nadziei i miłości w beznadziejnej sytuacji. – *Wydaje mi się, że miłości nie da się poznać, jest tak przytłaczająca i przybiera tak wiele nieoczekiwanych form. W pewnym sensie jest wręcz niewygodna. Wierzę, że życie z miłością wymaga odwagi* – opowiada Buckley. Po chwili dodaje, że na początku przygotowań do roli trudno jej było sobie wyobrazić, jak ma zagrać przejmujące doświadczenie, jakim jest strata dziecka. – *Wreszcie zrozumiałam, że książka Maggie mówi o tym, by nigdy nie przestawać szukać tego, kogo się straciło, ukochanej osoby, która odeszła. To jest coś, o czym pisała Joan Didion w „Roku magicznego myślenia", opowiadał o tym Nick Cave, gdy emocje po śmierci syna zamieniał w muzykę. Od śmierci Hamneta Agnes próbuje go odnaleźć: w rzeczach, które pozostały w jego pokoju, w najmniejszych miejscach, w których przebywał.*

Na koniec wspomina, jak podczas realizacji jednej z najważniejszych scen filmu, rozgrywającej się w londyńskim teatrze The Globe podczas wystawienia „Hamleta", emocje niemal nieświadomie połączyły wszystkich: aktorów, 400 statystów, a nawet ekipę. – *Tak działa wspólnota, w której można podzielić się bólem nie do zniesienia. To dzięki ludziom można szukać światła w ciemności.*

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl e94e67b4f3

Paszporty
Polityki
2025

Dziękujemy Partnerom Paszportów POLITYKI 2025

Sylwetki laureatów: polityka.pl/paszporty

Współorganizator Gali

Partnerzy Główni

Partner Oficjalny

Warszawa

Partner Medialny

Partnerzy Kategorii

Książka

Sztuki wizualne

Film

Scena

Muzyka popularna

Muzyka poważna

Partner Paszportów POLITYKI

Partner Gali

eprasa.pl e94e67b4f3



Stellan Skarsgård, tym razem w roli reżysera, i Elle Fanning w filmie „Wartość sentymentalna”

Grać na krawędzi

Nuda to śmierć za życia – mówi szwedzki aktor Stellan Skarsgård, odtwórca głównej roli w nominowanym właśnie do Oscara filmie „Wartość sentymentalna”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Całe życie był pan aktorem, spotykał wybitnych reżyserów. W końcu zagrał pan jednego z nich. Co się wtedy czuje?**

STELLAN SKARSGÅRD: – Jak się czuje aktor w skórze reżysera? To daje okazję, by się zemścić za udrękę użerania się z ekscentrycznymi osobowościami. Ale nie uległem tej przyjemności. Prawdę mówiąc, nie miało dla mnie większego znaczenia, czy grana przeze mnie postać jest reżyserem, malarzem czy pisarzem. Zagrałem artystę należącego do innego pokolenia. Gustav Borg nie jest tak nowoczesnym człowiekiem jak ja. Utknął w swoich obsesjach, w starości, w wyobrażeniu, jak się powinien zachowywać dojrzały mężczyzna. Nie posiada narzędzi do radzenia sobie z emocjami w życiu rodzinnym.

Jest egocentrykiem, który myśli, że sztuką da się naprawić życie.

To piękna i straszna iluzja. Gustav wierzy, że nowy szczery film o jego rodzinie załagodzi dawne rany. Jak pokazać mężczyznę, który całe życie uciekał w sztukę, a teraz sztuką chce wrócić do bliskich? To bardzo skandynawskie: emocje wyrażane nie przez krzyk, ale przez milczenie za kamerą. Jako aktor przez całe życie obserwuję reżyserów, ich obsesje, ich samotność. Gustav nie jest ode mnie daleki. Wszyscy artyści nosimy w sobie tę cienką granicę między tworzeniem a ucieczką od życia.

To znaczy?

Mówię o konflikcie między pracą, która jest twoją pasją, na punkcie której szalejesz, bez której nie możesz żyć, od której jesteś uzależniony, a rodziną. Za to zawsze się płaci wysoką cenę. Mogę tylko powiedzieć, że radziłem sobie z tym problemem lepiej niż mój bohater. Od 1989 r., kiedy przestałem pracować w Teatrze Królewskim w Sztokholmie, spędzam na planie filmowym jedynie cztery miesiące w roku, co oznacza, że przez pozostałe osiem mogłem siedzieć w domu i zajmować się zmienianiem pieluch moim dzieciom, co ma swoje dobre strony.

Jak się objawia uzależnienie od aktorstwa?

Potrzebą dreszczyku emocji. Oczywiście miałem też czas wahań i wątpliwości. Bałem się na samą myśl, że muszę stanąć przed kamerą. Ten lęk mnie nie opuszczał, dopóki nie zaczynałem grać. To było naprawdę coś niebezpiecznego. Jak wspinaczka górska. Czujesz paraliżujące przerażenie – i fantastyczną radość, kiedy zjawia się drugi aktor. Coś się wtedy zaczyna dziać między wami, widzisz emocje na twarzy partnera lub partnerki, zaczynacie się nawzajem czytać, tworzy się rytm.

Istnieje jakiś związek między Borgiem, którego pan gra, a Ingmarem Bergmanem lub Larsem von Trierem?

© LANDMARK MEDIA/ALAMY/BE&W

eprasa.pl e94e67b4f3

W scenariuszu nie było zbyt wiele wyjaśnień na temat ewentualnych odniesień do autentycznej osoby, z którą należałoby kojarzyć Gustava Borga, ani o tym, jakim jest człowiekiem. Wszystko zależało ode mnie – jak i czym go wypełnię. Ale nie chciałem, by przypominał Bergmana. W każdym razie nie do końca. W filmie jest archiwalna scena, gdzie widzimy, jak reżyserował. Wygląda bardziej jak artysta z Europy Wschodniej z lat 70. lub 60., powiedzmy jak Miklós Jancsó, którego akurat nie znałem. On też lubił bardzo długie ujęcia i wyrafinowaną inscenizację. Sądząc jednak po tym, jak mój bohater postępuje z aktorką, która ma u niego zagrać, on nie jest apodyktyczny ani przemocowy. To łagodny człowiek, dlatego nie pasuje do wielu person, zwłaszcza nie do Bergmana.

Co było dla pana kluczem do tej postaci?

Joachim Trier od początku mówił, że to nie jest opowieść o złym ojcu, ale o mężczyźnie, który źle korzystał z miłości. Taką dał wskazówkę. Gustav myśli, że wracając do kina, może naprawić życie, że szczerość przed kamerą zastąpi lata milczenia. Gustav jest odbiciem tego niepokoju, który wszyscy artyści nosimy w sobie – że wybieramy sztukę zamiast życia, a potem próbujemy sztuką to życie odzyskać. Mój klucz był prosty: nie oceniać go. Zrozumieć jego rozpaczliwą wiarę w to, co robi.

Nie czuł pan dyskomfortu, wcielając się w kogoś, kto stoi po drugiej stronie kamery?

Nie. Praca aktora jest bardzo podobna. My też jesteśmy reżyserami – samych siebie. Na planie to my podejmujemy ostateczne decyzje: jaką emocję podać, jakim gestem, gdzie skierować spojrzenie. Gustav po prostu utracił kontrolę nad własną narracją. Joachim dał mi przestrzeń, by to pokazać. Nie szukaliśmy wielkich, teatralnych gestów. Raczej ciszy przed burzą. Tej sekundy, w której widać, że bohater zdaje sobie sprawę, że jego plan jest skazany na porażkę.

Trier nazywa pana „ikoną kina", a pan jego jak określa?

Joachim jest poetą. Jego domeną jest skupienie. Nie lubi zbędnego zamieszania, krzyków. On pracuje na poziomie detalu emocjonalnego. Dla niego każdy element – światło, dźwięk, twoje ustawienie w przestrzeni – jest częścią emocji. Większość reżyserów goni czas. On goni prawdę pojedynczej chwili. To wymaga ogromnego zaufania do aktora. I daje mu wolność.

A jak dziś, z perspektywy czasu, patrzy pan na pracę z Ingmarem Bergmanem w teatrze?

To było jedno z najtrudniejszych doświadczeń w moim życiu zawodowym. Bergman był niekwestionowanym geniuszem ekranu, ale w teatrze potrafił być okrutnym manipulatorem. Tworzył atmosferę strachu, dzielił zespół na ulubieńców i tych do wyrzucenia. Wiedza, że jako młody człowiek opłakiwał śmierć Hitlera, tylko potęgowała ten dysonans. Nauczyło mnie to jednej ważnej rzeczy: bezwzględnego rozdzielenia sztuki od artysty. Można podziwiać niezwykłe piękno i głębię jego filmów o samotności, wierze, milczeniu między ludźmi, a jednocześnie nie mieć żadnych wątpliwości, że jako człowiek i współpracownik był trudny do zniesienia. To lekcja pokory: wielkie dzieło nie usprawiedliwia toksycznego zachowania.

Z Larsem von Trierem stworzyliście sześć filmów. Jak zaczęła się wasza współpraca?

Wbrew krążącym opiniom na temat jego despotyzmu Lars to nieśmiały do granic możliwości artysta. Na pierwszym spotkaniu przy okazji „Przełamując fale" powiedział: „Nie lubię być dotykany". Naturalnie od razu go przytuliłem. Tym go rozbroiłem. Odkryliśmy, że obaj jesteśmy introwertykami, którzy na co dzień grają ekstrawertyków, żeby funkcjonować. Lars daje aktorowi ogromną wolność, ale w bardzo ściśle określonych ramach. Jego scenariusze są jak muzyczne partytury – każda pauza, każde westchnienie jest zapisane. Ale wewnątrz tej precyzyjnej klatki możesz tańczyć. To jest właśnie ta prawdziwa wolność, którą daje dyscyplina.

Pracował pan z wieloma legendarnymi reżyserami, m.in. z Milošem Formanem, Stevenem Spielbergiem, Gusem Van Santem. Kiedy taka współpraca staje się uciążliwa?

Najbardziej uciążliwy jest brak zaufania. Najgorsze, co może się zdarzyć, to kiedy reżyser przychodzi z gotową, sztywną instrukcją: „Stań tu, powiedz to tak, popatrz tam". To zabija duszę sceny. Ja szukam partnera. Kogoś, kto nie blokuje procesu, ale stwarza bezpieczną przestrzeń do eksperymentu. Lars czasem po prostu pyta: „Dobrze?" – i zaczyna kręcić. Spielberg ma niesamowitą, niemal chirurgiczną precyzję w opowiadaniu emocji. Fincher dąży do perfekcji, bo wie, że dopiero po 20. ujęciu aktor przestaje grać i zaczyna być. Wszyscy oni na swój sposób chronią scenę. Pozwalają ci się zdziwić samym sobą. To jest sedno.

Pańska filmografia jest różnorodna. Od surowego dramatu „Przełamując fale" po musical „Mamma Mia!". Ma pan jedną, główną zasadę przy wyborze roli?

Unikanie nudy za wszelką cenę. Jeśli czytam scenariusz i od razu wiem dokładnie, jak to zagram – odrzucam. Musi być element ryzyka, niepewności. Niezależnie od gatunku. W „Mamma Mia!" wyzwaniem było odnalezienie lekkości i odwagi, by być jednym z „trzech bimbo" – i zrozumieć, jak to jest być ozdobnikiem, przedmiotem pożądania. W „Diunie" zadaniem było znalezienie esencji zła barona Harkonnena, która nie jest krzykiem, ale ciężką, nieuniknioną obecnością, jak grawitacja. Aktorstwo to zawód, w którym nie możesz grać bezpiecznie. Musisz być na krawędzi.

Ciekawe sformułowanie: „być na krawędzi". Ale jednocześnie często porównuje pan swoją pracę do grania „linii basu" – fundamentu, który nie jest w centrum, ale bez którego melodia się rozpadnie. Nie ciągnie pana do bycia pierwszoplanową gwiazdą?

Absolutnie nie. Satysfakcja nie polega na byciu w centrum kadru, tylko na tym, żeby kadr bez ciebie był uboższy. Basista nie improwizuje solówek na pierwszym planie. Tworzy fundament, rytm, przestrzeń, w której inni mogą się poruszać. W „Andorze" Tony Gilroy dał mi postać, która w trzech scenach musi ucieleśnić całą zgniliznę Imperium – jego biurokratyczną, pozbawioną emocji przemoc. To jest właśnie takie zadanie: wbić się w ogromną maszynerię jednym precyzyjnym ciosem. Jeśli widz po seansie pamięta uczucie, jakie wzbudziła twoja postać, a niekoniecznie twoje nazwisko, to znaczy, że dobrze wykonałeś robotę.

I to właśnie jest przeciwieństwo bycia „nudnym"?

Tak. Nuda to śmierć za życia. To moment, w którym przestajesz się rozwijać, kwestionować, czuć. Gdybym zaczął grać „typowego Stellana Skarsgårda", powtarzać schematy, to byłby koniec. Ten strach przed byciem nudnym przypomina mi, że aktorstwo to „przerażający zawód" ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ – musisz się ciągle wystawiać na ryzyko, na ocenę, na porażkę. Bez tego strażnika stałbym się rzemieślnikiem, a nie artystą.

Znając pańską biografię, można pomyśleć, że ta umiejętność dostosowywania się do różnych okoliczności ma źródło w dzieciństwie. Częste przeprowadzki, zmiany środowiska, nowe znajomości...

Brak stabilizacji nauczył mnie, że dom to nie miejsce, ale ludzie. Przynależność buduje się w relacjach, a nie między ścianami. Jako nowy dzieciak w szkole musiałeś szybko czytać sytuacje, adaptować się, znajdować swój rytm w obcym towarzystwie. Czy istnieje lepszy trening dla aktora? Na planie też wchodzisz do nieznanej „rodziny" na kilka miesięcy. Twoim zadaniem jest szybko złapać wspólny język, zbudować zaufanie, znaleźć swoje miejsce w tej tymczasowej strukturze. Dzieciństwo dało mi odporność i elastyczność. Nie przywiązuję się do miejsc. Przywiązuję się do opowieści i ludzi, z którymi je tworzę.

Sam stworzył pan wielką rodzinę. Aż czterej pana synowie – Alexander, Gustaf, Bill i Valter – są aktorami. Jak to się stało?

Nigdy ich do tego nie zachęcałem. Wręcz przeciwnie! Pokazywałem im całe negatywne zaplecze: niepewność, ciągłe odrzucenia na castingach, ból porażki, bycie przedmiotem publicznej oceny. Alexander w dzieciństwie naprawdę wolał, żebym był księgowym i miał „normalną pracę"! *(śmieje się)* Ale dzieci chłoną atmosferę. W naszym domu zawsze rozmawiało się o emocjach, o ludzkich historiach, o tym, jak opowiadać prawdę. To był ich naturalny język. Dziś żartuję, że jestem nepo tatusiem, bo jeżdżąc po świecie, przedstawiam się: „Hej, witajcie, jestem ojcem Alexandra!". Ale najważniejsza lekcja, jaką im przekazałem, to „pieprzyć świat". Liczy się tylko to, co dzieje się na planie między komendami „akcja" i „stop". Reszta to szum.

A oni nie mieli problemu z oskarżeniami o nepotyzm?

Oczywiście, że mieli, zwłaszcza na początku. Dla najmłodszego w szkole bywało to bolesne – czuł, że jego osiągnięcia są bagatelizowane. Mówiłem im: tej etykietki nigdy całkiem nie ściągniecie. Jedynym sposobem, by ją unieszkodliwić, jest ciężka, niezależna praca. Udowodnienie, że jesteś nie czyimś dzieckiem, ale sobą. Patrzę na nich dziś i widzę, że właśnie to zrobili. Alexander, Gustaf, Bill – każdy z nich przeszedł przez ten ogień i wyszedł z niego jako artysta o wyraźnym, niepowtarzalnym głosie. To jest jedyna droga. Nie da się ukryć nazwiska, więc trzeba je udźwignąć i iść dalej z własnym, ciężkim bagażem.

Trzy lata temu przeżył pan udar. Przyznał pan wtedy, że pańskie życie weszło w fazę „dogrywki". Co to znaczy?

Wybierać uważniej. Udar zabrał mi coś fundamentalnego dla aktora – zdolność zapamiętywania tekstów. To było upokarzające i przerażające. Myślałem: „Koniec. Nie będę mógł pracować". Ale potem przyszedł etap akceptacji i walki. „Dogrywka" nie oznacza gry ostrożnej. Wręcz przeciwnie. Oznacza grę mądrzejszą. Wybieranie tylko tych chwil i projektów, które naprawdę mają głęboki smak, które są eksploracją, a nie powtórzeniem. To przypomnienie, że czas jest ograniczony, ale nie oznacza to, że ma się skurczyć.

Jak technicznie poradził pan sobie z niepamiętaniem tekstów? Korzysta pan z promptera, ze słuchawki dla niedosłyszących?

Tak, mam zamontowane w uchu urządzenie, przez które podrzucają mi tekst w razie, gdybym zapomniał. Ale ludzie myślą, że to z powodu problemów ze słuchem. To trudna, techniczna praca! Osoba po drugiej stronie musi podawać dialog bardzo szybko, absolutnie neutralnym tonem, w idealnym rytmie sceny. Nie należy powtarzać mechanicznie. Trzeba odnaleźć w tym swój rytm, wejść w niego, jakbym słuchał partnera. Paradoksalnie, to pomogło mi się otworzyć. Przed udarem moją najmocniejszą stroną było perfekcyjne opanowanie tekstu na pamięć. Teraz nie mam tej zbroi. Muszę być jeszcze bardziej „tu i teraz", mocniej wyczulony na partnera, na daną chwilę. To zmusiło mnie do powrotu do korzeni, do improwizacji, do czystego instynktu. Denis Villeneuve na planie „Diuny" był pod tym względem niesamowity – stworzył środowisko pełne cierpliwości i zrozumienia.

Czy to doświadczenie zmieniło pana podejście do zawodu?

Zdecydowanie. Wcześniej dążyłem do kontroli. Teraz cenię otwartość. Zrozumiałem, że najciekawsze rzeczy dzieją się wtedy, gdy coś pójdzie „nie tak" – gdy partner coś doda, gdy zapomnisz precyzyjne słowo, ale znajdziesz nową intencję. Głos w słuchawce zmusza do słuchania w inny sposób. To już nie jest „odtwarzanie zapamiętanej partytury". To jest „granie jazzu" na podstawie kilku nut. To bardziej niebezpieczne, ale też bardziej żywe.

Otrzymuje pan wiele nagród, w tym nominacje oscarowe. Patrząc wstecz, co jest największą nagrodą tej pracy?

Kiedyś myślałem, że oklaski, festiwale, te wszystkie zewnętrzne oznaki. Teraz wiem, że największą nagrodą jest ciągła możliwość zdziwienia samego siebie. Ta chwila na planie, gdy po dziesiątym ujęciu nagle, zupełnie nieplanowanie, przychodzi gest, spojrzenie, ton głosu – i wiesz, że to jest to. Że dotknąłeś czegoś prawdziwego. I że zrobiłeś to razem z innymi ludźmi. Ten kolektywny moment odkrycia wspólnej prawdy – to jest bezcenne. A po drugie: ludzie. To, że mogłem grać z moimi synami, że mogę być częścią ich świata. To największy dar.

Co dla pana znaczy dobrze żyć po siedemdziesiątce? Jak się dba o te chwile „dogrywki"?

Przede wszystkim nie traktując ich zbyt poważnie. Chodzi o bycie obecnym. W pełni. Przy rodzinnym stole, gdy wszyscy się śmieją. Na planie, gdy młody aktor pyta mnie o radę, a ja mam wrażenie, że sam nic nie wiem. W lesie, kiedy pierwszy śnieg absolutnie tłumi dźwięk. Trzeba wybierać projekty, które są pytaniami, a nie odpowiedziami. I się śmiać. Jak najczęściej. Śmiech to przeciwieństwo nudy. To potwierdzenie, że wciąż czujesz. Jeśli w tej ostatniej kwarcie uda mi się uniknąć nudy i znajdować powody do autentycznego śmiechu, to będzie dobry, pełny koniec. A może wcale nie koniec, tylko dobra kontynuacja.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI



Stellan Skarsgård (ur. 1951 r.) – jeden z najwybitniejszych współczesnych aktorów, uhonorowany m.in. Europejską Nagrodą Filmową i Złotym Globem. Wychował się w ateistycznej rodzinie, pochodzi z Göteborga. Ma ośmioro dzieci z kilku małżeństw. W wieku 17 lat zadebiutował w serialu dla młodzieży. Zagrał ponad 150 ról. Znany m.in. z „Melancholii", „Nimfomanki", „Bezsenności", „Amistad", „Dziewczyny z tatuażem", „Thora", „Diuny", „Piratów z Karaibów", „Avengersów", „Czarnobyla".

© CLAUDIO BRESCIANI/TT/ALAMY/BE&W

eprasa.pl e94e67b4f3

za·ks
sprzyjamy wyobraźni

MUZYKA NAPĘDZA BIZNES

Wybieraj spośród 119 milionów utworów – na każdą okazję i dla każdego rodzaju działalności. Dopasuj muzykę do charakteru swojego lokalu i zatrzymaj klientów na dłużej.
Kup licencję online na **muzykadlabiznesu.pl**.

eprasa.pl e94e67b4f3



Melchior Wańkowicz w swoim warszawskim mieszkaniu, 1973 r.

Wielki influencer

Postulował, by posłowie nie mogli szerzyć tego, co dziś nazwalibyśmy fake newsami, sabotażu wobec własnego państwa w interesie Moskwy – mówi o swoim bohaterze Łukasz Garbal, autor biografii „Wańkowicz. Życie na kraterze”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Melchior Wańkowicz był pisarzem, o którym krążą legendy, trudno było oddzielić mity od prawdy?**

ŁUKASZ GARBAL: – Starałem się to zrobić, bo zawsze trzeba ustalić fakty, mimo świadomości, że ludzie i tak będą woleli mity, a nie skomplikowaną prawdę. I biografia kogoś takiego jak Wańkowicz – reporter, ale jednocześnie reklamowiec, sprzedający własne życie jako produkt niczym jakiś „wielki influencer” – jest świetnym modelem do ukazania zarówno tego psychologicznego mechanizmu, jak też konieczności fact-checkingu biografii tworzonej z uproszczeń, mitów, a czasem i fake newsów.

Na przykład?

To nie było tak, że Wańkowicz wymyślił hasło „Cukier krzepi”. Prawda była ciekawsza, bo to nie było jedno hasło i jedna chwila. Wańkowicz trzy lata pracował jako szef kampanii reklamowej i tworzył politykę uzależnienia Polaków od cukru, proponując m.in. stworzenie fikcyjnego Towarzystwa Ochrony Niemowląt, które miałoby przedstawiać cukier jako coś dobrego dla dzieci. W biografii cytuję zachowany w archiwum plan uzależnienia Polaków od cukru autorstwa Wańkowicza, ale i tak zostanie wiara w mit, że po prostu wymyślił dwa słowa, bo przecież sam kiedyś tak napisał. Wańkowicz był takim „wielkim instagramerem”, który coś wybiera do pokazania innym, a coś ukrywa. Chciałem dojść do tego, jak było naprawdę: nie po to, by Wańkowicza odbrązawiać, ale też bez padania przed nim na kolana. Żeby starać się go zrozumieć. Prawda jest ciekawsza od fikcji.

© HENRYK ROSIAK/PAP, BARTŁOMIEJ KWASEK

eprasa.pl e94e67b4f3

Była to postać pełna sprzeczności. Budował swoje teksty na kontrastach czy takie też było jego życie?

Jego pisarstwo przypomina mozaikę. Nie można wyrywać z jego twórczości jednego zdania i mówić, że to są jego poglądy, bo w innym potrafił napisać coś odwrotnego. Nie weźmiemy jednego kamyka z mozaiki jako całości; trzeba pokazać i te czarne, i te białe – dopiero wówczas ukaże się naszym oczom pełny obraz. A bywały czarne. Zaczynał przecież swoją dziennikarską karierę jako propagandysta. Jeden z jego pierwszych tekstów dotyczył walk polsko-ukraińskich w 1918 r. To była spisana opowieść jego szwagra, który zginął później w walkach z bolszewikami. Wańkowicz zmienił się wówczas w żywy magnetofon – przepisał, ubarwiając literacko, opowieść jednego świadka, bez prób weryfikacji czy pokazania sytuacji z innej strony. Tymczasem wówczas, w czasie walk z Ukraińcami, po prostu ich odczłowieczał. Ale ten sam Wańkowicz odszedł z „Kuriera Porannego", bo nie chciał się zgodzić na hejt wobec polityka, z którego poglądami się zresztą nie zgadzał. Znalazł się wówczas na bruku i chwytał bardzo różnych prac. Potrafił zaczynać wszystko od nowa i walczył o własną niezależność do końca życia. Niezwykły fakt i symbol – ostatni tekst, który proponował „Tygodnikowi Powszechnemu", dotyczył wytrwałości; jedną z jego nauk jest właśnie wytrwałość.

W tym dwudziestoleciu jednak pracował w organie, który miał właśnie mówić, jakie są treści właściwe. Później całe życie walczył z cenzurą.

Tak, często wytykano mu fakt, że na początku lat 20. był naczelnikiem wydziału MSW, który nadzorował cenzurę. To rzeczywiście było dla niego wstydliwe. Ale trzeba też pokazać ten inny kamyk z tego fragmentu jego życia – cenzura, w jego optyce, miała być narzędziem m.in. do przeciwdziałania dezinformacji. Posłowie jednej z partii działających w interesie mocarstwa ze Wschodu – wówczas byli to komuniści – mogli głosić wszystko, co chcieli, bo przemówienia posłów nie podlegały cenzurze. I Wańkowicz postulował, by nie mogli szerzyć tego, co dziś nazwalibyśmy fake newsami, bo to po prostu sabotaż wobec własnego państwa w interesie Moskwy. Niezwykłe, że wówczas, gdy nadzorował cenzurę, jednocześnie pod pseudonimem wzywał do dyskusji wokół zasad jej działania. Uważał bowiem, że nie powinno być tak, że zdejmowana jest wypowiedź jakiegoś polityka, bo nie podoba się jakiemuś ministrowi, tylko trzeba stworzyć jasne procedury, jakiś algorytm postępowania zapobiegający szerzeniu z jednej strony dezinformacji, z drugiej zaś naruszaniu norm obyczajowych. Przydałby się dziś taki Wańkowicz do uporządkowania mediów społecznościowych karmiących się dezinformacją i nienawiścią.



Łukasz Garbal (ur. 1976 r.) – polonista, edytor, kustosz dyplomowany w Instytucie Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, oddziale Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Autor książek, m.in. „Jan Józef Lipski. Biografia źródłowa", „Wedlowie. Czekoladowe imperium". Wydał korespondencję Jerzego Giedroycia ze Stefanem Kisielewskim i Janem Józefem Lipskim oraz wybór pism Jana Józefa Lipskiego. Laureat Nagrody Znaku i Hestii im. księdza Józefa Tischnera, Nagrody Historycznej POLITYKI oraz Nagrody im. Jerzego Giedroycia. Autor biografii „Wańkowicz. Życie na kraterze" (wyd. Czarne).

A ile było prawdy w opowieści, że Wańkowicz pukał do bramy więzienia w 1964 r.?

Przy biografii osoby tak wykorzystującej autopromocję kluczowa była drobiazgowa weryfikacja, przesiewanie kamyków tej mozaiki. Starałem się dotrzeć do źródła każdej podawanej informacji, do świadków. Tak było przy okazji legendy, że Wańkowicz sam dobijał się do bramy więzienia na Rakowieckiej, domagając się, żeby wykonano wyrok i go zamknięto. Są dwie skrajne legendy opierające się na wierze lub niewierze w słowa Wańkowicza. A jakie są fakty? Bezpośredni świadek mówi, że Wańkowicz powiedział swojej żonie, że idzie się zgłosić do aresztu, bierze szczoteczkę do zębów, żona zaczęła płakać.

Sporo miejsca poświęca pan jego żonie i córkom. Jedna z nich, Krystyna, zginęła w powstaniu warszawskim.

Chciałem przypomnieć Zofię, pokazać ją nie tylko jako żonę Wańkowicza, bo w pewnym momencie była bardziej znana od niego! Niezwykłe były też ich córki. Krystyna razem z siostrą jeździła przed wojną rowerem po Europie Zachodniej, napisały cykl reportaży. Tęskniła za światem bez granic, w 1938 r. pisała, że nie ma takiej granicy, przez którą by swojego roweru nie przeciągnęła. Była rowerzystką – tak samo jak Wańkowicz, którego dziś postrzegamy tylko jako tego grubego staruszka.

Pracował w szlafroku lub w piżamie. Ale widzimy go też w czasie bitwy o Monte Cassino, jak szedł razem z żołnierzami i maszyną do pisania. Ciągle był w ruchu?

On był kimś bardzo dynamicznym. Zmieniał się. Zaczynał od propagandy, później działał w reklamie, a w latach 30. szedł w stronę zaangażowanego reportażu. Jeździł wtedy na ziemie białoruskie w granicach państwa polskiego. Pojechał tam po blisko 20 latach niepodległej Polski, chcąc zobaczyć, co ta Polska zrobiła – i był bardzo rozczarowany. Pisał, że państwo polskie porzuciło tych ludzi. Mówię, że wrócił, bo zapominamy o tym, że Wańkowicz miał przed sobą możliwość kariery politycznej po tym, jak był faktycznym szefem propagandy Towarzystwa Straży Kresowej, organizacji promującej rozwiązania federacyjne – tę miękką siłę, tak dzisiaj lekceważoną. TSK chciało przyciągnąć ludzi mieszkających na terenach tego „Międzymorza", jak je nazywał Wańkowicz, ziemiach między sferą oddziaływania Warszawy i Moskwy. Chodziło o to, żeby Polska była antytezą Rosji. Demokracja przeciw autokracji. Wolność przeciw przemocy. Wańkowicz starał się wtedy działać na rzecz Polski otwartej, nie szowinistycznej.

No, ale aneksję Zaolzia opisał w tonie entuzjastycznym.

To prawda. Później się tego wstydził i nazywał błędem. Wynikało to w pewnej mierze z jego charakteru: chciał być konstruktywny. Tak jak w reportażach społecznych – chciał także współtworzyć. Widać tu trochę rys niezrealizowanego polityka. A jednocześnie był dosyć nowoczesny – nazywam go Zagłobą o poglądach centrolewicowych. Już na początku lat 20. pisał, że te wielkie majątki trzeba jednak podzielić, że tym ubogim na wsiach trzeba dać ziemię, że to jest w interesie ogólnym.

Jego poglądy nie pasowały do żadnej chyba frakcji politycznej. ▶

eprasa.pl e94e67b4f3

▶ A jak zmieniał się jego warsztat dziennikarski? On sam wyznacza drogę zmiany polskiego reportażu?

To nie jest autor, który usuwa się w cień. Przeciwnie, w swoich tekstach jest nie tylko autorem, ale i współbohaterem. Pojechał np. do Gdyni i naraził się miejscowemu establishmentowi, pisząc o problemie chorób wenerycznych w tej Gdyni, która była perłą, która była chlubą. No i generalnie lubił wsadzać swój nos tam, gdzie nie wolno, i rzucić jakąś „bombę", wywołać zamieszanie. Nie lubił nudy.

„Bitwa o Monte Cassino" to był punkt kulminacyjny jego kariery?

Razem z drugą wojną światową dla Wańkowicza zaczyna się wielki osobisty dramat. Ginie jego córka, traci kolejny dom, bo przecież on był uchodźcą. Osobista tragedia – ale także szczytowe osiągnięcie, bo stworzył wówczas wzór reportażu, czyli „Bitwę o Monte Cassino". Dotarłem do jego reporterskiego warsztatu – dosłownie góry relacji weryfikowanych z różnych stron. Poprawki, skreślenia, dopiski. Wzór fact-checkingu. Później wielokrotnie zarzucano Wańkowiczowi, że zgodził się na jej ocenzurowanie. To nieporozumienie. Były interwencje cenzorskie, ale nienaruszające prawdy tej książki, w tym nazwiska Andersa – było w każdym peerelowskim wydaniu. W każdym z nich została też opinia chirurga, który w książce o bohaterstwie Polaków mówił, że ci Polacy bywają też idiotami: tyle niepotrzebnych urazów głowy, śmierci z powodu głupiej brawury. Wiedział więcej niż uczestnicy bitwy.

Biegł podobno przed nimi.

Tak, inny reporter powiedział, że Wańkowicz był przed innymi młodszymi korespondentami na tej stromej górze. I te zarzuty, że była cenzura, wynikają też z tego, że mało kto widział pierwodruk „Bitwy o Monte Cassino". To jest niesamowita książka – trzy grube tomy, kilka tysięcy fotografii. Pilnował wydania książki i walczył jednocześnie z próbami narzucenia mu wizji przez wojsko. Nie chciał pokazać laurki. Mam wrażenie, że on uchwycił nie tylko fakty, ale i emocje. Kolejne wydania są po prostu mniejsze, bo takiej kolubryny, jaką był pierwodruk, nie dałoby się zrobić. Ale w tych kolejnych wydaniach ocalało to, co jest najważniejsze. I te skreślenia cenzury naprawdę nie dotykały tych najważniejszych rzeczy, bo on przemycił przez cenzurę nawet to, że ci żołnierze pod Monte Cassino przeszli przez sowieckie łagry. Nie padło tam to słowo, bo paść nie mogło, ale to były czytelne aluzje: o czym marzyli żołnierze? O tym, żeby wstawić zęby. No, a kto im je wybił, skoro jasno napisał, że przeszli „przez Rosję"? Czytelnik w 1957 r. doskonale wiedział. Wańkowicz starał się tego cenzora zmęczyć i bardzo często mu się udawało. Cenzura wyrzucała, on dodawał. Żeby ją oszukać, mieszał też reportaż z powieścią.

„Bitwa" była jego dziełem życia i wszystko tam sprawdzał. A później miał potrzebę odejścia od faktów na rzecz fikcji, żeby odpocząć?

Myślę, że to jest psychologicznie zrozumiałe, że po wejściu na Mount Everest reportażu po prostu się zmęczył. I te białe plamy na mapach, te nieznane losy bohaterów zaczął uzupełniać wyobraźnią – zaczął pisać powieści z elementami dokumentalnymi, cykl, który nazwał „panoramą losu polskiego", m.in. „Drogą do Urzędowa".

Ważny jest jego powrót do kraju. Emigracja miała mu to za złe?

Wańkowicza często ocenia się właśnie przez to, że wrócił. Ale Polska była dla niego tworzywem. Bez polszczyzny, bez kontaktu z ludźmi tracił siły. Ten ścisły związek widać w wyczuciu języka, w takim tytule jak „Wrzesień żagwiący". Kiedy go pytano, co mu się w Polsce najbardziej podoba – a domyślną odpowiedzią miała być pochwała odbudowy dokonanej przez nową władzę – to odpowiadał, że po prostu „polskość". Mówił: wy tego tutaj nie widzicie, to jest jak powietrze. On je tracił na emigracji. Jeździł po Kanadzie, spędzał kilkadziesiąt dni w podróży, jednocześnie pisząc kolejną książkę, sprzedając poprzednią i zbierając zamówienia, żeby sfinansować wydanie. I już jako 65-latek nie miał na to sił. Widział, że na emigracji traci odbiorców. Był jednocześnie świadom, że za ten powrót do czytelnika będzie musiał zapłacić swoim świadectwem. Bo uważał, że pisząc bestsellery, gromadzi kapitał w postaci autorytetu w społeczeństwie – i jego obywatelskim zadaniem jest mówienie tego, co uważał za prawdę, wbrew opinii publicznej. I wiele razy to się w jego biografii powtarzało, że po tym, gdy napisał coś bardzo popularnego, narażał się – bo mówił coś, co się nie podobało ludziom.

Na przykład chwalił w tej swojej mowie obrończej PRL. Skazano go za ujawnienie „Listu 34"?

Mówił np. o Polakach jako kolonizatorach. Tego byśmy się nie spodziewali po Wańkowiczu. I to nie było motywowane tym, że się boi, bo postawił władzę w sytuacji bez wyjścia, właśnie w tym legendarnym stukaniu do bramy więzienia, kiedy miał już wyrok trzech lat za przekazanie informacji o tym proteście na Zachód. Władze oczekiwały, że będzie prosił o łaskę albo apelował. A on powiedział, że nic nie zrobi. W tej mowie obrończej był pod włos wszystkim.

Jednocześnie trochę chwalił władzę i postęp, ale ganił cenzurę. Więc właściwie nikomu się ta mowa nie podobała.

Tak, on nie chciał dać się wpasować w jakąś rolę. Przypomina mi Churchilla, oczywiście pomijając rolę polityczną, chodzi mi tutaj o osobowość. Wywodzili się z bardzo zasłużonych rodzin. Jeden zaczynał od bycia reporterem, by stać się politykiem, drugi odwrotnie. Zakorzenieni w języku, potrafili niezwykle plastycznie wykorzystywać go jako oręże. I nie pozwalali się zaszufladkować. W „Karafce La Fontaine'a" w tym legendarnym tomie, który był jego sumą doświadczeń, Wańkowicz pisał, że światło się załamuje i daje różne kolory, w zależności od tego, jak patrzymy. I on właśnie tak chciał patrzeć, a nie mówić, że to jest czerwone, bo jestem w tej partii, która tak uważa. Jest przykładem na niebezpieczeństwo polaryzacji.

Co dziś czytać Wańkowicza?

„Szczenięce lata". Tylko że trzeba je czytać w całości, bo to nie jest tylko tęsknota za sielską Arkadią. Sam Wańkowicz pisał, że chce powiedzieć dwie prawdy. Jedną prawdą jest dramat tych, którzy stracili dom. Ale drugą jest prawda chłopów białoruskich, którzy przez kilkaset lat własną pracą budowali ten jego dom. I oni też chcieliby mieć tutaj coś z tego życia. Wańkowicz napisał to wprost w zakończeniu tej książki, jeszcze w II RP. Uczmy się patrzenia z punktu widzenia „tego drugiego".

I przede wszystkim „Ziele na kraterze" – ale nie jako reportaż, tylko powieść opartą na faktach. To emocjonalna autoterapia po stracie córki, a zapomnianą współtwórczynią tej opowieści jest Zofia. To pokazanie dramatu rodziców z pytaniem, w co zaopatrzyć dzieci wychowane w wolnej Polsce na drogę, żeby sobie poradziły podczas tej zbliżającej się dziejowej katastrofy. Jak wychować dzieci z perspektywą wojny? To jest przerażająco współczesne.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl e94e67b4f3



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

„DDTVN" informuje: „Dziś nasze studio odwiedziła Doda i opowiedziała, jak sobie radzi z hejtem". Ja nie odwiedzam ich studia, bo widzę, jak nie radzą sobie z syndromem Natalii Janoszek.

„Tak nazwała prezydenta. Szczepkowska nie gryzła się w język". To Onet. Poniżej czytam: „Olejnik reaguje na sprawę Ziobry. Nie gryzła się w język". Redaktorom polecam wgryzienie się w słownik.

Sebastian Fabijański wystąpi w „Tańcu z gwiazdami". Jak sam wyznał: „Zakończyłem swój autodestrukcyjny lot". W MMA Seba pokazał, że lubi krótki dystans. Mało jest jednak 11-sekundowych tańców.

„Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie" – to tytuł biografii Norbiego. Ciekawe. Ostatnio Robert Stockinger w „Pytaniu na śniadanie" wydmuchał więcej promili, niż Norbi ma hitów.

Anna Lewandowska została skrytykowana za wyjawienie, że kiedy Robert wraca po meczu w nocy, to odkurza i wyjmuje rzeczy ze zmywarki. Niesłusznie. Od lat wiemy, że Robert znakomicie porusza się bez piłki.

Gazeta.pl demaskuje: „Socha podbiła ściankę oryginalnymi spodniami. Ekspert: Trudno oderwać wzrok". Z niektórymi fachowcami jest jak z tekstem „Macareny". Wystarczy znać tylko kilka słów.

Anna Popek tym razem o kobietach nieposiadających dzieci: „Dziewczyny nie zdają sobie sprawy, że naprawdę nie będzie potem narodu". Ładne. Tacy myśliciele powinni być refundowani przez ZUS.

Ujawniono ośmiu finalistów preselekcji do Eurowizji 2026. A tam takie nazwiska jak: Basia Giewont, Ola Antoniak czy Piotr Pręgowski (tak, ten). Jeśli chodzi o inne produkty regionalne, to mamy bryndzę.



© BE&W

Lista kondolencyjna nowej edycji „Tańca z gwiazdami" się wydłuża. Kolejnym ogłoszonym uczestnikiem jest Piotr Kędzierski. I tu zakończę tego newsa. Męczcie się sami.

Redaktor naczelny party.pl Bartłomiej Ufniarz rozstaje się z Burdą – donosi „Press". To ten rodzaj medialnej kariery, gdzie jedynym sukcesem staje się zwolnienie.

Janusz Panasewicz oznajmił, że od czasu, gdy przestał spożywać alkohol, przestał też być zmęczony. To nie jest chyba reguła. Niektórzy mają bliżej do sklepu.

Piotr Bałtroczyk osiadł w szpitalu i z pobytu robił relacje na Facebooku. Fani w euforii. Piotr był zawsze dobry w zapowiadaniu kabaretu.

Damian Stifler Zduńczyk, znany z wytatuowania sobie 42-centymetrowego penisa na udzie, ogłosił rebranding i teraz jest Damianem Star. To najbardziej znana modernizacja od czasu odświeżenia logo Gustawa – na Konrada.

Kolejną uczestniczką „Tańca z gwiazdami" jest Natalia Kaczmarczyk. Natsu śledzi na Instagramie 1 778 000 osób więcej niż Krzysztofa Ibisza. Teraz już wiem, dlaczego on nie tańczy.

„Michał Wiśniewski smutno o małżeństwie – Mamy bardzo poważny kryzys". To Plejada. Pamiętam taką rozmowę: „Nigdy nie ożeniłbym się z mądrą kobietą. – Słusznie, małżeństwa powinny być dobrane".

Krzysztof Lui Witą Rutkowski ujawnił, jaką kwotę wkłada księdzu do koperty. „To widełki pomiędzy 500 a 1000 złotych". Po strojach Krzysztofa wnioskuję, że ciągle zostaje mu za dużo.

Dorota Szelągowska załamana po wakacjach: „Nie mieszczę się w ulubione spodnie". To z bilionów terabajtów wyłowił redaktor serwisu Plotek. Cenię ich podobnie jak Marek Suski sejmową komisję kultury.

eprasa.pl e94e67b4f3



Prawo, nie koncert

Dawno temu, kiedy byłem jeszcze tzw. młodym obiecującym dziennikarzem, zrobiłem wywiad z Johnem Boltonem, ówczesnym czołowym przedstawicielem obozu „jastrzębi" w Partii Republikańskiej, popularnie zwanych neokonami. Powiedział mi coś, co mnie zmroziło, i pewnie dlatego dobrze to zapamiętałem – że jego zdaniem mówienie o „prawie międzynarodowym" jest błędem, można najwyżej mówić o „zwyczajach międzynarodowych". Prawa międzynarodowego jako takiego nie ma, więc nie można go też złamać, można najwyżej popełnić międzynarodowe faux pas.

Bolton za poprzedniej kadencji Donalda Trumpa był przez chwilę jego doradcą, teraz jest jego przeciwnikiem. Przychodzi mi na myśl doktor Frankenstein przerażony swoim Monstrum, bo wygląda na to, że Trump doprowadził idee neokonów do ich logicznej konkluzji. Nie zamierzam bronić Maduro, tak jak przedtem nie zamierzałem bronić Hamasu, ale w czasach Trumpa rzeczywiście trudno już mówić, że jeszcze jest jakiś prawny ład międzynarodowy. Są tylko obyczaje, w dodatku wielokrotnie podeptane licznymi faux pas w wojskowych buciorach.

Niniejszy felieton będzie więc epitafium dla tej pięknej idei, która co jakiś czas się odradza, by potem znów zaniknąć. Dane nam było żyć w czasach jej szczytowego rozkwitu, gdy w latach 90. powołano po raz pierwszy od czasów procesów norymberskich tymczasowe trybunały do spraw sądzenia zbrodni wojennych w Jugosławii i Rwandzie, ICTY i ICTR, a w 2002 r. – stały Międzynarodowy Trybunał Karny (ICC), który Trump obłożył sankcjami i zamierza zniszczyć. To z tej okazji rozmawiałem z Boltonem, w ramach dziennikarskiej tradycji przedstawiania dwóch punktów widzenia – za i przeciw. Głosem przeciw był Bolton, głosem za – działacz na rzecz praw człowieka Aryeh Neier.

> Wielu prawicowych polityków dziś przyklaskuje Trumpowi, tak jak sanacja radowała się z niszczenia ładu wersalskiego.

To nie była pierwsza taka złota epoka prawa międzynarodowego w historii, mam nadzieję, że nie okaże się ostatnia. Poprzednia miała miejsce w latach 1920–36, gdy relacje międzynarodowe próbowała cywilizować Liga Narodów. Ta organizacja okazała się bezsilna wobec włoskiej agresji w Etiopii, potem ostatecznie wykończyła ją druga wojna światowa, ale to jednak nie jest tak, że niczego nie zdziałała.

Jedną z zasług Ligi Narodów było powołanie Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej, praprzodka dzisiejszych trybunałów w Hadze. Dopóki Liga Narodów jako tako działała, cieszył się on sporym autorytetem. Pomógł wytyczyć wiele granic, z których część do dzisiaj jest na mapie – gdyby nie STSM, inaczej wyglądałaby dziś np. Grenlandia (Norwegia rościła sobie 200 lat temu prawa do wschodniej części tej wyspy).

Polska również odwoływała się do STSM w swoich sporach z sąsiadami, ze zmiennym szczęściem, bo też i uczciwie mówiąc, nie zawsze byliśmy tzw. dobrymi facetami (*good guys*). Jednak dopóki nie rozbudowaliśmy portu w Gdyni, Lidze Narodów zawdzięczaliśmy nasze jedyne okno na świat w postaci tranzytu przez Wolne Miasto Gdańsk.

Podczas drugiej wojny światowej konwencje o traktowaniu jeńców wojennych uratowały życie wielu Polakom. Niemcy stosowali je wybiórczo, więc wszystko zależało od tego, kto trafił w czyje ręce – w kampanii wrześniowej jeden niemiecki dowódca był sadystycznym zwyrodnialcem pastwiącym się nad jeńcami, a drugi, parę kilometrów dalej, zachowywał się honorowo. Ocalenie choćby jednego ludzkiego życia to już dużo, a te konwencje ocaliły ich dużo więcej, nie można więc powiedzieć, że były całkiem bezużyteczne.

Jako Polacy nie powinniśmy się cieszyć z kryzysu prawa międzynarodowego. Wielu prawicowych polityków dziś przyklaskuje Trumpowi, tak jak sanacja radowała się z niszczenia ładu wersalskiego. Obyśmy nie pożałowali tego tak szybko jak wtedy. Nasz wielki rodak Paweł Włodkowic już w XV w. rozwijał teorię „wojny sprawiedliwej", reprezentując nas w sporach z Zakonem Krzyżackim. W 1474 r. odbył się precedensowy proces o zbrodnie wojenne Petera von Hagenbacha (przywoływany w Norymberdze). Na wiek XV przypadła więc bodajże pierwsza złota era prawa międzynarodowego w historii. Może dożyjemy następnej?

Alternatywą dla prawa międzynarodowego jest „koncert mocarstw": kilka największych państw wyznacza sobie „strefy wpływów" i robi w nich, co chce. Szczytowym przejawem były rozbiory, a potem tłumienie polskich marzeń o niepodległości w ramach tzw. świętego przymierza. A jednak polityka międzynarodowa sanacji to samobójczo krótkowzroczne wychwalanie tej idei przez ministra Becka, domagającego się uznania za mocarstwo również Polski. Także dziś na powrocie „koncertu mocarstw" nie mamy nic do zyskania, a wszystko do stracenia. Historia lepiej oceniła tradycję Włodkowica niż Becka. Raz w życiu bądźmy mądrzejsi przed szkodą (by nawiązać do innego renesansowego myśliciela).

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl e94e67b4f3

FELIETON

Sulej



Tanio się sprzedaliśmy

Nie macie nic do ukrycia? To bardzo niedobrze. Już tłumaczę. Zacznę od popularnego ostatnio trendu #2016challenge – pokazywania na platformach społecznościowych, co się robiło dziesięć lat temu (więcej na s. 95 – przyp. red.). Im dłużej na to patrzę, tym bardziej nieswojo się czuję. Nie chcę tego wszystkiego wiedzieć. Dlaczego większość moich znajomych zechciała nagle pokazać publicznie zawartość swoich szuflad ze wspomnieniami?

To, co najcenniejsze, chowało się kiedyś dla siebie, dla najbardziej zaufanych. Teraz ląduje na publicznej, korporacyjnej platformie, której oddaliśmy prawo do posługiwania się naszymi danymi. W zamian mamy fajną zabawę, miłe komentarze i serduszka.

Sprzedaliśmy się naprawdę bardzo tanio. Trochę zaklętej w emotikonki życzliwości, garść dopaminy, odrobinę mniej codziennej nudy i Weltschmerzu. Okazało się, że wcale nie cenimy naszej wolności wysoko. Sprzedajemy własną przeszłość, żeby łatwiej nam było sprzedawać naszą przyszłość. W mediach społecznościowych jest tylko jeden czas – pieniądz.

Pokażmy, jak wyglądaliśmy na wakacjach! Spróbujmy nowego układu tanecznego! Mikrotrendy bywają absurdalne, ale to nie ma znaczenia – niesie się, to znaczy trzeba się podpiąć. Jak to działa, dlaczego się zmieniają? Nie udawajmy, że wiemy – nikt nie wie, jak działa algorytm, dlatego tak trudno się przeciw niemu buntować. Nie ma odgórnej autorytarnej strategii, wobec której możemy stosować partyzanckie taktyki. Nikt nas nie torturuje, nie razi prądem, nie zamyka nam drogi, wręcz przeciwnie, jest powiedziane, że możemy mieć wszystko, być, kim chcemy, wybrać, co chcemy. Gdzie problem?

> Czy nie jest tak, że znów jesteśmy w systemie feudalnym, tylko oddajemy innego rodzaju pańszczyznę, żeby móc żyć swoim życiem?

Algorytmy to mechanizmy totalitarne nowego typu – nie strażnicy, ale naganiacze. Uparci, darmowi i cwani, użyją całej wiedzy na nasz temat, żeby nas zwabić. Psychologiczne eksperymenty, jakim na co dzień poddajemy się w sieci, są równie wszechobecne, jak przez nas niezbadane. Nie wiemy, co się nam codziennie robi. A jednak nikt nie mówi nic o łamaniu praw człowieka. Co chwila pozwalamy siebie dzielić, polaryzować, wchodzimy w role moralistów albo „złoli", kategoryzujemy, kogoś nagradzamy, kogoś karzemy.

Żyjemy w szybkim świecie, pełnym bodźców, bliżej nam do komputera niż do kartki papieru i długopisu, więc zamiast porządkować narracje o sobie w dziennikach, we własnej głowie, na marginesach książek czy w rozmowach z bliskimi, powierzamy tę opowieść maszynom. Życie wewnętrzne kiepsko wychodzi na zdjęciach. Psychologia narracyjna podkreśla, że to, jak sobie siebie opowiadamy, ma ogromne znaczenie dla tego, jak będziemy siebie postrzegać, jakie decyzje będziemy podejmować. Jeśli opowiadamy sobie siebie w mediach społecznościowych, to także tam będziemy podejmować decyzje i przez te media będziemy siebie postrzegać. I ta opowieść od razu nie będzie nasza, jesteśmy sprzedani od początku.

Wszystko, co powiemy na temat tej podglądającej, podsłuchującej nas rzeczywistości, będzie wymierzone przeciwko nam, możemy być pewni. Mamy prawo wybrać milczenie, a jednak go nie wybieramy. Rezygnujemy z naszego jedynego prawa. Ale jak tu milczeć, kiedy tyle się dzieje, kiedy inni tyle gadają? Platformy skutecznie nam wmówiły, że jeśli nie zbudujemy persony w mediach społecznościowych, to czeka nas społeczna śmierć. Że po prostu przyzwyczailiśmy się do tego, że oglądamy na platformach swoje życie. Gratulujemy sobie, że żyjemy teraz w światach tak otwartych, demokratycznych.

Czy rzeczywiście? Czy nie jest tak, że znów jesteśmy w systemie feudalnym, tylko pracujemy u zupełnie innego rodzaju władcy, oddajemy innego rodzaju pańszczyznę, żeby móc żyć swoim życiem? Ta pańszczyzna jest zaś z roku na rok bardziej inwazyjna, pod pozorem łaski pańskiej. Bo to przecież wszystko dla dobra ludu – aplikacje do mierzenia okresu, tętna, biegu, postępów w nauce języków, ulubionej muzyki, testy badające typ neurologiczny, typ osobowości, czaty, które rozwiążą nasze problemy, zakupy pod nos. Trudno czuć się niewolnikiem, chłopem pańszczyźnianym, jak tyle się dostaje. Prawda?

A jednak to, czego mamy coraz mniej, to realne decyzje i emocje, niezależność oraz odpoczynek od tej ciągłej pracy na rzecz technologii. Zasób musi cały czas pracować. Prywatność, intymność, której nikt nie zobaczy, nie usłyszy, nie posmakuje i nie powącha, to obszar wolności, którego algorytmy nie chcą, bo nie mają nad nim kontroli i nie mogą go spieniężyć. Ale my też niespecjalnie szukamy schronienia w tym panoptykonie, jakbyśmy już się pogodzili z naszym losem. Jak mówiła Ursula Le Guin w jednym z wywiadów: wydaje się, że kapitalizmu nie da się obalić, ale podobnie było z boskim prawem królów. Być może bóg techy również uda nam się zgilotynować, jak to zrobił lud Paryża z Marią Antoniną, ale jest jeden warunek – najpierw musimy przestać jeść ich (nomen omen) ciasteczka.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl e94e67b4f3



Historyczny skandal

Karol Nawrocki jest doktorem nauk historycznych i byłym dyrektorem ważnego historycznego muzeum. A przecież ani myśli udawać, że posiada najważniejsze cnoty historyka, takie jak krytycyzm, wnikliwość, zdolność uwzględniania różnych doświadczeń, racji i punktów widzenia, a szczególnie umiejętność powstrzymywania się od jednostronności dyktowanej względami patriotycznymi bądź ideologicznymi, a więc pokus pomijania niewygodnych zdarzeń i okoliczności, umniejszania win, wybielania winowajców, nie mówiąc już o manipulacjach i fałszerstwach. Nawrocki bodaj niewiele wie o tych elementarnych wartościach, za to nie widzi niczego zdrożnego w tendencyjnym mówieniu o przeszłości pod dyktando „miłości ojczyzny" oraz „interesu narodowego". Wielokrotnie dawał dowody takiej postawy, z którą najwyraźniej czuje się znakomicie.

Czyja to wina? I jak to w ogóle jest możliwe, że można skończyć szkołę, studia z zakresu historii, zrobić z tej dziedziny doktorat i nie tylko nie posiadać nawet zalążków „cnót historycznych", lecz w dodatku albo wcale o nich nie wiedzieć, albo po prostu sobie z nich kpić? Co się dzieje w tych uniwersyteckich instytutach historii? Jak mogło dojść do tego, że profesorowie nauk historycznych z przekonaniem i zaangażowaniem wytwarzają dyskursy tzw. polityki historycznej na użytek władzy? Przecież chodzi w niej o zakłamywanie prawdy oraz o wszelkie inne manipulacje służące tworzeniu wizerunku narodu bez winy, a za to prześladowanego i heroicznego.

> Nauki historyczne wyrosły z opłacanego przez dwory kronikarstwa i do dziś zachowały swoje służalcze instynkty.

Walka o bezstronność i uczciwość intelektualną w uprawianiu historii, zwłaszcza politycznej, to istna wojna pozycyjna. Trwa już sto lat, a końca nie widać. Na drodze moralno-intelektualnego postępu stoją wielkie głazy z metodologicznymi półmądrościami, jako to: nie ma faktów, lecz wyłącznie interpretacje; subiektywizm jest nieunikniony i naturalny; nie można oceniać wydarzeń historycznych z punktu widzenia współczesnych norm i wartości. Wszystko to prawda, lecz jeśli ogranicza się ją do hasełek, za którymi nie idzie głębsze rozeznanie metodologiczne (a mówiąc uczenie: hermeneutyczne i heurystyczne), to owe „prawdki" służą tylko usprawiedliwianiu ideologizacji dyskursu historycznego, oportunizmu i mędrkującego relatywizmu. Szkody są bodajże jeszcze większe niż pozytywistyczne mądrości z końca XIX w., takie jak „rolą historyka jest opisywać, a nie oceniać".

Nauki historyczne wyrosły z opłacanego przez dwory kronikarstwa i do dziś zachowały swoje służalcze instynkty. Na całym świecie oficjalne instytucje wytwarzają dyskursy „państwotwórcze", czyli propagandowo-ideologiczne, a tylko niepoprawni absolwenci studiów historycznych piszą niepoprawne książki, których treść szokująco rozmija się ze szkolną nauką historii. Rynek „odkłamywania historii" jest duży, bo publiczności mu nie brakuje, tyle że sam rządzi się zasadą oportunistyczną. Skoro nie uderzamy w tony nacjonalistyczne, to przynajmniej trzeba dogodzić grupie społecznej, z którą się nabywca książki identyfikuje. Gdy liczy się sprzedaż, to wszystkie te staromodne „obiektywizmy" i „bezstronności" diabli biorą. Zamiast mitologizować naród i jego państwo, tworzy się mit ludu albo innego „etnosu". I znów wszystko jest ślicznie i co złego, to nie my (i nie nasi przodkowie).

Wydawało się, że można jakoś uniknąć zakłamania i mitologizacji, jeśli pójdzie się drogą tzw. mikrohistorii, pisząc o przeszłości z perspektywy bardzo lokalnej, a wręcz z punktu widzenia doświadczenia i przeżyć zwykłych ludzi, będących bardziej ofiarami niż aktorami wydarzeń. Ale gdzie tam! Zostaliśmy zalani falami pamiętnikarsko-biograficznej „uważności", a nawet „czułości" – tym razem już raczej za sprawą redaktorów z wydawnictw. Trochę się poprawiło, lecz do powagi i równowagi wciąż daleko. Gdy z horyzontu znikają państwa, dynastie, bitwy i traktaty, a pojawia się konkretny Jaś i konkretna Małgosia, to zamiast mitu mamy opowieść. I znowu jesteśmy w lesie! Historia polityczna zarażona propagandą i nacjonalizmem, historia kulturowa dotknięta estetyzującym afirmatywizmem, a historia życia zwykłych ludzi – kandyzowana empatią... A rzeka krwi jak płynęła, tak płynie przez dzieje i jak zawsze nikt się do niej nie przyznaje. Nauki Waltera Benjamina poszły w las.

Jak z tego wszystkiego wyjść? Oczywiście nigdy dość przypominania o zasadach uczciwości intelektualnej i obowiązkach warsztatowo-metodologicznych historyka. Tylko że to nie wystarczy, a głęboka świadomość, jaką można sobie wyrobić, czytając traktaty z egzotycznej dziedziny zwanej filozofią nauk historycznych, to gruszki na wierzbie. Matematycy nie szukają wiedzy o naturze obiektów matematycznych u filozofów, a fizykom nawet nie przychodzi do głowy zasięgnąć ich rady w kwestii „skąd wziął się świat?" i co to pytanie w ogóle znaczy. Jak mówiła moja teściowa, popij wodą! Ja widzę tylko jedno wyjście: fakty, głupcze! Nie umiesz kochać prawdy? Tedy pokochaj przynajmniej szczegóły! Nazwiska, daty, dokumenty... Jak na przesłuchaniu. Z braku laku i pozytywizm dobry.

JAN HARTMAN

eprasa.pl e94e67b4f3

FELIETON

Chutnik Plebanek



Jaja i diamenty

Budowanie marki osobistej podobno nie jest możliwe bez mediów społecznościowych. Konstruować ma ją tam każdy: sprzedawca jogurtów, NGO, pisarz. Należy promować przemyślany wizerunek, najlepiej ocieplony, bo przecież nikt nie pokaże, jak naprawdę wygląda. Ofiarą tej techniki padła Meghan Markle, która w programie kulinarnym krzątała się po nie swojej kuchni. Widzowie wytropili to i zarzucili księżnej nieautentyczność. A to poważne oskarżenie w świecie, gdzie autentyczność buduje się ze starannie dobranych klocków.

Obrzucanie błotem w mediach społecznościowych jest normą, dlatego spece sugerują, by dawać zdjęcia z prawdziwych podróży, ale opóźniać ich umieszczanie o dwa dni – dla bezpieczeństwa. To ma sens. A nuż do Ustrzyk Dolnych, gdzie akurat odbywamy spotkanie autorskie, podskoczy follower, by obrzucić nas jajami.

Temat budowania marki nakręca machinę lajków i winduje reklamy, które zasilają kiesy właścicieli platform. Jednocześnie usuwa w cień problem znacznie bardziej aktualny. Media społecznościowe to część większej układanki zwanej kapitalizmem kontroli. Wolność na platformach podlega ścisłym rygorom, konta są zawieszane według widzimisię właścicieli bez wyjaśnienia, ale to małe piwo. Prawdziwym kłopotem jest brak odpowiedzialności za konsekwencje wywołanych konfliktów i podziałów.

Media społecznościowe nie byłyby złe, gdyby brały odpowiedzialność za treści i podlegały stosownym regulacjom.

Tak było z masakrą muzułmańskiej ludności Rohingjów w Mjanmie (Birmie). Naukowcy, dziennikarze i eksperci z Organizacji Narodów Zjednoczonych zgadzają się co do tego, że Facebook odegrał kluczową rolę w wybuchu konfliktu na tle etnicznym w 2017 r. Doprowadziło to do śmierci i prześladowań tysięcy muzułmanów. Harvardzki „Systemic Justice Journal" podkreśla, że jest to skutek polityki Facebooka opartej na braku moderowania treści – w połączeniu z bezkarnością tego giganta.

Drugi przykład to skandal Cambridge Analytica, który przesądził o brexicie. Facebook przekazał dane blisko 90 mln swoich użytkowników, co posłużyło zbudowaniu ich profili psychologicznych i dopasowaniu do nich treści politycznych. Ułatwiło to także sukces Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Mark Zuckerberg został za to pociągnięty do odpowiedzialności, ale finał sprawy był rozczarowujący – Facebook zapłacił raptem 500 tys. funtów kary, kroplę w morzu swoich dochodów.

Masakra, brexit, wybór na prezydenta kapitalisty, na którego zaprzysiężeniu stawili się wszyscy koledzy trzęsący Doliną Krzemową... Granice samowolki próbuje postawić big techom Unia Europejska, ale presja ze strony obecnego rządu USA, by pozwolić działać big techom, jak chcą, jest ogromna. Co to ma wspólnego z markami budowanymi mozolnie na „soszalach"? No cóż, przykładają się do powiększania podziałów społecznych, uczucia samotności, które coraz bardziej podkopuje zdrowie psychiczne nastolatków, fragmentaryzacji uwagi, przez co mało kto dziś może przeczytać książkę, skoro do wyboru ma kilkaset kolorowych postów. My, pisarki, też gramy w grę z platformami społecznościowymi.

Żyjemy w czasach darwinizmu społecznego, a media społecznościowe to element tego systemu. Nie mówiąc o przesycie poznawczym, który powoduje, że łatwiej nami manipulować. Zanim przetrawimy jedną wiadomość, przychodzi kolejna, nie zdążymy oburzyć się na skandal, gdy wali następny. O to chodzi big techom, które zmierzają w kierunku *big states*, czyli państw rządzonych jak firmy, gdzie stawia się na wydajność, ignorując prawa obywatelskie.

W tym zaplanowanym chaosie wielką rolę do odegrania mają dziennikarze i dziennikarki. W czasach postprawdy – a także postprawa i wkrótce postpaństwa – to oni mogą pomóc odróżnić fakt od nieprawdy, newsa od propagandy. Dlatego lobbyści big techów, „fajnoludzie", jak celnie ich nazwała Sylwia Czubkowska w książce „Bóg techy", tak bardzo starają się zaprzyjaźnić z dziennikarzami. Przekonują ich na rozmaite sposoby, żeby przyłączyli się do chóru wychwalającego „wolność", której kolebką i rajem mają być media społecznościowe, zapewniając przy tym makiawelicznie, że potrzeba regulacji byłaby pogwałceniem wolności słowa. Nie dodają, że ta „wolność" jest pod kontrolą prywatnych właścicieli platform, którym nikt nic nie może zrobić. A w razie czego ujmie się za nimi obecny prezydent supermocarstwa.

Media społecznościowe nie byłyby złe, gdyby pozostając w prywatnych rękach, brały odpowiedzialność za treści i podlegały stosownym regulacjom. Tak nie jest. Na razie wierzymy w odważnych dziennikarzy, którzy lubią z rana spojrzeć w lustro bez nerwów, że zobaczą tam dwie litery „UI". *Useful idiot* – tak nazywa się tych, którzy są pomocni, choć o tym nie wiedzą. Dla rządów technoautorytarnych tacy ludzie to złoto. Przychodzi nam tu do głowy inne określenie: krwawe diamenty. Miło w nie opływać, ale już niekoniecznie – jeśli wiemy, że zdobyto je w myśl zasady „po trupach do celu".

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl e94e67b4f3



Koncert na fujarę

Słychać ostrzeżenia, że przebywanie w Polsce grozi poważnymi konsekwencjami, zwłaszcza tym, którzy są niewinni i niczego złego nie zrobili. Rosyjska ambasada w Warszawie ostrzegła obywateli Rosji planujących podróż do Polski, żeby nie przyjeżdżali, bo mogą być przez Polskę prześladowani. Z oświadczenia ambasady wynika, że w Polsce panuje rusofobia, dlatego każdy Rosjanin, który nie popełnił w Polsce żadnego przestępstwa, musi na siebie uważać, bo może być o coś oskarżony i skazany przez sąd.

Szczególną ostrożność zaleca się tym obywatelom rosyjskim, którzy przebywając w Polsce, nie zajmują się szpiegowaniem na rzecz Rosji, nie podpalają hal, magazynów i innych obiektów wielkopowierzchniowych oraz nigdy nie uczestniczyli w podkładaniu ładunków wybuchowych pod tory kolejowe ani w werbowaniu do tego innych osób. Ambasada radzi takim obywatelom, żeby przyjeżdżali do Polski, tylko jeśli „jest to absolutnie konieczne".

Rusofobia to niejedyna fobia panująca w Polsce pod rządami Tuska. Ponure żniwo zbiera także ziobrofobia, na której skutek Ziobrę za to, że jest Ziobrą, prześladuje w Polsce zespół prokuratorów należących do zorganizowanej grupy przestępczej mającej na celu wywiezienie go w bagażniku z Węgier, skąd – jako spadkobierca żołnierzy wyklętych i fali emigrantów stanu wojennego – zamierza stawiać opór reżimowi w Warszawie poprzez łącza telewizyjne i internetowe.

Nie dziwię się, że Ziobro jest tak odważny, że uciekł; ważne, że nie uciekł ze strachu. Zresztą gdyby został, sąd mógłby go skazać i nie byłby już taki odważny. Kolejne oświadczenia Ziobry nie pozostawiają wątpliwości: swoją odważną ucieczką z Polski rzuca on kryptoreżimowi Tuska-Żurka wyzwanie i stawia go w beznadziejnej sytuacji. „Wybieram walkę z politycznym bandytyzmem i bezprawiem. Stawiam opór postępującej dyktaturze" – zapowiedział z ekranu telewizora. Na jego tle były premier Morawiecki, który ogłosił, że zostaje w kraju, po raz kolejny wyszedł na miękiszona.

Uważam, że koncertowa ucieczka Ziobry stawia wspomniany kryptoreżim na z góry przegranej pozycji, bo wbrew twierdzeniom niektórych, że Ziobro jest przez Tuska i Żurka prześladowany, teraz to on ich prześladuje, zapowiadając, że po powrocie do władzy zrobi z nimi porządek. Przyznaję: odwaga Zbigniewa Ziobry to odwaga trudna i mało atrakcyjna. Może Ziobro lepiej by wypadł, gdyby został. Z tym że wtedy nie pokazałby swojej odwagi, pokazałby jedynie, że jest straszną fujarą.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl e94e67b4f3

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

35 lat temu, a konkretnie w numerze 4 z 1991 r., Zygmunt Szych opisywał „Wypędzanie demona” w Lesku, czyli walkę z nowo powstałym sex-shopem.


Liczba grzeszników w Lesku nadal jest ustabilizowana

WYPĘDZANIE DEMONA

ZYGMUNT SZYCH

„Przyjezdnemu niełatwo znaleźć w pięciotysięcznym Lesku niedawno tu otwarty sklepik z artykułami erotycznymi. Chyba że akurat od kościoła ku hotelowi, gdzie jest, zmierza kolejna procesja z kościelnymi chorągwiami i pieśniami na ustach. Pielgrzymi zatrzymają się wtedy tuż przed sklepem, zapalą znicze i odprawią modły błagalne w intencji likwidacji sklepiku. (...)

Na samym początku zaprotestował ksiądz z Leska, Henryk Nawrocki. Jeszcze zanim interes zaczął się kręcić, wystosował »do Pana Latosia i Spółki Przedsiębiorstwa Turystyczno-Handlowego w Lesku« pismo w związku z planowanym otwarciem sklepu z materiałami porno: »(...) Działalność Waszego sklepu w Lesku będzie miała w oczach tutejszego społeczeństwa znamiona przestępstwa, prostytucji i bezprawia. Wszyscy właściciele sklepu, dostawcy towaru porno i sprzedający stają się z chwilą otwarcia sklepu publicznymi grzesznikami i jako tacy nie mogą przystępować do spowiedzi i komunii świętej. Panowie, jesteście odpowiedzialni za grzechy cudze, a więc młodzieży Was otaczającej w internatach, która przez Wasze dostarczone materiały porno będzie upadała w grzechy zmysłowe lub gwałty dokonywane na dziewczętach. Staniecie się w ten sposób gorszycielami publicznymi, którzy niszczą rozmyślnie tkankę moralną naszego rozbitego społeczeństwa«. (...)

Naprzeciw głównego wejścia do hotelu stoi sześciometrowy drewniany krzyż. Posadowiono go podczas trzeciej procesji pokutno-błagalnej. Jako przestrogę i napomnienie.

– Te pielgrzymki i ten krzyż to była właśnie znakomita reklama dla sklepu. Teraz nawet z dalekich stron przyjeżdżają tu obcy, zaglądają do środka. Reklamy sklepu nie umieszczaliśmy, jakoś nie wypada przy tym krzyżu.

Henryk Latoś, dyrektor hotelu, spotkał się z księdzem proboszczem w sex-shopie na herbatce. Ksiądz Nawrocki proponował mu wówczas 50 milionów za odkupienie wszystkich towarów.

– Nawet zastanawialiśmy się wtedy nad ofertą. Ale potem proboszcz zszedł do 2 milionów.

Interes kręci się nie tyle dlatego, że z obcych stron zjeżdżają tu ludzie, zwabieni niecodzienną formą reklamy, co z tej przyczyny, iż oferuje towar głównie obcokrajowcom. Hotel niemal stale zapełniony jest gośćmi z ZSRR. Przyjeżdżają i opróżniają sklepik z towaru. (...) W dniach, kiedy w Lesku nie gości radziecka wycieczka, sklepik świeci pustkami. Miejscowi zdążyli już nasycić swą ciekawość, młodzież nie ma tu wstępu. Spora wywieszka zawiadamia, że »wstęp od lat 18«.

– Młodzież nie ma tu czego szukać. Ceny nie na ich kieszeń. (...)

Ponieważ trzy procesje pod sklep, palenie zniczy ustawionych w kształt krzyża i posadowienie krzyża nie pomogły – ksiądz Nawrocki ogłosił głodówkę. Mieli ją rozpocząć z grupą kilku parafian. (...) W ostatniej chwili udało się proboszcza odwieść od tego radykalnego kroku. Grupa radnych zobowiązała się doprowadzić negocjacje w sprawie zmiany lokalizacji bądź nawet likwidacji sklepu do szczęśliwego końca. Ks. Nawrocki głodówkę zawiesił i zarządził jedynie pogotowie głodówkowe. (...)

Proboszcz Nawrocki nie był w swojej walce osamotniony. (...) Diecezjalny duszpasterz rodzin z Rzeszowa, ks. dr Jan Kloc, próbował jeszcze ratować sytuację, apelując: (...) „Czyni Pan wielkie zło, a więc popełnia grzech ciężki (...). Tłumaczenie się, że to się musi robić, bo to Pana praca, jest tego samego rodzaju co hitlerowskich czy stalinowskich oprawców. (...) Uznano ich za zbrodniarzy i stracono”. (...)

Na razie nie ma w Lesku prostytucji, nie ma zbiorowych ani indywidualnych gwałtów, nie dostrzeżono też zapowiadanych rozruchów publicznych, liczba grzeszników, jak na pięciotysięczne miasteczko, nadal jest ustabilizowana”.

Pogromca luksusu


Pogromca luksusu

Do rzeczowego i dobrze napisanego artykułu Piotra Szlanty o reformach cesarza Józefa II („Pogromca luksusu”, POLITYKA 43) warto dodać informację o jednym z najdziwniejszych spośród licznych edyktów tego monarchy: zakazu grania sztuk teatralnych z tragicznym zakończenie. Edykt znany jako „Wiener Schluss” nakazywał, by sztuki miały optymistyczny finał, bez względu na ich pierwotne zakończenie. Dotyczyło to nie tylko sztuk nowych, ale i istniejących, z Szekspirem na czele. Gdy w Burgtheater w Wiedniu po raz pierwszy wystawiono Hamleta w niemieckim przekładzie, główny bohater nie ginął w pojedynku z Laertesem, w „Romeo i Julii” para bohaterów szczęśliwie przeżyła swój nieszczęsny romans. Sztukom Lessinga dodawano bez jego wiedzy epizody humorystyczne. Zarządzeniem cesarskim publiczność miała otrzymywać dawki urzędowego optymizmu. Edykt Józefa II skrupulatnie wcielała w życie jego faworytka, pisarka Johanna Sacco. O dziwo jej szczęśliwie kończące się sztuki wystawiane w wiedeńskim Burgtheater biły rekordy powodzenia wśród publiczności. Cesarz z zadowoleniem pisał o niej do swojego brata Leopolda i następcy na cesarskim tronie: „Komedia Madame Sacco nadal zachwyca Wiedeńczyków i cieszę się z jej owoców, ponieważ kasa pokazuje tylko zysk zamiast deficytu”. Dekret „Wiener Schluss” przestał mieć moc prawną dopiero, gdy Józef II Habsburg zmarł.

WOJCIECH LIPOŃSKI, POZNAŃ

eprasa.pl e94e67b4f3

TREND

Czcionki na barykadzie

Pismo i krój liter to nie tylko kwestia estetyki czy stylu. Teraz, za sprawą Donalda Trumpa, to także kwestia ideologiczna i polityczna.

Ideologiczna rozgrywka, jaką prowadzi administracja Donalda Trumpa, objęła litery. Od miesiąca oficjalnym krojem pisma amerykańskiej władzy jest Times New Roman, krój szeryfowy, czyli taki, w którym litery mają „daszki" na końcach kresek. Wycofano czcionkę Calibri, uproszczoną i bezszeryfową, którą od 2023 r. zapisywała swoje dokumenty poprzednia administracja. Kroje szeryfowe, w tym Times New Roman, są uważane przez specjalistów od dostępności za mniej czytelne dla osób słabowidzących, dyslektyków i seniorów.

– *Wyobraźmy sobie słowo, w którym stoją obok siebie litery „m" i „n". Kiedy osoba słabowidząca używająca lupy systemowej powiększy słowo z sąsiadującymi „m" i „n" zapisanymi czcionką Times New Roman, to te dwie litery niemal skleją się podstawami, utrudniając przeczytanie i zrozumienie słowa. Te same litery „m" i „n" zapisane krojem bezszeryfowym będą bardziej czytelne dzięki większemu odstępowi między nimi* – wyjaśnia Krzysztof Garski, ekspert dostępności cyfrowej.

Decyzja amerykańskiej administracji wcale nie jest błaha, to kolejny etap tzw. rollbacku (zwijania) polityki dostępności i równego dostępu – DEIA, o której sekretarz stanu Mark Rubio mówi, że trzeba z nią skończyć, bo była rozrzutna. DEIA to skrót od słów: diversity, equity, inclusion and accessibility, czyli różnorodność, równość, włączanie i dostępność. Tymczasem badania wykazują, że seniorom łatwiej czytać teksty bezszeryfowe – zwłaszcza na urządzeniach cyfrowych. Biorąc pod uwagę zmiany demograficzne i to, że większość tekstów czytamy dziś na ekranie, przyszłość należy do czcionek bez szeryfów.

Utrudnienia w czytaniu dla osób ze szczególnymi potrzebami to jedno. Przede wszystkim jednak w decyzji administracji Trumpa chodzi o wizerunek i ideologię. Krój Times New Roman jest **typograficznym spadkobiercą starożytnych liter rzymskich wykuwanych w kamieniu**. Czerpie z ich proporcji i geometrycznej harmonii, adaptując monumentalny styl Rzymu do czasów współczesnych. To czcionka konserwatystów: wyraża autorytet, powagę władzy, przywiązanie do tradycji i prestiż. W Europie używana jest przez administrację m.in. w Polsce, Wielkiej Brytanii i we Francji. Fontem bezszeryfowym posługuje się administracja w Danii, Holandii, Szwecji, Hiszpanii, Kanadzie, a dokumenty unijne zapisywane są najczęściej w kroju Arial, podstawowym kroju bezszeryfowym.





Katarzyna Rzehak – historyczka sztuki, badaczka polskiego dizajnu, dziennikarka, wykładowczyni. Przez 10 lat była dyrektorką w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego.

Skąd wzięły się litery bez szeryfów, czyli te łatwiejsze w czytaniu? Pojawiły się, jak cały współczesny design, wraz z rewolucją przemysłową – jako uproszczone wersje liter używane do komunikacji masowej: afiszy, plakatów, oznaczeń w transporcie publicznym. Początkowo uważano je za prostackie, dopiero XX w. i niemiecki Bauhaus nobilitowały kroje bez szeryfów jako nowoczesne, a przez brak ornamentu także obiektywne i racjonalne. Później słynne fonty Helvetica czy Univers, stworzone przez szwajcarskich mistrzów typografii, stały się synonimem jakości w projektowaniu dla przestrzeni publicznej. To dzięki czcionkom bez szeryfów, które łatwo powiększać, pomniejszać, stosować w różnych kulturach i systemach językowych, powstał uniwersalny język wizualny. Spotykamy go wszędzie: w komunikacji miejskiej, na dworcach, lotniskach, autostradach – jest łatwy w czytaniu w ruchu i z daleka.

Nie wszyscy eksperci są do opisywanych zmian nastawieni negatywnie. – *To, czy czcionka jest szeryfowa, czy nie, nie decyduje o łatwości czytania tekstu* – kontruje Łukasz Dziedzic, projektant liter, autor wielu krojów szeryfowych i bezszeryfowych, m.in. jednej z najpopularniejszych na świecie czcionki Lato. – *Sposób użycia litery, jej wielkość, światło, czyli odstępy między literami i słowami, odległości między wierszami – to od tego zależy czytelność zapisu* – wyjaśnia. Bez względu na ich czytelność litery z pewnością są przedmiotem sporu ideologicznego. Pewności nie ma natomiast co do tego, czy przywrócony przez Donalda Trumpa krój Times New Roman znowu uczyni Amerykę wielką. ■

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, INSTAGRAM.COM/LUX_URYVIBES, GETTY IMAGES

eprasa.pl e94e67b4f3

WIRAL

Kiedyś to było



Media społecznościowe u progu nowego roku zalała nieoczekiwanie wielka nostalgiczna fala. We wpisach, rolkach i na zdjęciach wraca zamierzchły... 2016 r. To może brzmieć kuriozalnie, ale dziesięć lat w sieci (i poza nią) to cała epoka, zwłaszcza dla młodszych pokoleń. Dla zetek to były czasy internetowej niewinności, tak to chcą przynajmniej zapamiętać. Algorytmy i AI nie były jeszcze tak rozpasane. Młodzież korzystała ze Snapchata, chyba jedynej aplikacji niezawłaszczonej przez dorosłych. Piosenkarz Justin Bieber, dziś 31-letni, brylował jeszcze na playlistach, a nie głównie w tabloidach. Gadżetem na topie był fidget spinner, obracana w dłoniach zręcznościowa zabawka. No i wszyscy szukali Pokemonów – tamtego lata ukazała się słynna gra miejska „Pokémon Go".

Starsi też oczywiście wspominają – swoje osiągnięcia i potknięcia. Ale i trzeźwo dodają, że 2016 bywał nieprzyjemny i parszywy. Donald Trump pierwszy raz wygrał wybory w USA. Rozgorzała dyskusja o migracjach. Brytyjczycy poparli Brexit. W Polsce z fruktów władzy korzystał PiS. Tamtej jesieni odbył się pierwszy Czarny Protest, a właściwie wiele strajków rozsianych po kraju i za granicą. No i weszło 500 plus...

Nostalgia wymywa rzecz jasna złe wspomnienia, ale tiktokowego hasła „Bring back 2016!" (Niech 2016 r. powróci) nie warto wyśmiewać, bo coś jednak mówi o naszej kondycji teraz i tu. „Może irytować, kiedy młodzi używają określenia vintage, gdy mówią o ubraniach sprzed dekady. Prawdziwy problem polega na tym, że ich zdaniem najlepsze lata mają już za sobą", pisze w „Guardianie" Coco Khan. Bo potem przyszła pandemia, wybuchła wojna, znowu nastał Trump, a klimat – również dosłownie – nijak się nie polepszył. „Żyjmy w 2026 roku tak, jakby był 2016", postulują przytłoczeni młodzi, a kto „nie rozumie fenomenu 2016", ten pewnie nie był wtedy dzieckiem. Eksperci ostrzegają tymczasem, by nie publikować zbyt wielu prywatnych zdjęć czy historii z przeszłości, bo AI chętnie się nimi wykarmi. I to też jest znak czasu.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Znaczeń jak lodu

Lód to temat, na którym łatwo się poślizgnąć. W ostatnich dniach hasło ICE (ang. lód) odnoszono najczęściej do Immigration and Customs Enforcement, czyli relatywnie nowej amerykańskiej służby mundurowej powołanej do życia na początku wieku, ale mocno wspartej finansowo za prezydentury Donalda Trumpa. Gdzieś przepadło znaczenie związane z kontaktem alarmowym – In Case of Emergency – zapisywanym jako ICE w telefonie na wypadek, gdyby trzeba było się skontaktować z kimś, kto udzieli szybko informacji o ofierze wypadku. Oraz ICE jako Intrusion Countermeasures Electronics, czyli oprogramowanie strzegące dostępu do systemów komputerów w literaturze SF (u nas tłumaczone jako lód).

ICE to dziś mundurowi tropiący nielegalnych imigrantów i obiekt potężnych kontrowersji, zwłaszcza po tym, jak jeden z funkcjonariuszy tej służby zastrzelił w Minneapolis bezbronną Renée Nicole Good w jej własnym samochodzie.



Wcześniej lód robił karierę w hip-hopie i okolicach. „Ice Ice Baby" było w 1990 r. jednym z pierwszych powszechnie granych w radiu przebojów tego nurtu. I pierwszym tak wielkim hitem wykonywanym przez białego rapera – Vanilla Ice swój przydomek zyskał za sprawą figury tanecznej, ale w utworze odnosił się do sceny z filmu Spike'a Lee „School Daze", w której owo „Ice ice baby" to zawołanie podkreślające status bractwa. Wykrzykują je czarnoskórzy studenci, stepując. Tu „ice" kojarzyć się mogło wprost z „cool" – od obu wiało atrakcyjnym chłodem. Później w języku gwiazd rapu chodziło raczej o biżuterię. Słowem „ice" opisywano najczęściej diamenty i kosztowności. Także w Polsce: „Pokój pełen pokus, pokój pełen lodu" – rapował Bedoes. Doskonale się to połączyło z obecnym w polszczyźnie powiedzeniem opisującym bogactwo: „Mieć forsy jak lodu". U nas akurat, przynajmniej tej zimy, łatwo zrozumieć takie zestawienia. Z tą różnicą, że wprawdzie śnieg sypie, a mróz trzaska, ale jednak lód nie strzela do ludzi.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Diamenty na szyi, ku...o, tańczą mi baciatę.
Twoje auto, mordo, warte mniej niż mój nadgarstek
Malik Montana, Baciata, 2025 r.

baciata (la bachata) – muzyka i taniec z wiejskich regionów Dominikany

eprasa.pl e94e67b4f3

Wpisany na listę UNESCO prekolumbijski epos Majów można zobaczyć tylko raz w roku – pod koniec stycznia, w gwatemalskim miasteczku Rabinal.

Taniec z przodkami



PODRÓŻE

Pierwszy spektakl zaczyna się o świcie, przed kościółkiem El Calvario. Spodziewam się, że zastaniemy tam tłum fotografów, turystów i miejscowych – w końcu to ważne wydarzenie. Gdy przed wschodem słońca docieramy na miejsce, nie ma jednak nikogo. Dopiero jakiś kwadrans później podjeżdża pikap. Z jego paki niespiesznie schodzi: armia jaguarów i armia orłów – w postaci dwóch aktorów z wizerunkami zwierząt przytroczonymi do pleców – **wojownik Rabinal Achí ze złotą maską w ręku**, jego ojciec Job'Toj, ich przeciwnik, dwie młodziutkie księżniczki, mężczyzna w tradycyjnym stroju kobiecym, do tego muzycy, pomagier i kapłan. Nie zwracają na nas uwagi – ani na to, że poza nami widzów prawie nie ma – i zaczynają grać.

Akcja rozpoczyna się od spotkania wojowników: K'iche Achí i Rabinal Achí – i ich starcia. Obaj wygłaszają długie monologi w kicze, jednym z wielu języków majańskich. Możemy tylko domyślać się niektórych zwrotów akcji, a resztę doczytać w hiszpańskim tłumaczeniu. Rabinalowi Achí udaje się pojmać wroga i doprowadzić go przed oblicze swojego ojca, władcy ludu Rabinal. Ten rozkazuje, by złożyć go w ofierze. Zanim to się jednak stanie, więzień korzysta z rozmaitych przywilejów: otrzymuje piękne szaty, wykwintne jadło, tańczy z księżniczką. Prosi też o rok zwłoki, by móc pożegnać się ze swoimi stronami. Po tym czasie powraca – i zostaje stracony.

W eposie historycy doszukują się echa wydarzeń sprzed przybycia Europejczyków do Ameryki – zerwania przymierza pomiędzy ludami Kicze i Rabinal. Przez Majów spektakl nazywany jest „Xajoj Tun", co można tłumaczyć jako „Taniec bębna". Chodzi o prekolumbijski instrument *tun*, wykonany z wydrążonego pnia drzewa. Wybijany na nim rytm do dziś towarzyszy sztuce.

Dzieło pochodzi prawdopodobnie z XV w. Do XIX stulecia zachowało się wyłącznie w przekazach ustnych. Po konkwiście spektakl wpisał się w kalendarz chrześcijański; wystawiany jest w dniu patrona miasteczka Rabinal, czyli św. Pawła, 25 stycznia i przez kilka wcześniejszych dni. Dawniej prezentowano go w całym regionie zamieszkałym przez Majów Kicze. Zwyczaj ten był jednak tępiony przez Kościół i zachował się wyłącznie w Rabinal. Ale nawet tu ciągłość tradycji została przerwana. W połowie XIX w. epos spisano na podstawie tekstu odtworzonego z pamięci przez wiekowego rdzennego mieszkańca Rabinal, a następnie przetłumaczono na francuski i hiszpański. Badacze podejrzewają, że wcześniej odgrywano go w ukryciu.

Drugi spektakl oglądamy przed domem miejscowego notabla. Jego krewni i sąsiedzi rozsiadają się na plastikowych krzesłach, a aktorzy grają na środku pylistej ulicy. Czasem przez „scenę" przejeżdża motocykl, aktorzy niewiele sobie z tego robią, ale i na nich mało kto zwraca uwagę. Dopiero pokaz na schodach kościoła na rynku przyciąga więcej widzów. Pojawia się nawet kilkoro cudzoziemców, choć w porównaniu z głównymi atrakcjami Gwatemali jest ich garstka. Tymczasem wierni to wchodzą do kościoła, to z niego wychodzą, przeciskają się wśród aktorów i widzów. A spektakl trwa.

Dlaczego Majowie przez wieki, wbrew zakazom władz, podtrzymywali tę tradycję? Dlaczego grają dziś, nawet gdy nikt nie patrzy? „Rabinal Achí" to nie tylko teatr, taniec i muzyka – to głęboko zakorzeniony rytuał. Aktorzy, zanim wejdą na uliczną scenę, poszczą i wznoszą modły; proszą też przodków o pozwolenie na nałożenie masek, bo to ich owe przebrania symbolizują. „Rabinal Achí" jest więc spotkaniem z tymi, którzy odeszli. Może dlatego udział w przedstawieniu to poważne zobowiązanie.

Wcielający się w Rabinala Achí Esedonio Ib'oj mówi, że robi to od lat i że powołanie przyszło do niego we śnie. Z duchami nie warto zadzierać, potrafią pokazać swoją siłę. Rok temu coś musiało je rozzłościć, bo spektakle odwołano. Trupie aktorskiej brakowało pieniędzy na odświeżenie zniszczonych kostiumów. W tym roku na szczęście tradycja – która przetrwała kolonialne jarzmo, wojnę domową i pandemię – powraca. Aktorzy otrzymali od władz nowe stroje. I już zapowiedzieli spektakle: na 23, 24, 25 i 27 stycznia. Na facebookowym fanpage'u „Rabinal Achí" post z tą informacją polubiło... 20 osób. ■



Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

© JULIA ZABRODZKA, ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl e94e67b4f3

Polscy narciarze w Dolomitach objechali i wypili już wszystko. Natomiast o tym przepięknym regionie mało kto słyszał. Do tego Aosta ma swoje własne, unikatowe odmiany winorośli.

Najlepiej strzeżony winny sekret

WINO

Przyznaję, zgrzeszyłem i ja. Do Włoch jeżdżę od 30 lat – zdarza się, że sześć, siedem razy w roku – ale zawitałem do tej przepięknej doliny pierwszy raz dopiero w listopadzie. Wcześniej nie było okazji, nie składało się, chociaż dostać się tu jest nader prosto: z lotniska w Turynie to godzina jazdy, z popularnej wśród Polaków Malpensy – dwie. Autem z Polski dojedziemy z noclegiem np. w Monachium.

Bo też **Dolina Aosty – Valle d'Aosta** – rzadko jest na czyjejś „bucket list". To małe miejsce w Alpach wciśnięte jest między Francję i Piemont; cieszy się w Italii szeroką polityczną autonomią, mówi się tu w obu językach (drogowskazy są po francusku). Historycznie Aosta korzystała ze swojego położenia na jednym z dwóch głównych szlaków między europejskimi potęgami. Po jednej stronie Sabaudia i Lyon, po drugiej – Turyn, Mediolan, Dolina Padu, porty w Ligurii. Do dziś zachowały się tu dziesiątki pięknych średniowiecznych zameczków, z których panowie feudalni kontrolowali handlowy szlak. Oprócz handlu Aosta wzbogaciła się na produkcji soli i wina.

Gdy wjeżdżałem tu autostradą A5 i ujrzałem ośnieżone do połowy szczyty, pomyślałem, że z tymi winnicami to żartują. Przecież to są naprawdę wysokie góry! A jednak winną latorośl uprawia się tu w każdym możliwym miejscu na urokliwych pergolach, korzystając z tego, że dolina leży na wysokości zaledwie 200–500 m, a klimat jest bardzo suchy i słoneczny. Dlatego udają się tu nawet wina czerwone.

Podobnie do innych górskich rejonów Aosta ma swoje własne unikatowe odmiany. Z tych znanych gdzie indziej w Italii uprawia się tylko trochę nebbiolo na granicy z Piemontem oraz wszędobylskie moscato, chardonnay i pinot grigio.



Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Lwią część upraw stanowią jednak autochtony: czerwone petit rouge, fumin, vien de nus, mayolet, vuillermin, cornalin oraz biała petite arvine. Tę akurat znajdziecie też w Szwajcarii, ale w Aoście jest prawdziwą specjalnością, a połączenie bogatego, miodowo-woskowego smaku z bardzo rześką kwasowością doskonale sprawdzi się do miejscowej kuchni, bardzo solidnej i treściwej – pełnej sera (ze słynną fondutą na czele), boczku, dziczyzny, ziemniaków i kasztanów. Do takiej strawy wino musi być solidne.

Sami „Valdostani" (tak po włosku zwą się miejscowi) preferują wina czerwone. Nawet do kapuśniaku i sera w lokalnej robotniczej kantynie La Kiùva pili w szklankach tylko czerwień. Ten kolor w Aoście ma specyficzny smak: owocowy (wiśnie i jagody), miękki jak atłas, mało kwasowy i cierpki. To prawdziwe „comfort wines", które świetnie smakują też bez jedzenia albo tylko z prostą pajdą. Krytycy wskazują, że trudno z miejscowych odmian zrobić wino prawdziwie poważne, długowieczne, dlatego ambitniejsi winiarze sięgają po takie szczepy jak nebbiolo, pinot noir czy syrah. Dla mnie najważniejsze, że w Aoście można pić jedyne w swoim rodzaju, lokalne smaki i ani przez chwilę się nie znudzić.

A ciekawostek nie brakuje. Pojawiają się bardzo dobre wina musujące, robione metodą szampańską albo europejski klejnot – szczep prié blanc uprawiany na stokach Mont Blanc na wysokości 1200 m! To już jest naprawdę winiarski sport ekstremalny.

W te ferie w Dolomitach raczej nie pojeździcie. Zimowa olimpiada w Cortina d'Ampezzo wywindowała ceny, w kurortach będzie straszny tłok. Dajcie więc szansę Aoście – trasy narciarskie są tu doskonałe, na jednym karnecie można np. wjechać kolejką na szwajcarską stronę pod Matterhorn i zjechać z powrotem do Włoch. A pod względem kulinarnym i winiarskim to po prostu doskonały pomysł. ■

Ottin Torrette Supérieur 2021, 144 zł (lebarbatelle.com)
Cave des Onze Communes Petite Arvine 2024, ok. 11 euro (miejscowe markety)
Ermes Pavese Blanc de Morgex et de la Salle 2024, ok. 16 euro (internety zagraniczne)
Pianta Grossa Donnas Nebbiolo Georgos 2021, ok. 35 euro (internety zagraniczne)
Les Crêtes Pinot Nero Revei 2022, ok. 40 euro (internety zagraniczne)

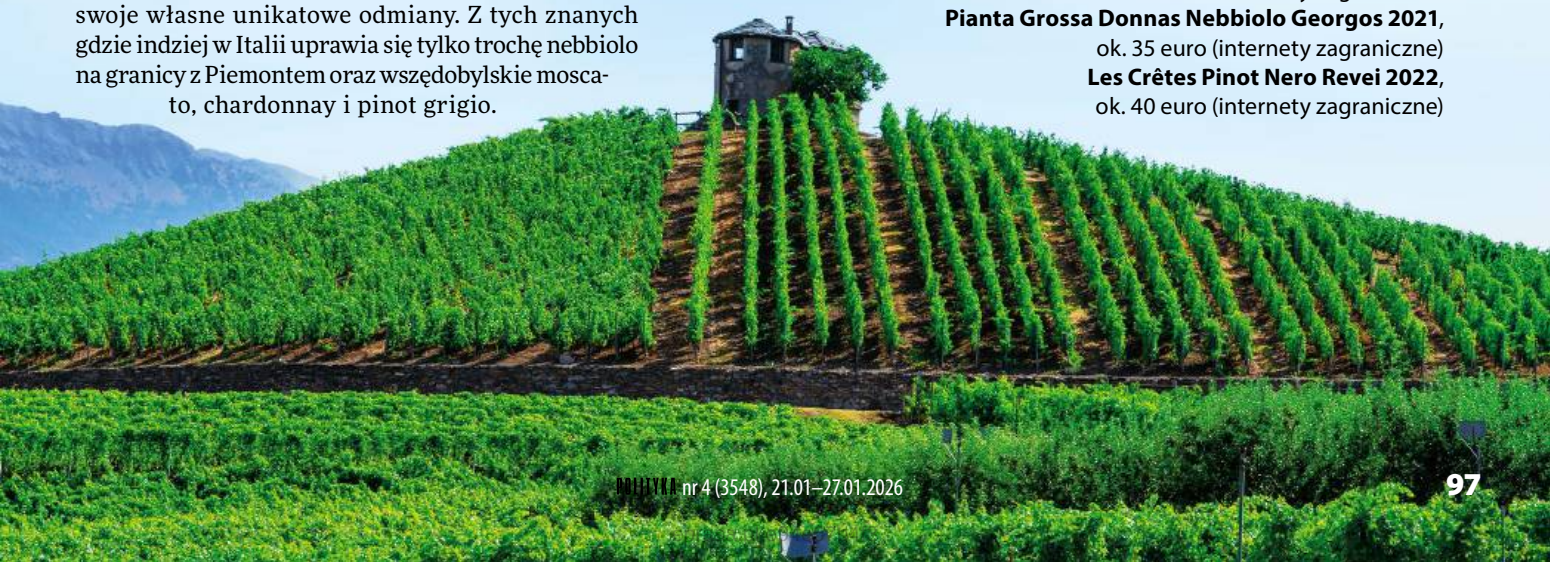

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Gorąco na Grenlandii

Czy wojna wewnątrz NATO wciąż jest „nie do pomyślenia”? Marek Świerczyński, ekspert ds. bezpieczeństwa, analizuje na polityka.pl sytuację wokół Grenlandii. Na lotnisku w Nuuk wylądowało kilka Herculesów C-130, największych samolotów transportowych duńskich sił powietrznych. Wsparcie zbrojne obiecały Niemcy, Francja, Szwecja, Norwegia. Na razie spór toczy się na niwie dyplomatycznej, ale w kulisach liderzy wszystkich stron nerwowo zapalają papierosy, rozważając najgorsze scenariusze.



Weta nie będzie?

W lutym trafi do Sejmu ustawa „o osobie najbliższej”, rodzimym odpowiedniku związków partnerskich. Katarzyna Kotula, odpowiedzialna za projekt i firmująca swoim nazwiskiem całą tę dwuletnią batalię, gości w „Polskim demo”, wspólnym podkaście POLITYKI i Fundacji Batorego. Objaśnia, co pary zyskają w praktyce, co w projekcie się znalazło, a na co w koalicji długo zgody nie będzie. Wygłasza też apel do prezydenta Nawrockiego. Jak twierdzi, tę ustawę trudno będzie zawetować. Czas pokaże.



Trauma jest modna

W najnowszym odcinku podkastu psychologicznego POLITYKI pada wiele modnych słów, jak „trauma” i „parentyfikacja”. O to, co naprawdę znaczą, pytamy Martę Niedźwiecką, psycholożkę, terapeutkę, autorkę podkastu „O zmierzchu” i książek ukazujących się pod tym samym tytułem. W zajmującej rozmowie tłumaczy m.in., że rodzic w depresji bywa trudniejszym kryzysem do przebrnięcia – również dla dziecka – niż diagnoza onkologiczna mamy czy taty. Podsuwamy też dużo cennych wskazówek.



O kobietach PRL bez nostalgii

Zwykle patrzymy na pozycję kobiet w PRL przez pryzmat wspomnień, propagandowych haseł równościowych w stylu „kobiety na traktory” i zdjęć słynnych murarek. A jednak PRL najlepiej widać nie w wielkich hasłach, tylko w drobiazgach. O nich rozmawiamy w „Polityce o historii”, a naszym przewodnikiem jest prof. Błażej Brzostek, autor książki „Życie codzienne kobiet w PRL-u”. Nie zajmują nas „plany pięcioletnie”, tylko plany dnia, codzienność kobiet, ich samotność, ale i zaradność.



Gdzie się podziały nasze karbony

W podkaście „Rowery, nie bajki” Juliusza Ćwielucha tym razem wątek techniczny, fanom jednośladów na pewno bliski. Historia produkcji ram karbonowych w Polsce jest fascynująca. Słynny Kross jednak się z nich wycofał – dlaczego? Kulisy odsłania Stanisław Pyrka, który kiedyś w Krossie pracował, a dziś jest częścią firmy 6P Composites. Do studia POLITYKI przyniósł sporo rekwizytów – do zobaczenia na naszym YouTube. „Doktoraty będą kiedyś o tym pisać”, zachęca Juliusz Ćwieluch.

© EVGENIY MALOLETKA/ASSOCIATED PRESS/EAST. ANNA AMAROWICZ, LESZEK ZYCH (3)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl e94e67b4f3



Rozgrzej głowę!

Do nabycia w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl e94e67b4f3



eprasa.pl e94e67b4f3